

MIEŚCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

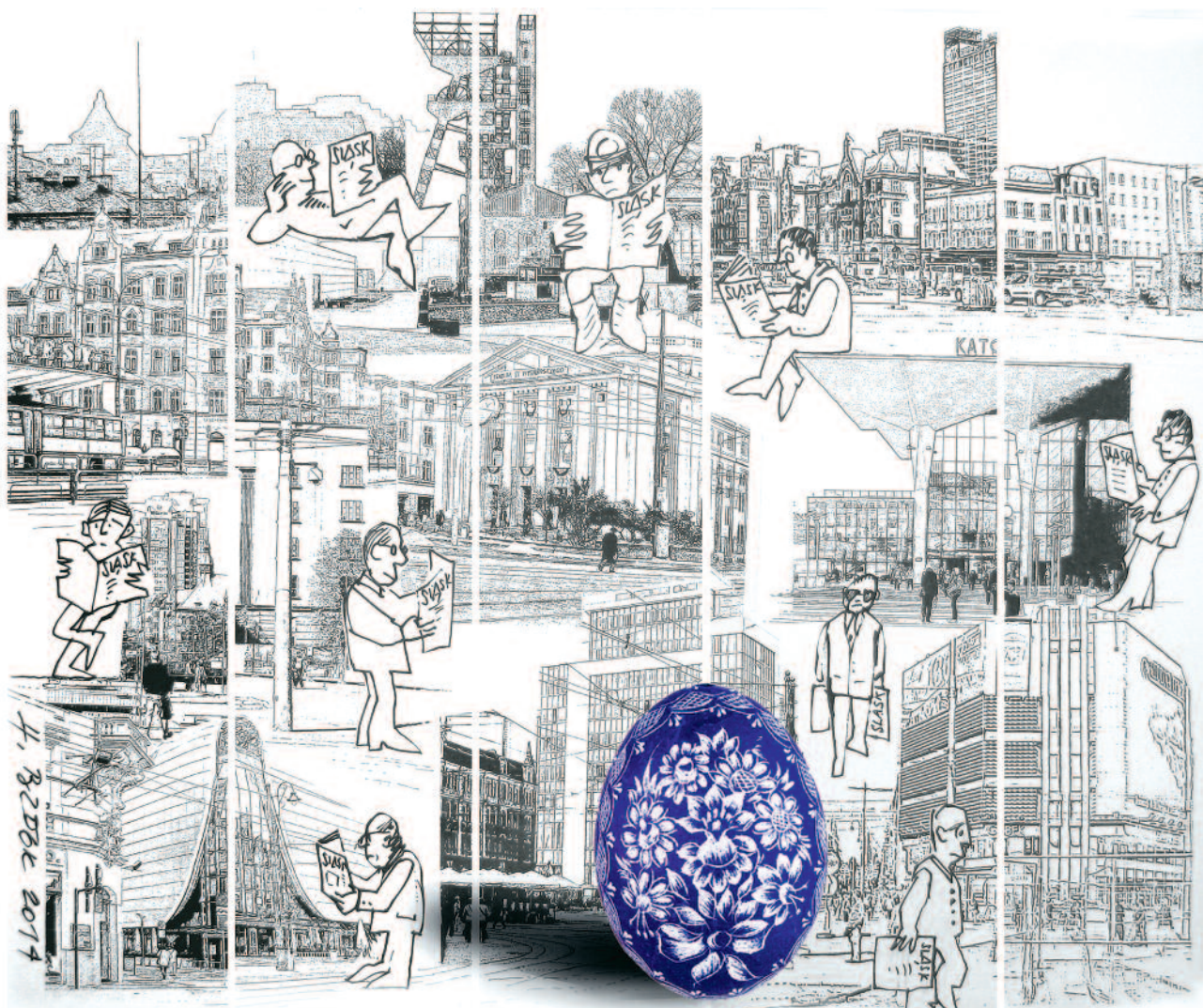
Nr 3 (244) • ROK XXI • MARZEC 2016

[www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)

## Metropolia „Silesia”?

## Ślęscy himalaiści pod Nanga Parbat





*Zaczytanych i pełnych oddechu wiosny Świąt Wielkanocnych  
życzy  
Redakcja „Śląska”*

Foto: Witalis Szofitys



Podczas XXVII edycji konkursu „Górnośląskie kroszonki 2016” swoją nagrodę przyznała redakcja miesięcznika „Śląsk”. Laureatką została pani Regina Morcinek z Sierakowic. Nagrodzone pisanki prezentujemy na zdjęciu obok. „Śląsk” był również patronem medialnym konkursu.

Gala wręczenia nagród odbyła się 12 marca br. Ogłoszeniu wyników konkursu towarzyszyło otwarcie wystawy „Omne vivum ex ovo”, a także spotkanie pt. „Współczesna Wielkanoc – tradycyjna czy nowoczesna?” oraz warsztaty zdobienia jajek wielkanocnych. Organizatorem konkursu było Muzeum Górnośląskie oraz Gmina Bytom.

Nasz partner



**Rybnik. Miasto z ikrą.**

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
TADEUSZ SIERNY  
prezes  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel. 32 253-62-21  
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA  
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA  
Dział krytyki literackiej  
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ  
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA  
Sekretarz redakcji  
Dział kultury

BOGDAN WIDERA  
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA  
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA  
Korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65

Materialów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

4. *Wiesław Kostecki* MARIAŻ, CZY MIRAŻ? Jaki kształt przybierze śląska metropolia?
7. *Rozmowa z prof. Bogdanem Dolnickim, kierownikiem Katedry Prawa Samorządu Terytorialnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, szefem zespołu konsultacyjnego do spraw tworzenia śląskiej metropolii* KOMU POTRZEBNA JEST METROPOLIA?
10. *Rozmowa z dr. Henrykiem Mercikiem, członkiem Zarządu Województwa Śląskiego* STAWIAMY NA WEWNĘTRZNĄ INTEGRACJĘ WOJEWÓDZTWA
14. *Rozmowa z Jackiem Czechem, alpinistą, uczestnikiem wyprawy na Nanga Parbat* ZIMA NIE PYTA, CZY JESTEŚ ZDOBYWCĄ OŚMIÓTYŚCIECZNIKÓW
22. *Rozmowa z prof. Aleksandrem Nawareckim* ŚLĄSK JAK POKRZYWA
25. *Grzegorz Sztolér* ALBIN SIEKIERSKI. REANIMACJA PAMIĘCI
30. *Joanna Lusek* ŚWIAT ZA DRUTAMI
40. *Maria Bierwiaczonek* ARCHITEKTURA, FOTOGRAFIA, LITERATURA.  
Trzy światy Andrzeja Czyżewskiego
42. *Małgorzata Kąkiel* PAMIĘĆ ZAGŁADY
51. *Irena Prengel-Adamczyk* GABINET OSOBLIWOŚCI, CIESZYNIKI I PTASZNIKI
54. *Rozmowa z Marcinem Świątkiewiczem, klaviesynistą i kompozytorem* TEN WSPÓŁCZESNY... BAROK
58. *Maria Szuka* TRÓJKĄT W KOLE

## FELIETONY

9. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA  
*Marek S. Szczepański* MIEJSKIE SIEROTY PO REALNYM SOCJALIZMIE (III)
39. KAMIEN DROGOCENNY  
*Jacek Kurek* LUX
57. MIĘDZY NUTAMI  
*Magdalena Dziadek* MOZART DLA DZIECI. VIDEO-OPERA W NOSPR.  
MOZART DLA DOROSŁYCH
61. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY
69. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZZCZYNA  
*Jan Miodek* O GWAROWYCH WIERSZACH DLA DZIECI WIKTORA BUGLI
74. PORADNIA JĘZYKOWA  
*Katarzyna Wyrwas* CO ZDEJMUJE ZDJĘCIE?
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA  
*Jarosław Starzyk* WIELKI BRAT CZUWA

## PLASTYKA

44. *Elżbieta Pisarczyk* CZĘSTOCHOWSKIE DROGI JERZEGO DUDY-GRACZA
49. JERZY DUDA-GRACZ „GOLGOTA JASNOGÓRSKA”
65. *Witold Kociński* WIELKA DAMA POLSKIEJ AWANGARDY
84. KOLEKCJA „ŚLĄSKA”: WIKTOR OSTRZELEK

## TEATR

64. *Joanna Warońska* SŁODKO-GORZKI EPIZOD

## KSIĄŻKI

70. *Anita Jasińska* W PISMACH, PODOBNO, JEST WSZYSTKO
71. *Katarzyna Bereta* UŚMIERCENI PRZEZ TWARDOCHA
72. *Aleksander Tabor* MIĘDZY DRUKIEM A EKRADEM
73. *Ryszard Bednarczyk* JEDNA RODZINA, A CZTERY NARRACJE
74. *Katarzyna Niesporek* TO TYLKO POEZJA
75. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

## POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE  
*Zbigniew Jankowski* CZAPLA Z PAMIĘCI
20. *Zbigniew Jankowski* WIERSZE
35. *Waldemar Kontewicz* STRAŻACY

## EKOLOGIA

62. *Jolanta Karmańska* OSTRZEŻENIE DLA ŚWIATA

## STAŁE RUBRYKI

60. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Renata Czyż* NOWA ODSŁONA
66. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE  
*Bogdan Widera* „EICHENDORF” CZYLI „POLONIA”
68. OPOLE. GRAFIKA ANDRZEJA SZNEJWEISA
76. NOTATNIKI KULTURALNE. *Redagują: Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Szuka, Jacek Sikora.*
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

## NA OKŁADCE:

Nanga Parbat o zachodzie słońca.  
Fot. Jacek Czech

*Grafika: Wojtek Luka*



## Czapla z pamięci

Lubię tę czaplę  
na złotej płaszczyźnie wybrzeża,  
zapatrzoną w świetlisty Pacyfik.

Co dzień tu stoi  
na jednej chybotliwej nodze,  
z podniesioną szyją  
i wiecznie tłącym się dziobem,  
jest jak znak zapytania,  
który stał się swoją odpowiedzią.

Co dzień staję obok niej  
i patrzę w tę bezbrzeżną otwartość,  
która nas sączy i rozjaśnia.  
Wtedy oboje rzucamy za siebie  
swoje blednące cienie,  
jakby wspólnie odlatując  
i ciesząc się wspólnie.

*Dopisek ze św. Augustyna:*

Jeśli się nie umie tego pojąć, trzeba samym  
pytaniem się radować. Lepiej jest bowiem znaleźć  
Ciebie, choćby się nie znalazło odpowiedzi,  
niż byłoby – znaleźć odpowiedź, a Ciebie nie  
odnaleźć.

**Zbigniew Jankowski** urodził się w 1931 r. w Bydgoszczy. Studia polonistyczne ukończył w Katowicach. Przez ok. 10 lat mieszkał w Rybniku; był m.in. inicjatorem i pierwszym prezesem Klubu Literackiego „Kontakty” oraz pomysłodawcą i współorganizatorem Rybnickich Dni Literatury. Debiutował w 1956 r. w katowickim „Dzienniku Zachodnim”. Od 1975 r. mieszka w Sopocie. Pływał na statkach rybackich i handlowych (Atlantyk, Pacyfik). Wydał ok. 40 tomów poezji i prozy. Jego utwory ukazały się w kilkudziesięciu antologiach i almanachach w kraju i za granicą. Laureat wielu nagród literackich. Prezentowane wiersze pochodzą z nowego tomu, który ukaże się wkrótce pt. „Wolne miejsce” w Bibliotece „Toposu”.



Jaki kształt przybierze śląska metropolia?

# Mariaż, czy miraż?

WIESŁAW KOSTERSKI

---

Miasta Śląska i Zagłębia deklarują daleko posuniętą współpracę i zamierzają jak najszybciej stworzyć metropolię. Być może pierwszą w Polsce. Jaka więc będzie ta śląska metropolia? Na czym zbudowana? I jakie przyniesie korzyści nam, mieszkańcom?



**M**odel przyszłej metropolii wylania się z propozycji delimitacji obszaru metropolitalnego opracowanych w grudniu ubiegłego roku przez Górnośląski Związek Metropolitalny, do którego należy obecnie 14 największych miast regionu. W grę wchodzi trzy warianty, a spójnym, które łączy wewnętrznie każde rozwiązanie, są przede wszystkim potrzeby regionalnej komunikacji zbiorowej.

**Pierwszy wariant obejmuje 14 miast** (Bytom, Chorzów, Dąbrowę Górniczą, Gliwice, Katowice, Mysłowice, Piekary, Rudę Śląską, Siemianowice, Sosnowiec, Świętochłowice i Zabrze – obsługiwane przez KZK GOP, Jaworzno – PKM oraz Tychy – MZK Tychy), które zajmują 1218 km kw. zamieszkałych przez 1,9

mln mieszkańców. Tak zbudowana metropolia miałaby dostać z budżetu ponad 213 mln zł, czyli 5 proc. podatku dochodowego od osób fizycznych.

**W wariantcie drugim związek tworzyłyby 23 gminy** (do „czternastki” dochodzi Będzin, Bieruń, Czeladź, Knurów, Radzionków, Wojkowice – KZK GOP, Łaziska i Mikołów – MZK Tychy oraz Tarnowskie Góry – MZKP), liczące 1551 km kw. i 2,19 mln mieszkańców. Tu 5 proc. z PIT wypracowanego przez podatników daje kwotę 245,3 mln zł

(ostatnio chęć przystąpienia do 23 gmin zgłosiły Pyskowice).

**W najbardziej rozbudowanym terytorialnie wariantcie trzecim w metropolii miałyby się znaleźć 52 gminy** (obsługiwane przez 4 operatorów komunikacji zbiorowej), które liczą blisko 2,6 mln mieszkańców i zajmują obszar o powierzchni 3553 km kw. Kwota z 5 proc. podatku od osób fizycznych sięgnęłaby w tym przypadku wysokości 282,6 mln zł.

Według ekspertów GZM, optymalnym rozwiązaniem jest wariant drugi, łączący 23 gminy. W tym wydaniu metropolia wypada najkorzystniej jako struktura obejmująca najbardziej uprzemysłowioną, najgęściej zaludnioną i najmocniej powiązaną pod względem urbanistycznym i komunikacyjnym część woj. śląskiego, z korzystnym stosunkiem wielkości należnego podatku dochodowego (5 proc. PIT) do liczby ludności i powierzchni obszaru metropolitalnego. Na zalety tej propozycji zwraca uwagę wielu samorządowców.

– Z punktu widzenia naszego miasta najkorzystniejsze rozwiązanie stworzą 23 gminy – ocenia Grzegorz Łukaszek, przewodniczący Rady Miasta Mysłowice. – Wtedy zyskalibyśmy na udziale w podatku dochodowym od osób fizycznych. W przypadku metropolii złożonej z 52 gmin, mielibyśmy do czynienia z potężnym obszarem i dużą liczbą samorządów wiejskich, które nie mają wysokiego poziomu dofinansowania i udziałów w podatku dochodowym od osób fizycznych.

**Prof. Witold Orłowski, autor raportów o polskich metropoliach, główny doradca ekonomiczny PwC, pytany o koncepcję tworzenia metropolii w naszym regionie odpowiada, że nie w liczbie siła, tylko w rozumieniu wspólnego interesu i gotowości do współdziałania. Ale też dodaje, że im mocniejsze i bardziej skłonne do współpracy miasta tworzyć będą związki, tym lepiej.**

Kluczem do metropolitalnego skarbcza okazuje się wspólny interes i współdziałanie miast. A jak z tym jest? Różnie. Animozyje, idiosynkrazje, uprzedzenia i stereotypy wypełniają przestrzeń publiczną, czego egzemplifikacją były przed kilku laty międzynarodowe targi górnicze urządzone w kuriozalny sposób: w tym samym czasie w Katowicach i Sosnowcu, w trzech różnych miejscach, przez trzech rywalizujących ze sobą organizatorów.

---

**Kluczem do metropolitalnego skarbcza okazuje się wspólny interes i współdziałanie miast. A jak z tym jest? Różnie.**

---

Czy deklarowana teraz wola tworzenia metropolii wyeliminuje zjawiska, które przejawiają się w negatywnych uproszczeniach, jakimi są animozje zwłaszcza między ludźmi „za rzeki” i tak zwanymi „stad”? Oby. I to jak najszybciej. Choćby dlatego, że wciąż nie wiadomo, jaką nazwę będzie miała śląska metropolia. Na szyld „Silesia” nie chcą przystać miasta Zagłębia.

A oczekiwania są spore. Nowy twór ma mieć przede wszystkim wspólną komunikację publiczną, jednolite zagospodarowanie przestrzenne, ujednoczoną infrastrukturę i promocję. Powinien zająć się rozwojem ekonomicznym, ustaleniem przebiegu dróg krajowych i wojewódzkich. Może także realizować zadania publiczne należące do samorządów i administracji rządowej.

Dalej już tylko krok do szeroko rozumianego jednolitego rozwoju gospodarczo-społecznego, inwestowania z poziomu regionu i ostatecznej rezygnacji z gminno-gminnej rywalizacji, która trwa od lat i niczego dobrego nie przynosi, poza satysfakcją płynącą z wąsko pojętego interesu jednej, czy drugiej gminy. Brak konkurencji wzmocni metropolię, a silna metropolia będzie miała dużo mocniejszą pozycję w kontaktach ze swoimi partnerami.

Jej stolicą powinny być Katowice, które – jako jeden z 12 obszarów metropolitalnych – poddali analizie eksperci PcW. Obraz jest wielobarwny, mocno złożony.

– To jedno z najdziwniejszych miast do oceny – oznajmił prof. W. Orłowski podczas prezentacji raportu o polskich metropoliach. – Dysponuje jedną z najmocniejszych gospodarek spośród 12 metropolii polskich, a jednocześnie ma najmniejszy realny wzrost PKB wśród wszystkich analizowanych miast.

Ta dwubiegunowość przebiega się na każdym kroku. Katowice, które w raporcie nazwano śląskim diamentem wymagają

dzi o akcję promocyjną, wzięcie agencji reklamowej i proste działania, ale o fundamentalną zmianę, która pozwoli zbudować przekonanie, że jest to miasto dobre do życia.

Najmocniejsze strony dają się dość łatwo zdefiniować. To doskonałe położenie

nowymi sektorami – mówi prof. Adam Drobnik z Katedry Badań Strategicznych i Regionalnych Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach.

I dodaje: – Robiliśmy ostatnio analizę dla wydawnictwa londyńskiego, gdzie miałem za zadanie porównać dynamikę

---

## Jaką nazwę będzie miała śląska metropolia. Na szyld „Silesia” nie chcą przystać miasta Zagłębia.

---

nie Katowic, dobrze rozwinięta infrastruktura drogowa, niskie bezrobocie, duża liczba absolwentów kierunków technicznych, zdrowe finanse. Głównym wyzwaniem jest natomiast stereotypowy wizerunek, trudna sytuacja demograficzna, stosunkowo niski poziom pozyskiwania funduszy europejskich w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

**Co więc zrobić? Rekomendowanym lekarstwem jest m.in. rewitalizacja przestrzeni miejskiej, która spaja wszystkie elementy rozwoju, oraz poprawa kultury życia codziennego.** Odnowiona tkanica miejska ma zachęcać do zamieszkania w mieście.

Bogumił Sobuła, wiceprezydent Katowic: – Znamy swoją wartość. Mamy naprawdę duży potencjał, ale oczekiwania są dużo większe, niż jesteśmy w stanie zaoferować.

Strefa kultury, którą utworzono w dużej części na terenie dawnej kopalni

rozwoju gospodarczego regionów w Europie Środkowej. I okazuje się, że wszystkie te regiony, które mają jakiegokolwiek konotacje z przemysłem ciężkim, wykazują się najsłabszą dynamiką. Są inercyjne, bezwładne i najczęściej słabo odporne na kryzysy.

Podobnego zdania jest prof. W. Orłowski: – Jeżeli ktoś mówi dzisiaj, że skarbem narodowym jest węgiel, to moja odpowiedź jest taka – skarbem narodowym jest praca ludzi. I wszyscy ekonomiści się z tym zgodzą. Surowce naturalne? Bardzo dobrze jeśli są, ale trzeba je sensownie wydobywać. Musimy zerwać z myśleniem o górnictwie, jako o czymś, co wymyka się spoza normalnych kategorii racjonalnego gospodarowania. Górnictwo trzeba odmitologizować.

– Jeśli więc patrzeć na liczby – konkluduje – to okazuje się, że górnictwo w gospodarce Katowic nie ma już tak na prawdę większego znaczenia. To stereotyp, z którym trzeba walczyć. Dlatego należy pokazywać światu zupełnie inne Katowice, takie, które wcale nie są przestarzałe, które mają nowoczesną gospodarkę, w których wiele zmienia się na lepsze.

---

**Polityka stawiająca na rozwój górnictwa lub utrzymanie obecnego poziomu rozwoju jest dowodem myślenia skazującego nasz region na niską dynamikę wzrostu, bo jednak najszybciej rozwijają się miasta, regiony w zdecydowanej mierze oparte o sektor usług i nowoczesne przemysły, a nie o górnictwo i nikt z rządzących nie ma chyba odwagi tego jasno powiedzieć, a tym bardziej zarysować nowej wizji dla Górnego Śląska, uwzględniającej długookresowy proces zastępowania tradycyjnych przemysłów nowymi sektorami.**

---

cym lepszego szlif, mają w wielu dziedzinach nowoczesną gospodarkę, a jednocześnie problemy ze starzejącymi się przemysłami, oferują wysokie zarobki (najwyższe w kraju przeciętne płace, wyższe niż w Warszawie), a z drugiej strony są miastem, z którego ludzie wyjeżdżają, mają 7 kapitałów na dobrym poziomie, a jednocześnie rozwijają się w sposób gorszy niż można by się spodziewać.

Słabości nie pozwalają wykorzystać atutów. Są znakomite uczelnie, jest niskie bezrobocie, a studenci nie zostają tu po skończeniu nauki. Na wizerunek miasta, także regionu, znacznie bardziej niż jest to w rzeczywistości, rzutuje niewydolny przemysł wydobywczy. Reszta Polski jest święcie przekonana, że gospodarka śląska opiera się cały czas na kopalniach, na węglu, że tu jest tylko brud, zakopcone miasta, a ludzie młodo umierają. I tak widzi Śląsk.

Najważniejszą sprawą staje się zatem poprawa wizerunku, przy czym nie cho-

„Katowice”, stała się rodzajem przeciwagi dla węgla i wszystkiego co się z nim kojarzy. Nawet jednak gdyby Katowice zbudowały kolejne centra kongresowe, muzea i NOSPR-y, odnowiły wszystkie kamienice, to i tak o ich wizerunku decydować będzie negatywnie postrzegane górnictwo, co wynika m. in. z fatalnej sytuacji ekonomicznej branży wydobywczej.

– Polityka stawiająca na rozwój górnictwa lub utrzymanie obecnego poziomu rozwoju jest dowodem myślenia skazującego nasz region na niską dynamikę wzrostu, bo jednak najszybciej rozwijają się miasta, regiony w zdecydowanej mierze oparte o sektor usług i nowoczesne przemysły, a nie o górnictwo i nikt z rządzących nie ma odwagi tego jasno powiedzieć, a tym bardziej zarysować nowej wizji dla Górnego Śląska, uwzględniającej długookresowy proces zastępowania tradycyjnych przemysłów

**Jaka wizja metropolii zwycięży ostatecznie? W jaki sposób wykorzystany zostanie śląski kapitał doświadczenia i wiedzy?** Pytań jest sporo. Rzecz w tym, by nikt z mieszkańców Śląska i Zagłębia nie tworzył koncepcji związku metropolitalnego. To gminy, miasta powinny wnieść się ponad to, co dzieli, wykazać wolę głębokiej współpracy i znaleźć skuteczne metody wspólnego rozwiązywania problemów regionu. I w tym sensie tworzyć metropolię.

\* \* \*

Zgodnie z ustawą, która weszła 1 stycznia br., obszar śląskiej metropolii, podobnie jak w innych regionach Polski, ustali rząd w drodze rozporządzenia. Związek miałby mieć osobowość prawną i otrzymywać z budżetu równowartość 5 proc. podatku dochodowego wypracowanego przez mieszkańców obszaru metropolitalnego.

Organem stanowiącym i kontrolnym będzie zgromadzenie, w którym znajdą się delegaci gmin i powiatów, po dwóch z każdej jednostki samorządu terytorialnego. Rola organu wykonawczego spocznie na 3-osobowym zarządzie, w którym nie będą mogli zasiadać wójtowie, burmistrzowie, prezydenci miast i ich zastępcy oraz wojewoda i wicewojewodowie.



– Po co w ogóle potrzebne są metropolie?

– To zasadnicze pytanie. W zeszłym roku mieliśmy 25 rocznicę samorządu terytorialnego. I de facto większość rzeczy została uregulowana, załatwiona, oprócz zarządzania aglomeracjami. Ten problem istnieje i wymaga rozwiązania.

– Po 1989 roku najbardziej udało się nam reforma samorządowa. Teraz trzeba zrobić kolejny krok?

– Tak. Samorząd gminny, powiatowy, wojewódzki funkcjonuje z powodzeniem. Natomiast na całym świecie odrębny sposób zarządzania dotyczy dużych organizmów miejskich. W Polsce taki problem dostrzegany jest od wielu lat. Projektów regulacji było już mnóstwo.

– Z jaką materią mamy do czynienia?

– Dość złożoną. Są trzy typy aglomeracji: centryczne, czyli duże miasta – na przykład – Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań otoczone wianuszkiem gmin, powiatów, dwucentrowe m. in. Gdańsk i Gdynia, gdzie występują elementy konkurencyjne oraz konurbacje, jak na Śląsku. W Europie mamy dwie konurbacje – Zagłębie Ruhry i centrum Górnego Śląska.

Problem z zarządzaniem dostrzegany był od dawna i metodą faktów dokonanych próbowano rozwiązać go bez regulacji ustawowych. W tym celu powołano w 2007 roku Górnośląski Związek Metropolitalny składający się z 14 miast na prawach powiatu.

– Namiastka metropolii.

– Tak, nawet używa się takiej nazwy nieformalnej – metropolia „Silesia”. GZM miał być załącznikiem tworzenia metropolii. Dlaczego? Ponieważ istnieją zadania o charakterze metropolitalnym. W hierarchii ważności lokują się piętro wyżej od zadań gmin, czy miast na prawach powiatu, które mają załatwiać sprawy obywateli, podstawowe, codzienne rzeczy bytowe.

– Mówi pan o zarządzaniu. A co mieszkańcy będą mieli z tego, że powstanie metropolia?

– Korzyści z lepiej zorganizowanych i sprawniej funkcjonujących przestrzeni miejskich. Gdyby spojrzeć na DTŚ, to mamy raptem odcinek 30 km, przy którym ulokowanych jest kilkanaście, a nawet z przyległościami, kilkadziesiąt miast, gmin. Stosunkowo dużych, bo niektóre liczą po 100 tys. mieszkańców i więcej, które oprócz spraw bytowych, zajmują się strategią i problemami rozwoju perspektywicznego. I mamy też konkurencję. Na przykład w dziedzinie kultury.

Katowice wybudowały salę koncertową NOSPR-u, piękną, najnowocześniejszą w Europie. Obok jest „Spodek” i centrum kongresowe. Czyli, trzy sale z dużym zapleczem, z możliwościami organizowania wielkich imprez. W Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej też są sale koncertowe. Salę budują Gliwice. To są przecież ogromne wydatki.

Weźmy następną sytuację – sport. Gliwice mają stadion, w Zabrze jest

Z prof. **BOGDANEM DOLNICKIM**, kierownikiem Katedry Prawa Samorządu Terytorialnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, szefem zespołu konsultacyjnego do spraw tworzenia śląskiej metropolii, rozmawia **WIESŁAW KOSTERSKI**



Foto. Julia A. Szymala

## Komu potrzebna jest metropolia?

wielki stadion. W Katowicach i Sosnowcu jest dyskusja o budowie takich obiektów. A oprócz tego mamy Stadion Śląski, ogromną inwestycję. Nawet jeżeli będzie on wykończony, a dzisiaj nie wiemy, kiedy i za ile, to nie bardzo wiadomo, co z nim zrobić. A przecież on musi się zwracać, na siebie pracować. Nie wiem, czy się to uda.

– I odwieczny temat – drogi.

– Problem pojawił się z ich klasyfikacją i zarządzaniem. Mamy DTŚ z Gliwic do Katowic. Budowę prowadziła specjalnie do tego powołana spółka. Potem zaczęły się negocjacje, kto ma zarządzać trasą, utrzymywać, zwłaszcza w zimie, prowadzić działania reklamacyjne. GZM próbował zrobić wspólny

przetarg na zimowe utrzymanie DTŚ i wyszły partykularyzmy.

– Jak teraz przy projekcie budowy wschodnich odcinków DTŚ, kiedy Katowice – po dołączeniu do porozumienia trzech gmin: Jaworzna, Mysłowice i Sosnowca – mogą położyć sprawę przez chęć powiązania modernizacji al. Roździeńskiego z planem pociągnięcia kolejnych nitek DTŚ.

– Tak właśnie się dzieje. Kiedy pojawia się poważny inwestor, gminy, miasta rozmawiają z nim osobno, rodzi się między nimi konkurencja, zaczynają się licytować – tu jest taka strefa, tu taka. A nie o to chodzi. Istnieje przecież grupa zagadnień, które nie mają charakteru lokalnego.

Każda gmina rozpatrywana osobno ma centrum i tereny peryferyjne. Żeby tam zainwestować, trzeba te tereny uzbroić. A to jest koszt gminy. Gdybyśmy natomiast rozpatrywali całą aglomerację, to tereny peryferyjne poszczególnych gmin stają się terenami centralnymi aglomeracji, a koszty rozkładają się całkiem inaczej.

Popatrzmy też na aplikowanie o środki. Przecież do tej pory jest tak, że każda gmina tworzy swój własny program rozwoju. W momencie ubiegania się o fundusze zewnętrzne wniosków aplikacyjnych jest kilkadziesiąt i one się wzajemnie zwalczają. W chwili, kiedy pojawia się aglomeracja zamieszkała przez 2 – 3 miliony obywateli i ona składa wniosek aplikacyjny, to mamy do czynienia z inną siłą oddziaływania. Takich sytuacji jest mnóstwo.

**– Argumenty przemawiające za tworzeniem metropolii brzmią racjonalnie, ale w ich tle jest uzasadnienie przeciwne, że ciągle nie widać współpracy i wyjścia poza bariery niemożności. Więc?**

– Ujawniają się, niestety, partykularyzmy. Jak choćby w przypadku transportu zbiorowego i śląskiej karty usług publicznych. W Londynie jest karta, która upoważnia do korzystania ze wszystkich środków transportu, można ją doładować, a potem dokonać zwrotu niewykorzystanych środków. To bardzo korzystna sytuacja. Natomiast u nas ta kwestia nie jest rozwiązana...

**– ... czy raczej nierozwiązywalna?**

– Nie, nie rozwiązana. Bo właśnie nakładają się partykularyzmy. W tej chwili mamy na terenie woj. śląskiego czterech operatorów komunikacyjnych. Czterech, pomijając koleje regionalne! Każdy z nich ma inną taryfę, inny rozkład jazdy, inne koszty. To jest przecież jakiś absurd. Partykularyzm jest tak silny, że nie może dojść do porozumienia.

Przykładem negatywnym jest sam GZM. W skład zgromadzenia związku wchodzi wszyscy prezydenci miast, w skład zarządu wybrani prezydenci, a przysłuchując się obradom można zauważyć, że za każdym razem pojawia się gdzieś jakaś kolizja interesów.

**– W zgromadzeniu metropolii zasiądzie po dwóch przedstawicieli każdej gminy, czyli kilka razy więcej niż obecnie. I co, będziemy mieli wojnę wszystkich ze wszystkimi?**

– Oczywiście. I nie zgadzam się z tym rozwiązaniem, uważam, że jest błędne. W ustawie są jeszcze inne „kwiatki”, takie, że oprócz gmin w skład związku metropolitalnego wchodzi każdy powiat, z którego gminy znalazły się w metropolii. Dla mnie to niejasna sytuacja, co ten powiat tam będzie robił. Bo jeżeli – założymy – w powiecie jest pięć gmin i dwie wejdą do związku, a trzy nie, to na jakiej zasadzie będzie ta reprezentacja. Ta ustawa bez wątplenia nie jest doskonała.

**– Był inny pomysł?**

– Tak, projekt ustawy o powiecie metropolitalnym, który miał być tylko dla konurbacji, dla Śląska i Zagłębia, opracowany przez pracowników Wydziału

Prawa i Administracji UŚ: prof. Jadwigę Glumińską-Pawlic, prof. Czesława Martyśza i przede mną. Powiedzieliśmy, że jeżeli mają być wyłączone zadania metropolitalne, to niech to będzie w drodze ustawy narzucone, żeby zniknęły te wszystkie dyskusje, a kto, a co.

**– Czyli, metoda na przełamanie barier.**

– W naszych relacjach – tak. Proponowaliśmy, żeby rada takiego powiatu liczyła 7 – 9 członków, nie czterdziestu, czy pięćdziesięciu. Przy składaniu opinii prezydenci pytali, a dlaczego tyłu? Właśnie, żeby zerwać związek z konkretną gminą, żeby wybierać według terytorialnej zasady. Zarząd 3-osobowy, rada 7-osobowa. Bo przecież oni nie będą dyskutowali o sprawach życia codziennego, tylko o perspektywach, wizji rozwoju całego obszaru metropolitalnego. To, niestety, nie przeszło i pojawiła się taka hybryda. Ustawa o związku metropolitalnym jest hybrydą, bo próbuje łączyć ogień z wodą.

**– Raczej dolewa oliwy do ognia.**

– Niektórych spraw nie rozwiązuje. Nawet przy pracach zespołu konsultacyjnego spotkałem się z konfliktem przy nazwie „Silesia”. A czemu nie „Zagłębie”, a może „Katowice”? I zamiast na koła para idzie w gwizdek, bo jest wielka dyskusja na temat nazwy.

**– Jak wyjść z tej pułapki?**

– Związek będzie z nazwą. Uzyskaliśmy tyle, że podstawą dalszej pracy zespołu muszą być uchwały intencyjne, że gminy, miasta chcą przystąpić do związku. I w tej chwili mamy uchwały, 24 gmin, bo oprócz centrum Górnego Śląska, doszły jeszcze Pyskowice, które są powiązane funkcjonalnie z kilkoma miastami m. in. z Gliwicami.

**– Który z trzech zaproponowanych przez GZM wariantów metropolii jest najkorzystniejszy?**

– Drugi, skupiający 23 gminy, bo oparcie się na pierwszym, zbudowanym z 14 miast na prawach powiatu byłoby powieleniem GZM-u, czyli tego co już było i się nie sprawdziło. Rozciągnięcie na 52 gminy byłoby z kolei zbyt wielkim rozbudowaniem metropolii.

**– Obszar związku wyznaczy rząd. Przyjmijmy, że w wersji drugiej. Reszta będzie terenem drugiej prędkości?**

– Nie, nie widzę takiego zagrożenia. Problem tkwi w czym innym. Otóż, nikt nie uświadamia społeczeństwu, na czym polega metropolia. Ludzie nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi i obawiają się, że jak coś powstanie, to zabierze gminie samodzielność, czy możliwość załatwiania spraw bytowych. A to nieprawda.

**– Samorządy muszą jednak zrezygnować z części swoich kompetencji na rzecz wyższych rozwiązań, jak choćby wspólnej komunikacji.**

– Nie, bo one już z tego zrezygnowały. Te zadania zostały przekazane do GZM-u, KZK GOP-u i innych związków komunalnych. Pozostaje tylko kwestia zintegrowania komunikacji zbiorowej. Gminy nic nie tracą.

**– A wspólne zagospodarowanie przestrzenne? Co w sytuacji, kiedy gmina powie – ten projekt metropolitalny mi się nie podoba?**

– Nie może. Owszem, przekazuje część swoich kompetencji w zakresie zagospodarowania przestrzennego, ale dotyczących tylko spraw metropolitalnych. Z drugiej strony, niektórzy oczekują, że metropolia będzie cudownym remedium na wszystkie bolączki, że nagle manna spłynie z nieba. Tak się nie stanie, to będą sprawy dodatkowe, które mają eliminować właśnie te partykularyzmy. Była moda na aquaparki, wyższe uczelnie. Każde miasto chciało je mieć. Po co?

**– Potrzebne jest myślenie kategoriami szerszego dobra. A tego nie ma.**

– A skąd ma się wziąć. Jeżeli nie ma działań edukacyjnych, nie ma na co liczyć, poza podejrzeniami, że coś znowu kombinują. Jestem zwolennikiem faktów dokonanych. Ludzie dokonują się do metropolii wtedy, kiedy zobaczą efekty wspólnego działania. Na przykład, jak dostaną do ręki jeden bilet na pociąg, autobus, tramwaj.

**– Założymy, że gminy skierują wniosek o utworzenie metropolii z 23 podmiotów, a rząd powie – nie, będzie z 52 gmin.**

– Teoretycznie tak może powiedzieć, ale nie zrobi tego, bo nie wyobrażam sobie sytuacji, żeby kogoś uszczęśliwić na siłę.

**– Jeszcze pół roku temu nie wyobrażaliśmy sobie wielu rzeczy...**

– Wiem, ale nie zakładam czegoś takiego. W ustawie przyjęte są dwa tryby powołania metropolii: jeden z urzędu, drugi na wniosek. My ćwiczymy drugą wersję. Gdyby z urzędu, to na Radzie Ministrów ciążyłoby wszystko, co my teraz robimy – konsultacje z mieszkańcami, przygotowania, odpowiedzialność. To nie jest takie proste.

**– Nie ma też procedur, skoro upomniał się o nie GZM.**

– Żeby rząd mógł wydać rozporządzenie o utworzeniu związku, wniosek trzeba złożyć w kwietniu. Natomiast rozporządzenie wykonawcze, o które wystąpiliśmy, dotyczy tylko techniki postępowania – jakie dokumenty i w jakim trybie mają być złożone. Tego nie ma. Trochę więc działamy w ciemno.

**– Jak połączymy z tym partykularyzmy, wątpliwości i niedostatki przepisów, to wyjdzie, że utworzenie metropolii graniczy z cudem.**

– Tak mi się też wydaje. Z jednej strony ustawa jest uchwalona przez sejm poprzedniej kadencji, a z drugiej aktualnie urzędujący prezydent ją podpisał. Skoro tak, to znaczy, że wywołałmy problem, pisząc pismo do pani premier w sprawie rozporządzenia wykonawczego. To wszystko, co czyni zespół konsultacyjny ma wskazywać, że chcemy coś zrobić, żeby nie było grzechu zaniechania.

**– Metropolia powstanie w tym roku?**

– Technicznie jest to możliwe. Być może będziemy pierwsi. Inni się na nas oglądają.



## Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

# Miejskie sieroty po realnym socjalizmie? (III)

### Transformacyjne metamorfozy

Transformacyjne ćwierćwiecze zasadniczo zmieniło miasto i postawy jego mieszkańców. Oto bowiem z grodu socjalistycznego, Tychy przekształciły się w ośrodek miejski, z którego mieszkańcy nie chcą się już masowo wyprowadzać: w 2009 roku około 60% z nich mając możliwość przeprowadzki, pozostałoby w swoim miejscu zamieszkania, lub ewentualnie przeprowadziłyby się na inne osiedle pozostające w obszarze miasta Tychy. A to oznacza, że pojawiła się swoista więź z miastem, które okazuje się być układem odniesienia i źródłem tożsamości dla coraz szerszej grupy tyszan. Sprawia to, że chętniej przebywają w przestrzeniach publicznych miasta, bądź osiedla. Niepostrzeżenie również nastąpiła coraz bardziej widoczna integracja mieszkańców zarówno z innymi tyszanami jak i przestrzenią miasta. Trzeba stwierdzić też, że zdaniem mieszkańców poziom jakości życia w Tychach znacząco się podniósł. U progu okresu transformacji podkreślano niski w porównaniu z innymi miastami regionu standard życia w mieście, a obecnie warunki zamieszkiwania i pracy we wszystkich ośrodkach miejskich Śląska uznać trzeba za wyższe niż na przełomie lat 80. i 90. Równocześnie oczekiwania i aspiracje Polaków znacząco wzrosły, tak więc ogólne zadowolenie mieszkańców Tychów ze swojego miasta oznacza szczególnie pozytywną zmianę.

### Lokalne ikony i nowe znaczenia

To właśnie dostęp do edukacji, kultury i sfery handlowo-usługowej wpływa w znacznej mierze na określanie poziomu jakości życia w mieście. W Tychach po roku 1989 w obszarach tych nastąpił dynamiczny rozwój, a obecność licznych, nowych instytucji sprawiła, że stały się one bardziej atrakcyjnym miej-

scem, przeistaczając się ze stereotypowej „przestrzeni sypialnej Śląska” w pełnowymiarowe miasto. Istotna zmiana nastąpiła w dziedzinie edukacji, do systemu żłobków, przedszkoli, szkół podstawowych i średnich dołączyły szkoły wyższe kształcące studentów różnych specjalności od nauk humanistycznych po ścisłe. Do końca lat 80. w Tychach nie działała żadna szkoła stopnia wyższego, obecnie są dwie: Wydział Zamiejscowy Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego, czy Wyższej Szkoły Teologiczno-Humanistycznej. Tychy uzyskały więc status miasta akademickiego, o który przez całe niemal powojenne półwiecze zabiegały.

### Charyzmatyczny dyrygent i Muzeum Miejskie

Wśród innych elementów podnoszących prestiż miasta, będących jednocześnie swoistymi magnesami społecznymi, wymienić trzeba instytucje kultury powołane na przełomie lat 1990. i 2000. I tak w okresie tym powstały dwa obiekty muzealne – Muzeum Miejskie w Tychach oraz Tyskie Muzeum Piwowarstwa, obydwa za sprawą nowoczesnej aranżacji przestrzeni wystawienniczej przyciągające wielu zwiedzających, także spoza miasta. Innym spektakularnym osiągnięciem okazało się datowane na rok 1998 powołanie Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy AUKSO, założonej i prowadzonej przez charyzmatycznego skrzypka i dyrygenta Marka Mosia. Browar oraz Orkiestra AUKSO stały się znakami rozpoznawczymi miasta kojarzonego z ich funkcjonowaniem także poza obszarem Górnego Śląska. Agendy te wpływają na tworzenie pozytywnego wizerunku miasta, którego mieszkańcy dumni są ze zlokalizowania ich właśnie w Tychach. Potwierdzają to rezultaty badań, z których wynika, że zarówno Muzeum Miejskie jak i Browarium należą do najczęściej pokazywanych gościom spoza miasta obiektów. Z drugiej strony dostęp do innych instytucji kultury jest w Tychach wciąż utrudniony – znajduje się tu zaledwie jeden kompleks kinowy oraz jeden teatr o charakterze impresaryjnym, co zdaje się być niewystarczającą wobec potrzeb i oczekiwań mieszkańców ofertą.

### Mediateka, Aquapark i Skałka

Niemniej ważny dla oceny jakości życia w mieście, w ocenach mieszkańców, okazuje się dostęp do obiektów handlowo-usługowych ze szczególnym uwzględnieniem sklepów wielkopowierzchniowych. W tym zakresie miasto od końca lat 90. zyskało kilka lokalnych przestrzeni handlu, z których jednak żadna nie stanowi tak zwanej galerii handlowej trzeciej generacji będącej połączeniem strefy handlowej, kulturalnej, rekreacyjnej, a czasem nawet mieszkaniowej. Do tego miana pretendować mógłby lubiany przez tyszan City-Point składający się ze sklepów, kina i restauracji, jest to jednak obiekt niewielki. Poza tym, na obrzeżach miasta usytuowanych jest kilka hal sieciowych sklepów typu TESCO, Media-Markt, Obi, są to jednak obiekty starszego typu. Pomimo to w połączeniu z mniejszymi punktami handlowymi średniej i mniejszej skali stanowią spójną sieć zaspokajającą codzienne potrzeby tyszan. Warto jednak podkreślić, że wielu z nich odczuwa potrzebę skorzystania z oferty nowoczesnych galerii handlowych, w tym celu tyszenie opuszczają więc miasto na rzecz Katowic, Gliwic, Czechowic-Dziedzic, czy Bielska-Białej, gdzie zlokalizowane są nowoczesne centra handlowe. Już na koniec roku 2016 planowane jest otwarcie przestrzeni handlowo-usługowej najnowszej generacji usytuowanej w okolicy wspomnianych wyżej obiektów handlu sieciowego. Przypusz-

cznie nowe Centrum Skałka spotka się z entuzjastycznym przyjęciem. Z drugiej strony wspomnieć należy, iż mieszkańcy miasta zwracają uwagę, że jedną z niedogodności jest wciąż niedostateczna liczba dobrze zaopatrzonych niedużych sklepów usytuowanych w pobliżu miejsca zamieszkania. Nie jest to jednak problem właściwy wyłącznie mieszkańcom Tychów, a również wielu innych polskich miast. Odrębną zapewne ocenie podlegałby także nowy Stadion Miejski otwarty w 2015 roku, dedykowany między innymi piłkarzom GKS Tychy i ich zdeklarowanym kibicom. Podobnie zresztą jak uruchomiona w pierwszej połowie 2016 roku Mediateka, która stała się nowym domem dla orkiestry AUKSO i Miejskiej Biblioteki Publicznej. W połowie 2017 roku Aquapark Tychy przyjmie pierwszych miłośników wody, basenów i saun.

### Miejska Agora i Forum

Równoległe z dobrymi przestrzeniami mieszkaniowymi w sprawnie funkcjonującym mieście istnieć winny określone, jasno zdefiniowane przestrzeni publiczne wyznaczane zarówno w obszarze centralnym jak i wewnątrz mniejszych jednostek – podobszarów miejskich. Powinny one być dobrym tłem dla określonych interakcji społecznych, równocześnie to pomiędzy nimi, a mieszkańcami miasta winna wytwarzać się swoista więź. Temu ostatniemu zjawisku sprzyja obecność miejsc postrzeganych jako ważne i znaczące, innymi słowy konotujące konkretne wartości. Nadawanie zbiorowych znaczeń oswaja przestrzeń, sprawia, że staje się miejscem przyjaznym, zachęcającym do odwiedzania i pozostawiania w jej obszarze. W związku z brakiem wyróżnionego centrum, o którego braku pisaliśmy już, i do którego to problemu powrócimy jeszcze na końcu tego artykułu, uwagę zwrócić trzeba na obecność innych, rozsianych na terenie Tychów przestrzeni, które można określić mianem miejsc społecznie znaczących. Ich waga dla postrzegania miasta jako całości pozostaje zmienna.

### Przestrzeń pusta

Od samego początku budowa tyskiego centrum napotykała na liczne trudności, w znacznej mierze powiązane ze specyfiką ideologii PRL. W generalnym planie miasta z 1953 roku, znowelizowanym w roku 1961, centralny usługowo-handlowy ośrodek miejski zlokalizowano w pobliżu śródmiejskiego przystanku linii kolejowej Tychy Miasto. Z uwagi na wysokie koszty realizacji rozbudowanych wizji projektantów w 1970 roku władze rozpięły kolejny konkurs. W jego efekcie do realizacji skierowany został projekt zakładający, że tyski ośrodek centralny przeznaczony będzie zarówno dla mieszkańców miasta jak i całego mikroregionu. Wkrótce rozpoczęto budowę pierwszych elementów składających się na przyszłe centrum, jednakże całość planu nigdy nie została zrealizowana. Części spośród wznoszonych wówczas budynków nie ukończono, inne, niewykorzystywane ulegały powolnej destrukcji. W kontekście Tychów trzeba mówić więc o oczywistej porażce w tworzeniu przestrzeni centralnej miasta, której konsekwencje widoczne są po dziś dzień. W quasi-centrum nie dominuje zwarta zabudowa, tkanka miejska sprawia wrażenie niespójnej, a obszar, który funkcjonować mógłby jako przestrzeń środkowa jest w znacznej części pusty, bądź przyjmuje znamiona rekreacyjnych terenów zielonych.

*Felieton został napisany we współpracy z dr Barbarą Lewicką z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego*

Z HENRYKIEM MERCIKIEM,  
członkiem Zarządu Województwa Śląskiego  
rozmawia TADEUSZ SIERNY



Fot. T. Żak/BP

# Stawiamy na wewnętrzną integrację województwa

– **Panie marszałku, jakie są priorytety wojewódzkiej polityki kulturalnej w 2016 roku?**

– Otwarcie Muzeum Śląskiego z pewnością było najważniejszym w regionie wydarzeniem w sferze kultury w 2015 r. Mieszkańcy czekali na nową siedzibę wiele dziesięcioleci, natomiast dla województwa oddanie jej do użytku jest dopiero początkiem wielkiego projektu pod nazwą Nowe Muzeum Śląskie. Teraz przed nami i dyrekcją instytucji ciężka praca, aby to miejsce faktycznie stało się centrum dyskusji o regionie i o jego przyszłości w odniesieniu do skomplikowanej, ale jakże bogatej historii. Mówiąc o miejscu, myślimy nie tylko o budynku i kolejnych inwestycjach w części północnej terenu po kopalni Katowice, ale przede wszystkim o muzeum jako agorze, na której toczą się gorące dyskusje i ścierają poglądy – zawsze w sposób oddający powagę i rangę instytucji.

Jak co roku przygotowujemy kolejną edycję Industriady, która stała się doskonałą wizytówką naszego regionu, gdzie „łączą nas przemysłowe historie”. W tym roku to wielkie święto Szlaku Zabytków Techniki odbędzie się 11 czerwca, natomiast „Rozruch maszyn” – pomysł, który doskonale sprawdził się w roku ubiegłym – będzie miał miejsce w piątek 10 czerwca wieczorem. Jeżeli chodzi o priorytety wojewódzkiej polityki kulturalnej w 2016 roku, to niewątpliwie najważniejsze jest zabezpieczenie środków dla stabilnego funkcjonowania wojewódzkich instytucji kultury – podobnie jak inne wojewódzkie jednostki organizacyjne odczuwają one spowolnienie gospodarcze, którego efektem jest trudna sytuacja budżetowa regionu.

Niestety zmuszeni jesteśmy do daleko idących oszczędności, co wpływa na atrakcyjność oferty. Musimy również zwracać szczególną uwagę na efektywność wykorzystywania środków finansowych i rezygnować z „eksperymentalnych” przedsięwzięć, które nie gwarantują wpływów np. z biletów. Mimo to podejmujemy nowe działania i zwracamy uwagę na nowe kierunki. Chcemy między innymi zwrócić większą uwagę na wielokulturowość regionu i wprowadzić mechanizmy wsparcia dla mniejszości narodowych i etnicznych.

– **Jakie środki finansowe przeznaczy województwo śląskie w roku 2016 na działalność w sferze kultury? Czy ich wartość w stosunku do roku 2015 wzrasta czy maleje?**

– W 2016 roku w budżecie województwa śląskiego, zgodnie z planami finansowymi Wydziałów: Kultury i Inwestycji zabezpieczono kwotę 147.985.653 zł z przeznaczeniem na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego. Oznacza to spadek o prawie 20% w stosunku do ubiegłorocznego planu, a o ponad 10% w stosunku do faktycznego wykonania w roku 2015. Ponad 90% kwoty zaplanowanej na 2016 rok stanowią wydatki bieżące; dokładnie 14.287.358 zł jest przeznaczone na wydatki majątkowe.

– **Jakie są szanse na uzyskanie współfinansowania przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego funkcjonowania Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” i Opery Śląskiej?**

– Jestem głęboko przekonany, że współfinansowanie obu tych instytucji jest w sensie merytorycznym jak najbardziej uzasadnione. Decyzja o współfinansowaniu „Śląska” powinna była zapaść dawno temu – już przed czterema laty wystąpiliśmy z apelem do ówczesnej Pani Minister o przejęcie współodpowiedzialności za zespół, apel ten został ponowiony na grudniowej sesji sejmiku województwa. Ponieśliśmy wydatki na remont i modernizację koszęcińskiej siedziby zespołu „Śląsk”. To były ogromne koszty i wysiłek, czas, aby teraz państwo dołożyło się w większym stopniu do kultury w naszym regionie. Pod względem dotacji podmiotowych dla instytucji kultury województwo śląskie jest w ogonie: Iwιά część – około 64% chłonie województwo mazowieckie, około 14% – województwo małopolskie. Wyrzeczają nas województwa dolnośląskie i pomorskie, gdzie współfinansowane jest po siedem instytucji, a każde otrzymuje po około 5% dotacji podmiotowych. W województwie śląskim mamy 4,5 miliona mieszkańców w dużej części skupionych w gęsto zaludnionych ośrodkach miejskich – a ministerstwo współfinansuje tu jedynie dwie instytucje: NOSPR i Muzeum Śląskie, co w sumie składa się na 2% wszystkich ministerialnych dotacji podmiotowych. Skoro województwa nie mają szans na ogólne zwiększenie przychodów, to centrala musi wziąć odpowiedzialność za instytucje z „prowincji”. Zespół „Śląsk” z pewnością na to zasługuje: miło jest go posłuchać, pochwalić się nim zagranicą, ale trzeba mieć świadomość, jakie kryją się za tym koszty i przynajmniej je podzielić.

– **W związku z zamiarem integracji dwóch samorządowych wojewódzkich instytucji kultury Regionalnego Ośrodka Kultury w Katowicach i Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego oraz projektem powołania Regionalnego Instytutu Kultury, jakie cele i zadania będzie mieć do zrealizowania ta nowa instytucja, w kontekście funkcjonującego w ramach Biblioteki Śląskiej Instytutu Badań Regionalnych?**

– Regionalny Instytut Kultury ma łączyć w sobie zadania, które dotychczas realizują dwie osobne instytucje: Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach oraz Śląskie Centrum Dziedzictwa Kulturowego. Obserwując działanie tych instytucji, zarówno w poprzedniej kadencji, jak i teraz, dostrzegam, że działania obu tych zespołów powinny być wobec siebie komplementarne. Rozdrobnienie instytucjonalne nie sprzyja realizacji wielu ważnych projektów, które osadzone w wiedzy o dziedzictwie materialnym i niematerialnym regionu w sposób nowatorski powinny być włączone do oferty skierowanej do miesz-

kańców regionu. Liczę, że połączenie instytucji przyniesie nowe spojrzenie na bogactwo naszego dziedzictwa, a także rozpocznie realizację przedsięwzięć zorientowanych na budowanie na nim tożsamości regionalnej oraz promocję województwa. Wyrażam również głębokie przekonanie, że Instytut Badań Regionalnych, działający w strukturze Biblioteki Śląskiej, podobnie jak i sama Biblioteka będą jednymi z najważniejszych partnerów nowo powstałej instytucji.

– **W dokumentach rysujących perspektywy rozwoju naszego województwa takich jak: *Strategia Rozwoju Województwa Śląskiego „Śląskie 2020”*; *Kierunek Śląskie 3.0, Program Rozwoju Województwa Śląskiego do 2030, Regionalny Program Operacyjny Województwa Śląskiego – problematyka kultury traktowana jest wyłącznie przez pryzmat statystyczny, marginalizowana wobec innych zagadnień – przede wszystkim gospodarczych, inwestycyjnych itp. Czy taka perspektywa ostrzegania kultury marginalizująca jej znaczenie dla rozwoju naszego regionu jest właściwa?***

– Nie zgadzam się z tą diagnozą. Kultura nie jest marginalizowana, świadczą o tym inwestycje poczynione w minionych latach: budowa nowej siedziby Muzeum Śląskiego, remont i przebudowa Filharmonii Śląskiej, rewitalizacja Pałacu w Koszęcinie. Ciągłe rozwijamy turystykę, oddajemy do użytku coraz to nowe zabytki postindustrialne: ostatnio najsilniej działa na tym polu Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze, które dopiero co przekazało do zwiedzania nowy, ekstremalny poziom 355 w Kopalni Guido, a od wiosny stopniowo zaczęnie udostępniać kompleks Sztolni Królowa Luiza. Dokumenty strategiczne mają to do siebie, że ich język jest hermetyczny i założenia wyraża się w nich w sposób liczbowy, a wspomina się głównie o infrastrukturze i budowaniu zaplecza. Obecnie dzięki poczynionym inwestycjom własnym, ale też działaniom gmin składającym się na województwo śląskie nadgoniliśmy pewne zapóźnienia i infrastruktura w kulturze nie stanowi już poważnego problemu. Teraz trzeba myśleć jak ją wypełnić dobrymi wystawami, wartościowym repertuarem, ciekawym programem.

– **Czy zdaniem pana marszałka nie powinna zostać otwarta na nowo dyskusja nad głównymi zasadami i priorytetami Strategii Kultury w województwie śląskim na najbliższe dziesięciolecie?**

– Jak wskazuje nazwa *Strategia rozwoju kultury* w województwie śląskim obowiązuje do 2020 roku, a zatem będzie w mocy przez jeszcze pięć lat. Przypomnijmy zapisane w niej cele strategiczne: 1. Wzrost kompetencji potrzebnych do uczestnictwa w kulturze (odbiorcy), efektywnego zarządzania kulturą (animatory kultury) i twórczości artystycznej w warunkach gospodar-

ki rynkowej (twórcy); 2. Wzrost poziomu uczestnictwa w kulturze (biernego w roli odbiorców treści kulturowych i czynnego w roli twórców treści kulturowych); 3. Upowszechnianie i zachowanie dziedzictwa kulturowego regionu (materialnego i niematerialnego) oraz jego efektywniejsze wykorzystywanie do celów turystycznych; 4. Tworzenie lepszych warunków dla rozwoju środowisk twórczych i wykorzystywanie ich kreatywności.

Uważam, że są to cele dobrze zdefiniowane i nadal aktualne. Nie oznacza to natomiast, że nie udało nam się już zrealizować żadnego z założeń tego ważnego dokumentu. Należy pamiętać, że w roku 2006, gdy powstawała Strategia, byliśmy świeżo po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, a większość postulatów zgłaszanych przez środowiska kultury dotyczyła niewystarczającej i w dużej mierze przestarzałej infrastruktury. Dzięki funduszom europejskim pojawiła się niepowtarzalna szansa, aby zrealizować te postulaty. Wielu twórców i przedstawicieli świata nauki uważało, że najważniejszym zadaniem stojącym przed samorządem województwa jest budowa nowej siedziby Muzeum Śląskiego – i również to udało się nam zrobić. Do tego należy dodać np. budowę nowej siedziby NOSPR, kompleksowy remont siedziby Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” remont i rozbudowa siedziby Filharmonii Śląskiej, remont, a właściwie stworzenie Sceny w Malarni Teatru Śląskiego, remont zamku w Pszczynie wraz z dawnymi stajniami książęcymi, remont i zadaszenie dziedzińca zamku w Bielsku-Białej, remont Filharmonii Częstochowskiej itd. Wymieniać można długo. Oczywiście, nie wszystkie te działania były realizowane przez Samorząd Województwa Śląskiego, niektóre odbywały się przy współudziale województwa, a inne prowadziły samodzielnie miasta i gminy regionu – wszystkim im należą się wyrazy ogromnego szacunku.

Dyskusja nad Strategią jest oczywiście potrzebna i toczy się w różnych gremiach; warto byłoby wykorzystać pozostałe pięć lat jej obowiązywania do oceny oddziaływania oraz do pracy nad nowym dokumentem, który powinien obowiązywać po 2020 roku.

– **Jakie działania chce w ciągu najbliższych lat podejmować województwo w sferze kultury dla wzmocnienia potencjału kreatywnego naszego regionu mierzonego m.in. poprzez Europejski Indeks Kreatywności lub tzw. 3T (talent, tolerancja, technologia). W warunkach polskich wskaźniki talentu, tolerancji i technologii, są istotnymi czynnikami kreującymi szanse rozwoju regionów.**

– Jak wiemy, wszystkie nowe działania wymagają dodatkowych środków finansowych, a z tymi, jak już mówiliśmy wcześniej, nie jest najlepiej. Trudno jednak nie zgodzić się z autorami przytaczanego dokumentu, że to sfera kultury wzmacnia potencjał kreatywny spo-

leczeństwa. Zobaczmy, jak wiele dzieje się ostatnio w naszym regionie np. w sferze designu, który łączy kompetencje kulturowe, w tym twórcze, z rynkiem i podmiotami gospodarczymi, czyli biznesem, gdzie, jak wiemy, są pieniądze nieporównywalne z tymi, jakimi dysponują samorządy, a nawet budżet państwa. Naszym „zbrojnym ramieniem” w tej sferze jest Zamek Cieszyn, którego województwo jest współorganizatorem razem z samorządem miasta. Siła oddziaływanie tej instytucji zdecydowanie wykracza poza jej siedzibę, a nawet region, a konkurs „Śląska Rzecz” z roku na rok cieszy się coraz większą popularnością – uzyskanie w nim nagrody staje się celem wielu projektantów i producentów.

– **Jak zamierza województwo samorządowe wspierać konieczny rozwój mechanizmów współpracy i współdziałania pomiędzy różnymi aktorami życia kulturalnego, jakimi narzędziami zamierza się posługiwać?**

– W tym momencie musimy przypomnieć sobie, że samorządy w naszym kraju, pomimo swojej nazwy, w większości wykonują zadania zapisane w stosownych przepisach prawa i w sposób w nich określony. Miejsca na własną inwencję nie ma zatem zbyt dużo, inaczej niż w krajach o mniejszej centralizacji. Dlatego pytanie powinno brzmieć: jakie mechanizmy prawne zostaną stworzone przez ustawodawcę, abyśmy my mogli z nich skorzystać? Obecnie nie ma choćby możliwości wspierania podmiotów gospodarczych działających w sektorze kreatywnym. Samorządy wojewódzkie nie kreują przecież własnej polityki fiskalnej, a to obciążenia podatkowe decydują w dużej mierze o możliwościach rozwojowych sektora prywatnego. Instytucje kultury i organizacje pozarządowe nie oddziałują na rynek pracy w takim zakresie, jak biznes. Dlatego pytanie powinno zostać zadane naszym parlamentarzystom: jakie narzędzia stworzą Państwo w tym zakresie dla samorządów, skoro to one w przeważającej większości finansują sferę kultury, a co za tym idzie środowiska kreatywne w Polsce? Trzeba też dodać, że duże obowiązki w tej dziedzinie spoczywają na szkołach wyższych, nie tylko artystycznych, których finansowanie, jak wiemy, również nie leży w gestii samorządów.

– **W Programie współpracy Województwa Śląskiego z organizacjami pozarządowymi na rok 2016 zapisano kwotę 8 milionów złotych na realizację zadań inicjowanych przez te organizacje, w ostatnio ogłoszonym „Otwartym konkursie ofert na zadania publiczne Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury oraz ochrony i upowszechniania dziedzictwa kulturowego w 2016 roku”, na te zadania przeznaczono tylko lub „aż” 500 000 złotych. Skąd taka dysproporcja?**

– Niestety, musimy sobie uświadomić, że budżet województwa śląskiego jest

porównywalny z budżetem średniej wielkości miasta wojewódzkiego, jakim są Katowice – stąd kwoty, jakie możemy przeznaczyć na poszczególne zadania, nie są szczególnie duże. W ramach tego konkursu do rozdysponowania jest pół miliona złotych, ale trzeba podkreślić, że podejmowane są różne inne formy współpracy z organizacjami pozarządowymi – warto choćby zaznaczyć, że w minionym roku powołano do życia wojewódzką radę pożytku publicznego, która koordynuje działalność obywatelską w regionie i obserwuje jej potrzeby.

– **W ramach różnych badań nad dostępnością kultury zwraca się uwagę na metropolizację dostępu do kultury – najczęściej lepiej wykształceni i lepiej sytuowani mieszkańcy metropolii i środowisk wysoko zurbanizowanych mają lepszy, łatwiejszy dostęp do kultury niż mieszkańcy środowisk wiejskich lub małomiasteczkowych. Ten problem dotyczy także naszego województwa. Czy są jakieś plany zmierzające do zniwelowania tych negatywnych różnic?**

– Tych różnic nie da się zniwelować. Każdy, kto mieszka w małej miejscowości lub na przedmieściach, ma z definicji mniejszy dostęp nie tylko do kultury, ale do wszelkiej infrastruktury. Kluczem jest promocja i zachęcanie mieszkańców spoza metropolii do podjęcia wysiłku, aby skorzystać z bogatej oferty kulturalnej; ważne są też działania szkół, które powinny dzieci i młodzież wdrażać w życie kulturalne regionu.

Na to pytanie odpowiedzi trzeba szukać w zasadzie, w zupełnie innej dziedzinie: w planowaniu przestrzennym. To w tym obszarze trzeba podejmować działania odwracające trend wyludniania się centrów miast i odpływu ludzi w rejony podmiejskie i to tam tkwi klucz do zwiększenia dostępności kultury.

– **Rok 2017 w województwie śląskim będzie Rokiem Reformacji, do jakich innych symbolicznych wartości odwoływać się będą instytucje kultury województwa śląskiego w latach 2016, 2017, 2018?**

– Rok Reformacji będzie dla nas kluczowym wydarzeniem. Warto podkreślać wielowymiarowy charakter województwa śląskiego, zarówno ze względu na liczebność społeczności luteranckiej, jak i jej oddziaływanie między innymi w sferach kultury i gospodarki. Obecny rok 2016 został ogłoszony Rokiem Pamięci Ofiar Pacyfikacji KWK „Wujek”, oficjalne jego otwarcie nastąpi na lutowej sesji Sejmiku Województwa Śląskiego. Planowane są działania upamiętniające wydarzenia sprzed 35 lat, upowszechniające wiedzę szczególnie wśród młodego pokolenia, które nie pamięta tamtych czasów.

Stałym elementem naszej narracji jest przemysł: Szlak Zabytków Techniki stanowi łącznik dla subregionów, a jego święto – Industriada – corocznie przyciąga tłumy do obiektów szlako-

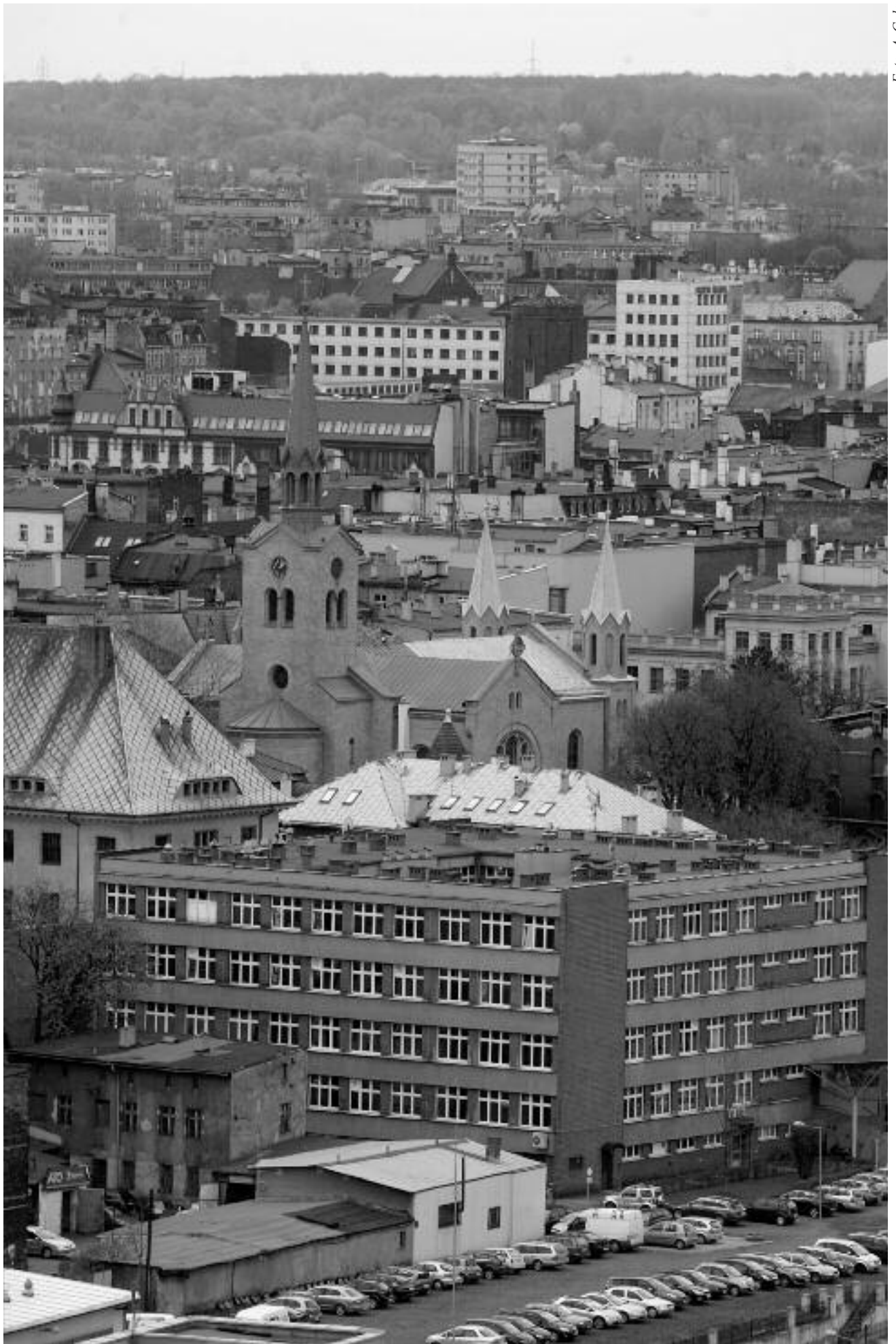
wych i zaprzyjaźnionych. Z pewnością powinniśmy podkreślać także znaczenie postaci historycznych związanych z przemysłem, pokazywać, że są wspólne dla całego województwa, jak choćby hrabia Friedrich Wilhelm von Reden, który był inicjatorem i innowatorem przemysłu w Gliwicach, w Chorzowie i Dąbrowie Górniczej.

– **Język śląski, autonomia województwa – to sztandarowe wartości i projekty RAŚ? Do czerwca 2015 roku był pan przewodniczącym Klubu Radnych RAŚ w Sejmiku Województwa Śląskiego, obecnie ze względu na nowo objętą funkcję w zarządzie województwa: wiceprzewodniczącym – jakie jeszcze inne, jeśli są takie – priorytety będzie środowisko RAŚ promować w swojej działalności w sferze kultury w najbliższych latach?**

– Kultuře zawsze stawialiśmy wysoko, a obecnie w tej dziedzinie chcemy mówić głównie o wewnętrznej integracji województwa, choćby przez wprowadzenie powszechnej edukacji regionalnej z uwzględnieniem specyfiki wszystkich subregionów. Ruch Autonomii Śląska oczywiście koncentruje się na ochronie śląskiej tożsamości, ale dbamy też jako jedni z nielicznych o podtrzymywanie wielokulturowości regionu, choćby poprzez upominanie się o ochronę języka wilamowskiego. Jesteśmy stowarzyszeniem o zasięgu regionalnym, dzięki czemu w polityce mamy nieco inne spojrzenie niż ogólnopolskie partie. Za kluczowe zadanie postawiliśmy sobie poprawę jakości życia mieszkańców, która stanowi klucz do przeciwdziałania wykluczeniu. Promujemy komunikację publiczną, stawiamy na kolej i rowery; chcemy promować zdrowy styl życia i działać na rzecz ochrony środowiska poprzez ograniczenie emisji zanieczyszczeń i hałasu. Dostępność kultury i dbałość o dziedzictwo oczywiście stanowią ważne elementy naszego całościowego – świeżego – spojrzenia, jakie wnieśliśmy w minionym roku do koalicji rządzącej województwem.

– **Dziękuję za rozmowę.** ■

**Dr inż. arch. Henryk Mercik** – absolwent Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej, w 2004 r. obronił rozprawę doktorską. W latach 1999–2008 był miejskim konserwatorem zabytków w Rudzie Śląskiej. W 2008 r. został miejskim konserwatorem zabytków w Chorzowie. Od 2010 roku jest radnym Sejmiku Województwa Śląskiego, przewodniczącym (od 2015 r. wiceprzewodniczącym) Klubu Radnych RAŚ. W latach 2010–2014 był przewodniczącym Komisji Edukacji, Nauki i Kultury. W latach 2014–2015 sprawował funkcję wiceprzewodniczącego Sejmiku Województwa Śląskiego. Od 22 czerwca 2015 r. jest członkiem Zarządu województwa śląskiego, odpowiada za sprawy kultury, ochrony środowiska i planowania przestrzennego.



Z **JACKIEM CZECEM**, alpinistą, uczestnikiem ekspedycji na Nanga Parbat rozmawia PIOTR MICHALSKI

Fot. J. Czech



Zespół w ścianie, w Kularze Kinschofera

# Zima nie pyta, czy jesteś zdobywcą ośmiotysięczników

– Na liście czternastu ośmiotysięczników tylko dwa z nich pozostają jeszcze niezdojane zimą: Nanga Parbat i K2. I właśnie ten pierwszy szczyt próbowali zdobyć w tym roku dwaj Ślązacy. Kto znalazł się w składzie tej wyprawy?

– Tylko Adam Bielecki i ja.

– Dlaczego postanowiliście pojechać na tę wyprawę tylko we dwóch?

– Wspinamy się z Adamem od pewnego czasu. Niedawno, zimą, przeszliśmy razem na przykład słynną północną ścianę Matterhornu w Alpach. Udało się nam pokonać ją w ciągu doby. Byliśmy też na wyprawie w Patagonii. We

wrześniu ubiegłego roku wspinaliśmy się także na świetnych szczytach w Peru. Przeszliśmy tam trzy duże ściany na wierzchołkach: Nevado Artensoraju, Nevado Churup i Sfinks. To są ściany szczytów o wysokości między pięć a sześć tysięcy metrów. Przeszliśmy te trzy ściany bardzo szyb-



ko – po kilka godzin zajęło nam pokonanie urwisk, które miały w granicach kilometra wysokości. Mieliśmy więc formę. A do tego dobrze się czujemy razem, jako zespół. Wspinaliśmy się w stylu alpejskim.

**– Wyjaśnijmy, że styl alpejski polega na zdobywaniu góry w jednym szturmie od punktu wyjścia aż do szczytu, ze sprzętem asekuracyjnym, biwakowym i prowiantem niesionymi ze sobą, bez powrotów do bazy. Jest to styl trudniejszy, bardziej wymagający w himalaizmie, ale i wyżej ceniony.**

– Podczas tej wyprawy narodził się pomysł, żeby gdzieś jeszcze pojechać razem i zrobić coś ciekawego. Adam myślał o Nanga Parbat. Wstępnie był zaproszony na wyprawę przez zespół Baska Alexa Txikona, ale ostatecznie z różnych powodów nie doszło do ich wspólnego wyjazdu. Ja też myślałem, żeby pojechać na Nanga Parbat, ale raczej żeby to była jakaś większa ekspedycja narodowa – wieloosobowa, z członkami Polskiego Himalaizmu Zimowego, czyli w ramach projektu Polskiego Związku Alpinizmu, w którym jestem instruktorem. Szkolę tych ludzi, od kilku lat się spotykamy na różnych obozach, unifikacjach i rozwijamy wiedzę w tej dziedzinie. No, ale nie było odzewu czy potwierdzenia, żeby ta narodowa wyprawa miała się odbyć tej zimy. Z kolei Adam myślał coraz intensywniej, żeby jechać na Nanga Parbat. Będąc na wyprawie w Peru zaproponował mi, żebyśmy pojechali we dwójkę. Pierwotnie myśleliśmy, żeby jeszcze kogoś dokoptować, żeby był zespół trzyosobowy – ale ostatecznie do tego nie doszło. I tak, pod koniec września ubiegłego roku uznaliśmy, że chcemy pojechać wspólnie. Zaczęliśmy snuć plany. Momentalnie pojawił się też pomysł działania w stylu alpejskim. My w ten pomysł wierzymy. Przy dobrej pogodzie i przy rzeczywiście stuprocentowej formie, w naszym przypadku jest szansa – chociaż nikła, ale jest – na to, żeby na szczyt wejść w zimie. Na pewno himalaizm zimowy jest bardzo trudny i trudne jest wejście w jakimkolwiek stylu, w stylu alpejskim również. No, ale nie było dobrej pogody, więc planu nie zrealizowaliśmy. A nasz plan zakładał zdobycie przednio aklimatyzacji w Ameryce Południowej, szybki przelot do Pakistanu i działalność tam, w oparciu o uzyskaną tam aklimatyzację.

**– Chcieliście jechać do Ameryki Południowej po to, żeby zdobyć aklimatyzację potrzebną w Himalajach?**

– Ten pomysł Adam miał już kilka lat temu, sam dla siebie. A ja wpadłem na to samo niezależnie, już na początku istnienia projektu Polski Himalaizm Zimowy, jeszcze podczas rozmów z Arturem Hajzerem. I tak okazało się, że

niezależnie od siebie obydwa myśleliśmy o tym samym. A teraz była to konsekwencja tych naszych planów. Rozmawiałem o tym z Arturem Hajzerem [Polski taternik, alpinista i himalaista, twórca i szef programu Polski Himalaizm Zimowy 2010-2015, kierownik wypraw działających w ramach tego projektu. Zginął 7 lipca 2013 r. podczas wyprawy na Gaszerbrum I. Zdobywca siedmiu ośmiotysięczników i autor pierwszej wyprawy zimowej na Annapurnę. – przyp. P.M.]. Uważałem, że on powinien zajmować się unifikacją członków projektu Polski Himalaizm

---

**Wszyscy byli tego świadomi i mówili to samo: jak powyżej siedmiu tysięcy metrów jest wiatr większy niż 30 km na godzinę, „to jest już trupia czaszka”.**

---

Zimowy właśnie w Ameryce Południowej. Miało to polegać na wspinaniu się i zdobywaniu odpowiedniej wysokości, a później, na w miarę szybkie przemieszczanie się w Himalaje i działaniu już tam, na dużej wysokości, z wykorzystaniem zdobytej w ten sposób aklimatyzacji. W Himalajach to nie byłoby możliwe, żebyśmy spali w zimie na takiej wysokości przez trzy dni z rzędu. Pogoda w Himalajach zimą jest bardzo niekorzystna. A tam, w Peru, po pierwsze trwało lato, a po drugie da się wyjechać na tyle wysoko autem, żeby dość szybko wyjść na około 7 tysięcy metrów.

**– To pomysł rewolucyjny, chyba nie było wcześniej czegoś takiego?!**

– Na pewno nie wśród polskich wspinaczy. Słyszeliśmy wprawdzie, że różne osoby próbowały, ale my podszliśmy do tego świadomie. Tym bardziej że w podjęciu tej decyzji, paradoksalnie, pomogło nam zamknięcie Tybetu przez Chińczyków w sezonie w 2015 roku. Zdecydowaliśmy się więc na przeniesienie naszego wyjazdu do Ameryki Południowej, w rejon Andów Peruwiańskich – Cordillera Blanca. Spędziliśmy najpierw prawie tydzień w rejonie Ojos del Salado [drugi co do wys. szczyt na półkuli pd., drugi na półkuli zach. i jednocześnie najwyższy wulkan na świecie, o wys. 6893 m n.p.m., zdobyty po raz pierwszy przez Polaków – Jana Alfreda Szczępańskiego i Justyna Wojsznisa, w r. 1937. – przyp. P.M.], na niższych wysokościach. I w zasadzie już drugiego dnia po przyjeździe weszliśmy na wierzchołek. W sumie na dużej wysokości – od czterech do prawie siedmiu tysięcy metrów nad poziomem morza, spędziliśmy czternaście nocy. Na ten szczyt z ostatniego schroniska jest mniej więcej tysiąc metrów, które pokonał w około pięć godzin. Na szczycie, oczywiście, zostawili-

śmy depozyt. Po zejściu, dwa dni odpoczęliśmy na wysokości 5200 m i... znowu poszliśmy na wierzchołek i tuż poniżej szczytu, n krawędzi krateru, około osiemdziesięciu metrów poniżej wierzchołka, spędziliśmy trzy noce. Chodziliśmy też i oglądaliśmy także gejzery. Próbowaliśmy obejść ten szczyt. Niestety, przez większość czasu wiał wtedy bardzo silny wiatr. Na szczycie byliśmy więc dwa razy. Z tym, że drugi raz to już tak prawie na czworakach... No i w nocy było bardzo zimno. Myślę, że około -30°C. A do tego potężny wiatr. Na szczęście

mieliśmy namiot ustawiony w dobrym miejscu. Owszem, wiatr huczał, ale dało się spokojnie przeżyć. Tak więc to była dobra dla nas aklimatyzacja.

**– Przecież to jest krater wulkanu!**

– Tak, to jest wulkan. Krater centralny jest zamrożony, bo tam znajduje się lodowiec, ale wulkan nadal jest czynny. Kilkaset metrów poniżej krateru są nadal aktywne otwory, z których wydostają się gazy, gejzery, kłęby pary wodnej, wypływają różnego rodzaju substancje. Oczywiście nie zbliżaliśmy się do tych miejsc, bo mogły to być gazy trujące. Kilka razy w okolicach naszego namiotu, kiedy wiatr zawiewał z dołu, czuliśmy jakiś podejrzany smród...

**– Ale to przecież inny świat, niż Himalaje! Wspinale się przecież w wielu różnych górach na całym świecie – i zawsze to wygląda podobnie, choć za każdym razem inaczej, a tam był wulkan?**

– No tak, to jest inny świat. Przede wszystkim te góry otoczone są pustynią. Obok jest Pustynia Atakama. Podobno to jest najbardziej sucha pustynia na świecie i podobno od kilkuset lat nie padał tam deszcz.

**– To jest góra, która wznosi się nad tą pustynią?**

– Tak. Niesamowite jest też to, że na ten szczyt jako pierwsi ludzie na świecie weszli w latach 30. minionego wieku Polacy! I co ciekawe: my te dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Copiapó przejechaliśmy jeepami, a wtedy nie było samochodów, nie było tam w ogóle dróg! Ludzie przemieszczali się z pomocą karawany – na mułach, na osłach. Inny świat! Nie ma tam też właściwie dostępu do wody słodkiej. Wprawdzie są różne źródła, ale na ogół jest to woda słona, albo bardzo mocno zmineralizowana i nie nadaje się do picia. My zabraliśmy wodę ze sobą. Tak więc czuliśmy i czujemy niesamowity



Jacek Czech w bazie. W tle także flagi – polska i śląska

szacunek dla Polaków, którzy tego dokonali!

– **Rzeczywiście, pokazaliście całkowicie inny rodzaj działania!**

– Mieliśmy zamówionego człowieka z jeepem, który przyjechał po nas o godz. 10. Tak więc rano byliśmy jeszcze na wysokości powyżej 5 tysięcy metrów, a wieczorem już mieliśmy lot samolotem. Wszystko było więc załatwione na styk, no i dobrze zafunkcjonowało. Po przylocie, w Polsce spędziliśmy dwie doby i znów siedzieliśmy w samolocie – tym razem do Pakistanu.

– **W Pakistanie okazało się, że pod Nanga Parbat działa, albo będzie działać kilka wypraw.**

– Wiedzieliśmy, że będą inne wyprawy, bo każda z nich gdzieś w prasie czy w Internecie publikowała na ten temat. Więc nie byliśmy zaskoczeni. W pewnym sensie cieszyliśmy się, że poznamy kogoś nowego, bo to są wybitni himalajscy. Taka konfrontacja towarzyska zapowiadała się bardzo miło.

– **Na miejscu okazało się, że tam są i działają też Polacy: Tomasz Mackiewicz ze swoją wyprawą. Zaczęliście wyprawę wspólnie, czy było kilka osobnych wypraw – każda na innej drodze?**

– Każdy miał plan na jakąś drogę. I każdy w swój plan wierzył, więc z początku realizował to, co sobie wy-

myślił. Wszyscy byli przekonani, że to jest właściwy sposób. Tak więc było bardzo duże zrozumienie wyboru innych celów i bardzo dobra współpraca w bazie. Bo ludzie z wyprawy Tomka Mackiewicza i Elisabeth Revol oraz Simone Moro przyjechali do miejscowości Chilas – to ostatnia miejscowość przed wejściem do doliny, oddalona o jakieś pięćset kilometrów od Islamabadu – dwa dni przed nami. W zasadzie Tomek jeszcze sporo wcześniej, ale on czekał na pozwolenie. W każdym razie, w dniu, w którym przyjechaliśmy do Chilas, oni już wyszli karawaną. My dotarliśmy tam po południu. Mieliśmy też przestój związany z załatwieniem spraw formalnych – ale to w niczym nie przeszkadzało i niczego nie zmieniło, bo i tak nie było odpowiedniej pogody, która pozwalałaby na szybkie wejście do góry. Chilas to ładna miejscowość, ale niełatwa. O ile sześć lat temu, podczas wyprawy chodziliśmy sobie po Chilas swobodnie, teraz zabroniono nam nawet wychodzenia z hotelu. Wyczuwalne jest napięcie. Jak wychodziliśmy na wycieczkę, to nasz przewodnik Ali dowodził nas i przywoził z powrotem. Widać, że te grupy ludzi nie żyją dobrze ze sobą, że między nimi rośnie napięcie. Część tragarzy, którzy byli u nas w bazie, a później też i kucharzy, obsługa bazy, pochodziła z innej

doliny – mówili, że są tam bardzo niemiłe widziani. Ale dzięki temu, że jest policja, to wszystko jeszcze jakoś działało. Bo na co dzień, oni ze sobą walczą...

– **Ale gdy widzą, że przyjeżdżają „bankomaty z zachodu”, to można iść?**

– Nie, to nawet nie chodzi o to, że oni walczą ze sobą o nas, o klientów – ale walczą sami ze sobą, niezależnie od tego, czy jest jakaś wyprawa, czy nie. Tak więc wyprawa jest dla nich tylko zielonym światłem, że mogą zarobić. To pomaga przeżyć tym wioskom. Wracając, zostawiamy jakąś część ubrań, butów, itp. Zawsze z jakiejś wyprawy ktoś im coś da, czy zostawi. Ale teraz była zima i było widać, jak wiele im brakuje, bo na przykład niektórzy nie mieli nawet butów. Tam po prostu jest bieda.

– **Przyjechaliście i chcieliście – taki był plan – wspiąć się na Nanga Parbat w stylu alpejskim?**

– Byliśmy przygotowani i całkowicie w to wierzyliśmy. Uważam, że była szansa. Nie mówię, że weszlibyśmy na szczyt, bo nie byłoby łatwo, ale szansa była.

– **Jakie, o tej porze roku, panują w bazie warunki?**

– Takie normalne. To znaczy „normalne” – dla alpinisty, który działa w górach, do tego zimą. Temperatury w bazie są na ogół na poziomie  $-20^{\circ}\text{C}$ ,



Adam Bielecki w obozie pierwszym

bywają większe mrozy. Śniegu było niepełna metr, a więc podobno w tym roku było bardzo dużo śniegu, bo na ogół zimą w tych rejonach jest wywiany. Na szczęście dla nas, w samej bazie nie wiało, za to wyżej wiało już, niestety, bardzo mocno. Ja opierałem się całkowicie na doświadczeniu innych himalaistów, przede wszystkim Adama. No bo to jest mój partner, i to taki partner! [Adam Bielecki jest m.in. pierw-

Jako alpinista, który ma doświadczenie na niższych wysokościach, wydawało mi się, że te warunki będą pozwalały na działanie powyżej siedmiu tysięcy metrów. Wszyscy byli tego świadomi i mówili to samo: jak powyżej siedmiu tysięcy metrów jest wiatr większy niż 30 km na godzinę, „to jest już trupia czaszka”. W bazie było normalnie, ale w górze cały czas było widać potężne soczewki, pióropusze

pokazuje strzałeczką, tylko pracuje nad tym sztab ludzi – specjalistów, którzy opracowują naukowo i podają prognozę na podstawie badań i obserwacji, dokładnie dla tego miejsca. Taka prognoza sporo kosztuje – prawie dwa tysiące dolarów. Prognozy konsultowaliśmy z innymi wyprawami. Oni też mieli swoje źródła. I umieją je czytać – bo to są skomplikowane diagramy. Temperatury, zachmurzenia, opadów, wilgotności, ciśnienia. I to się po prostu na siebie nakłada, a potem jeszcze trzeba umieć to interpretować. Oczywiście musisz umieć wykorzystać te dane, zinterpretować je i sam podjąć decyzję, co robić. Nie jest powiedziane, czy możesz iść, czy nie.

– **Opowiedz o współpracy i o relacjach z innymi wyprawami. Mówiłeś, że współpraca układała się dobrze, ale każdy miał swój cel i, niezależnie od siebie, każdy dostawał w kość.**

– No tak, każdy pracował, wynosił liny poręczowe i rzeczy do obozów, aklimatyzował się. Ale każdy niezależnie od siebie. Właściwie na Drodze Kirschofera, my jako pierwsi poszliśmy do obozu pierwszego. Ale było tak dużo śniegu, że musieliśmy zawrócić. Tylko zostawiliśmy depozyt. Naza jutrz znowu wyszliśmy. Tego dnia wyszedł też Alex Txikon, więc trochę

---

**Ja się czułem po prostu tak, jak w Tatrach na wspinaniu! Ot, zwyczajnie, bez żadnego hamulca. Byłem w stanie nadać swoje tempo i trzymać je przez kilka godzin bez przerwy.**

---

szym w historii zimowym zdobywcą dwóch ośmiotysięczników Gaszerbrum I (2012 r.) i Broad Peak (2013 r.) oraz letnim zdobywcą Makalu (2011 r.) i K2 (2012 r.). Pochodzi z Tychów. – przyp. P.M.] Ale korzystałem też z rozmów z Simone Moro [wybitny himalaista włoski, zdobywca m.in. ośmiu ośmiotysięczników, w tym trzech pierwszych zimowych wejść: Sziszapangma (2005 r., z Piotrem Morawskim), Makalu (2009 r., z Denisem Urubką) i Gaszerbrum II (2011 r., z Denisem Urubką i Cory Richards'em). – przyp. P.M.]

na szczycie, było słyhać, jak tam, w górze, wiatr aż huczy i trwa huragan.

– **No a ciebie, przez to, że nie masz, tzn. że nie miałeś takiego doświadczenia z podobną wysokością, po prostu rwało do góry?**

– No właśnie! Pierwsze dni siedzenia były niełatwe. I powiedziałem do Simone: „A może pójdziemy, spróbujemy?”. Ale co, wejść na siedem tysięcy i liczyć na to, że pogoda się zmieni? Pogoda, która była zapowiedziana? Szanse są małe – bo ją analizują naukowcy. To nie jest prognoza, którą pani w telewizorze

zmienialiśmy się na prowadzeniu. Ale oni w innym miejscu założyli swój obóz pierwszy, jakąś godzinę poniżej miejsca, w którym zrobiliśmy to my. I gdyby dopisała pogoda, to miał on stanowić dla nas taki depozyt startowy. Bo do tego miejsca było to właściwie takie podejście pod ścianę. Sama ściana zaczyna się od „jedyńki”.

**– Czy to z powodu złej pogody połączyliście siły i postanowiliście działać razem?**

– Nie do końca było tak, że od pewnego momentu wszyscy działaliśmy razem. To się zmieniało. W momencie, kiedy my dogadaliśmy się z Alexem Txikonem, że będziemy współpracować, to Simone Moro jeszcze działał na sąsiedniej Drodze Messnera i na tej samej drodze działał Tomek Mackiewicz. Ale oni mieli swoje, indywidualne tempo, wychodzili w inne dni, nie wchodzili sobie w drogę. A my na Drodze Kirschoffera chcieliśmy działać samodzielnie. Lecz ze względu na to, że dobrej pogody nie było i nie było – mnie też, mógłbym powiedzieć, moc spadła. Nie wiem, co się stało – może organizm miał już dość picia wody z roztopionego śniegu, byłem przez tydzień osłabiony. To akurat zbiegło się z trzecim i czwartym wyjściem do góry. Efekt był taki, że odciniek, który za pierwszym razem, nor-

**– Taka sytuacja od razu rodzi kłopoty nie tylko dla ciebie, ale dla całego zespołu, czyli w tym przypadku dla was obu!**

– Próbowaliśmy z Adamem przenieść obóz wyżej, założyć drugi, no ale uznaliśmy, że nie ma co, w naszej sytuacji, iść dalej, na siłę. A do tego nie było dobrych prognoz pogody. Jeśli więc teraz zmęczymy się, a za tydzień będzie dobra pogoda – to nie będziemy w stanie iść. Ale byliśmy przygotowani i mieliśmy w zanadru inne pomysły. Uznaliśmy, że pójdziemy na wysokość pod siedem tysięcy metrów, żeby odnowić naszą aklimatyzację i wynieść jak najwięcej sprzętu do góry. I wtedy przeprowadziliśmy też rozmowę z Alexem Txikonem. Dogadaliśmy się, że my weźmiemy jakieś jego liny poręczowe, zawiesimy je, a potem, gdyby nam się udało, będziemy z nich korzystać i po nich zjeżdżać. I tak zrobiliśmy. Wróciłem szybciej do obozu, bo właściwie w plecaku nic nie miałem, a Adam poszedł z Daniele Nardim jeszcze jedną długość liny wyżej. No i właściwie nic więcej tam nie zrobiliśmy. I wtedy właśnie Adam miał lot.

**– Jak to się stało?**

– Dla osób z zewnątrz to jest niepojęte. My, którzy chodzimy tak po górach, to wiemy, że to normalna rzecz, że coś

**– Gdybyście nie mieli tej dodatkowej, własnej asekuracji, to mogłoby być tragicznie?**

– No tak. Ale reszta – mimo że ta lina pękła, to oni dalej chodzili po starych poręczówkach! Jakby niczego ich to nie nauczyło... Chyba to wszystko spowodowało, że podjęliśmy decyzję o wycofywaniu się. Adam podjął ostateczną decyzję. On był szefem i liderem tej wyprawy. Oczywiście konsultował to ze mną, bo my ze sobą zwyczajnie rozmawiamy, nie mamy z tym problemów. Przemysleliśmy to w ciągu kilku dni i uznaliśmy, że wycofujemy się.

**– Z pewnością to była trudna decyzja, bo przecież tak bardzo się chce wejść.**

– Widzieliśmy, że z pogodą naprawdę jest źle i mimo prognoz, które dawały nadzieję, to się nie sprawdzały. Przez cały czas trwało, jak je nazwalismy, „uciekające okno pogodowe”. To znaczy: według prognozy za cztery – pięć dni będzie lepiej, ale za dwa dni w prognozie czytaliśmy znowu, że lepiej ma być za te cztery – pięć dni... I to się cały czas przesunęło. A życie to potwierdzało. Chłopcy, którzy próbowali, wracali z niczym. Było też bardzo zimno. Ale to było zimno takie zwykłe, które jest do zaakceptowania. Mieliśmy bardzo dobry sprzęt, a jeśli do tego człowiek ma co jeść i się rusza, to jest w porządku. Mieliśmy też dobrą formę. Naprawdę szybko się poruszaliśmy – po pierwszym zejściu do bazy to nawet ekipa nam gratulowała: Hiszpanie, Włosi, Francuzi, byli pod wrażeniem. Okazało się, że aklimatyzacja z Ameryki Południowej, oraz obrana przez nas taktyka przygotowań działa – i to działa świetnie! Ja się czułem po prostu tak, jak w Tatrach na wspinaniu! Ot, zwyczajnie, bez żadnego hamulca. Byłem w stanie nadać swoje tempo i trzymać je przez kilka godzin bez przerwy.

**– Pomysł „wyjazdu po aklimatyzację” do Ameryki Południowej okazał się dobry?**

– Zatem wierzę w to, że mocny zespół ma szansę na przejście drogi, być może na sukces. Ale do tego jeszcze musi być dobra pogoda i jeszcze bardzo wiele czynników musi sprzyjać, w tym, także psychicznych. My od początku realnie planowaliśmy ten okres. W poprzednich latach, na przełomie grudnia i stycznia były tygodniowe okresy dobrej pogody. Byliśmy świadomi, że byłoby świetnie, jakby się to powtórzyło. Ale nie powtórzyło się, żeby chociaż dwa takie dni się zdarzyły. Tylko że to byłoby już zupełnie „po krawędzi”. Nie powtórzyło się – i może dobrze, że się tak stało. Bo nie ma żartów. Zima nie pyta, czy jesteś zdobywcą ośmiotysięczników, czy nie. Czy jesteś tam pierwszy raz, czy dwudziesty. A nie chcemy popełnić błędu i ulec jakiejś kontuzji.

---

**Dobrze znoszę mrozy i mnie to nie przeszkadza, ale jeśli cały czas czuję w nogach mróz, cały czas marzną mi nogi, mimo że mam ogrzewacze termiczne, których zresztą użyłem pierwszy raz, a mimo to marzną mi nogi, to wiesz już, że to nie jest normalne.**

---

malnie wspinając się, a jeszcze do tego niosąc i zakładając poręczówki, robiliśmy w ciągu sześciu godzin, to teraz, po poręczówkach, szedłem dziewięć godzin. Czułem się źle. Poza tym pakistańskie jedzenie w ogóle mi nie leży – chleb zabrałem z Polski. Mieliśmy wprawdzie liofilizaty – są smaczne, ale jak na tamte warunki, mają zbyt małą wartość kaloryczną. Taka porcja to tylko kilkaset kalorii, a my musimy zjeść dziennie kilka tysięcy. Formalnie „musimy”, bo realnie nie jest to możliwe. Nikt na tych wysokościach nie jest w stanie tyle zjeść, nawet gdyby miał sporo prowiantu. Byłem przygotowany na to, że przez kilka dni będziemy słabiej się odżywiać. Niestety, pojawiła się u mnie infekcja zewnętrzna, która mnie osłabiła. Dostałem biegunkę i nogi miałem, jak z waty. Co dziwne, zacząłem marznąć. Dobrze znoszę mrozy i mnie to nie przeszkadza, ale jeśli cały czas czuję w nogach mróz, cały czas marzną mi nogi, mimo że mam ogrzewacze termiczne, których zresztą użyłem pierwszy raz, a mimo to marzną mi nogi, to wiesz już, że to nie jest normalne.

takiego się zdarza. Teren był łatwy, ale mimo to, asekurowaliśmy się – tak zawsze robimy. Ale wiadomo, jak teren jest łatwy, to nie asekurowaliśmy się porządnie. Adam poleciał, na szczęście wszystko zadziałało, jak należy. Dobrze, że po drodze, którą leciał, nie było jakichś zębów skalnych. To była ściana lodowa. Poobijał się, poturbował, uderzył głową, nawet na chwilę stracił przytomność, gdy spadał głową w dół. Zatrzymał się na linie. Okazało się, że po przejściu tego odcinka, założeniu na nim swoich punktów asekuracyjnych, Adam dopiął się liną do wiszącej już tam poręczówki, która się urwała! Zamarznięta lina pękła... No cóż, to jest rzecz, którą robimy odruchowo, nie myślimy o tym. Ale dzięki temu, ja sobie myślę, uratował komuś życie. Bo ludzie z pozostałych wypraw nie asekurowali się wcale swoimi linami – chodzili wykorzystując stare poręczówki. Zresztą trzy, czy cztery dni później Daniele Nardi, dwieście metrów wyżej, wpiął się do trzech starych poręczówek, no i... wypadło całe stare stanowisko, a on poleciał osiem, czy dziesięć metrów, na szczęście nic się nie stało.

## A jednak Nanga Parbat zdobyta zimą!

Okazało się, że cierpliwość i czas poświęcony na wyczekiwanie zostały nagrodzone. Szczyt Nanga Parbat doczekał się pierwszego wejścia zimowego! W ataku szczytowym, który miał miejsce 26 lutego – wziął udział czteroosobowy zespół w składzie: **Ali Sadpara, Alex Txikon, Simone Moro i Tamara Lunger, przy czym na szczycie stanęła trójka wspinaczy – bez Tamary Lunger, która musiała zawrócić poniżej wierzchołka.** P.M.

Bo z małej kontuzji, zwłaszcza tam, robi się duży problem. A chcemy wracać rodzin, do żon, do dzieci. I do gór.

Okazało się, że się po prostu nie da. I nadal się nie da. Nawet, jakbyśmy siedzieli tam dalej i czekali do dzisiaj, też nic by to nie zmieniło. Zostały tam jeszcze ekipy Simone Moro i Alexa Txikona. Zobaczymy, czy wejdą. Nadal mają szansę, bo potencjał mają wyjątkowy. Ale czas pokaże, czy to wystarczy, czy nawet to okaże się za mało. Może będą mieli szansę wyjść, ale równie dobrze może tej szansy już nie być – nawet przez kilka lat! I nie masz na to żadnego wpływu.

– **Czy po tym wyjeździe pozostała wam w głowach taka świecąca się lampka, że może jeszcze kiedyś, w zimie, „ta Nanga” – czy już nie?**

– Technicznie – na pewno tak. Ale kluczowe znaczenie będzie miało to, czy ktoś jeszcze wejdzie w tym roku, czy

nie. Bo jak wejdą, to już na pewno nie. Ale jeżeli nikomu nie uda się wejść, to latem zaczniemy zastanawiać się. Musi jeszcze być zdrowie i inne warunki muszą być spełnione. I jak to będzie grało – to oczywiście taki pomysł pewnie się pojawi. A to wyjdzie samo, mamy zdrowe podejście!

– **A na koniec: słyszę że nie „mówisz”, tylko „godosz”! Oprócz tego, na zdjęciach, które mi pokazałeś, widać śląską flagę.**

– Wiesz, ja jestem ze Śląska, tak samo stąd jest mój ojciec, jego ojciec i tak dalej. No i zabrałem flagę śląską. To jest tak samo, jak to, co widziałem na wielu wyprawach: na przykład Baskowie – między innymi Alex Txikon – zabierają flagi baskijskie i tak dalej. To jest ważne i fajne!

– **Dziękuję ci bardzo za rozmowę!**

– I jo, dziękuj!

**Jacek Czech** – absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, instruktor sportu w zakresie wspinaczki wysokogórskiej, narciarstwa, pływania i gimnastyki, sternik jachtowy i motorowodny, instruktor Polskiego Związku Alpinizmu i trener wspinaczki sportowej. Wspina się na zawodach wspinaczkowych, w skałkach, Tatrach, Alpach (latem i zimą), w Pirenejach i Andach. Jest uczestnikiem Mistrzostw Europy i Mistrzostw Świata w skialpinizmie. Brał udział w letniej wyprawie himalajskiej na Cho-Oyu (8201 m n.p.m.), letniej i zimowej wyprawie na Nanga Parbat. Prowadzi również Szkołę Wspinaczkową oraz ścianki wspinaczkowe w Rudzie Śląskiej i w Pawłowicach koło Żor. Jest autorem olbrzymiej ilości przejść trudnych dróg wspinaczkowych w górach całego świata: w Peru, Patagonii, Alpach i w Tatrach.

**Piotr Michalski** – wspina się od ponad dwudziestu lat, instruktor wspinaczki. Współpracuje z krakowskim pismem „Góry” i z portalem wspinanie.pl, publikuje w kwartalniku „Tatry”. Jest autorem opowiadań, felietonów, recenzji i tłumaczeń oraz artykułów o charakterze przewodnikowym. Studiował w Katowicach. Związany z katowickim środowiskiem wspinaczkowym.



Fot. J. Czech

„Czterej wspaniali” z wyprawy na Nanga Parbat: Simone Moro, Jacek Czech, Adam Bielecki, Tamara Lunger.

## PRZYPOWIEŚĆ O NIEWIDOMYM

To On mnie pochwycił na drodze  
i trzymał się mnie  
jak ślepy ogień.

– Co chcesz, abym Ci uczynił, Panie? –  
pytałem, powtarzałem  
do utraty zmysłów, do zatruty  
ostatniego ja.

Aż zrobiło się jasno  
i już nie słyszałem swego głosu,  
tylko cisza, jakby się osuwał  
mój proch.

Wtedy usłyszałem  
jakby w miejscu po sobie  
Jego odpowiedź:

– Żebym przejrzał, synu,  
przez ciebie  
do mojego świata.

## MARANATHA

*Mówił Ten, który o tym zaświadcza:  
„Zaiste, przyjdę niebawem”.*

Ap 22, 20

Chyba się udało:

Ten zeszyt jest pusty  
na wylot.  
Można tu zostać na zawsze  
i bez dalszego ciągu  
albo przejść na siódmą,  
na siedemdziesiątą siódmą  
stronę,  
ponad śnieg bielszą  
i do końca jedyną.

Ani tu zgrzytu pióra  
po autorze, myślnika  
po jego drabinie  
do własnowolnej wspinaczki.  
Wszystko oddane  
do białej kropki,  
opuszczone, otwarte  
na oścież.

## POGRANICZE

Tutaj, a już mnie  
prawie nie ma,  
mego wzroku, słuchu  
i dalszego ciała.

Patrzę w ekran i nie wiem:  
strzelają do nas jeszcze  
czy to nasz zmarły pies  
tak zewsząd szczeka?  
Moje ramię tam leży  
czy trafili w niego?

Mamo, ty jeszcze żyjesz?  
Czemu mnie wleciesz  
w przeciwną stronę?  
Czemu tak sapiesz, upadasz,  
jak gdy mnie niosłaś wzdłuż Brdy  
pokopanego przez niemiecką kłacz?

Zostaw mnie, zostaw,  
tu jestem bezpieczny,  
w tym słodkim zemdleniu  
schowany jak w tobie.

Mamo, tato, pod waszą  
grobową płytę na bielawskim cmentarzu  
wsunąłem mój ostatni tomik z wierszami,  
owinałem go folią,  
omodliłem serdecznie,  
żeby jak najdłużej  
pobył z wami.  
Czy to jeszcze należy do sensu?

## NIE CHCĘ DALEJ

Wracaj do siebie, do Niego,  
moje wieczne życie, moja  
uparta droga.

Ja już nie widzę, nie słyszę,  
nie pragnę,  
ja tu zostaję  
wierny śmierci  
i nie chcę  
żadnej gąbki z octem.

Tu będę czekał, choćby  
na zawsze,  
na wieczne szyderstwo ciemności.

## OSTATNI WIERSZ –?

*Dokonano się.*  
J 19,30

Ostatni.  
Ale w każdym,  
który w drodze.  
Jak mnożony chleb.

Ostatni.  
Ale taki,  
który nie utonie  
we własnym odbiciu.

Wiersz  
jak gwóźdź –  
przez rękę  
do krzyża.  
Z Tobą  
do-konany.





# Śląsk jak pokrzywa

– W zbiorze esejów pt. *Pokrzywa* zapisał pan: „Pokrzywowe smagnięcie niszczy (...) stereotypy: narodowe, rasowe, klasowe, patriotyczne, literackie. Uwalnia od różanego mitu nasyconego niedotykalnym ideałem (...), kłamstwem ufundowanym na wizjach i omamach”. Czy literatura o Górnym Śląsku i tu powstająca nie potrzebuje takiego smagnięcia pokrzywą? A może już je otrzymała?

– Ale mnie pani trafiła – w samo serce. Faktycznie, uczę się od pokrzyw, a zaczęło się to dwadzieścia lat temu; w środku zimy, w środku Katowic, w środku budynku polonistyki, w środku wykładu zobaczyłem nagle na parapecie zapomnianą donicę z wyschniętą ziemią, a w niej – pokrzywę. Młoda, zielona, żywa, zjawiła się jak duch. Pomyślałem, że

chciałbym spojrzeć na świat z jej perspektywy. No i jakoś poszło; a że był to okaz gatunku *urtica*, który wyrósł na placu Sejmu Śląskiego, należy zatem do śląskiej flory, więc świadczy też o Śląsku. Piękna i brzydka zarazem, paląca w dotyku, cierpka w smaku, a rośnie tam, gdzie ludzie. Na terenach cywilizowanych, także na industrialnych i postindustrialnych, a nawet „postludzkich”, o czym pisze Miłosz w wierszu *Oset, pokrzywa, lopuch, belladonna*. To były latach dziewięćdziesiąte XX wieku, dojeżdżałem do Katowic z Chorzowa na rowerze i widziałem likwidowane hutę, kopalnie, opuszczone familoki, tę brzydotę, którą pani utrwaliła w wierszu o chorzowskim targu na ulicy Wolności, ale w tej zdegradowanej przestrzeni zieleniła się pokrzywa...

– To bolesny obraz.

– No tak, Zbigniew Kadłubek, powtarza jak mantrę: „Śląsk mnie boli”, tak jakby go coś zraniło...

...smagnęto...

–... a nawet sparzyło, bo to namiętne dotknięcie, ale autor *Listów z Rzymu* mówi też: „Śląsk jest moją miłością”. A wiemy przecież, że *urtica* uśmierza i leczy rozmaite dolegliwości.

– Czyli pokrzywa jest metaforą Śląska?

– Dokładniej mówiąc – metonimią, dlatego że ta roślina jest realnie złączona z naszą glebą. Porasta hałdy, ale trafia też do kuchni i domowej apteki; ba!, niechciana wyrasta na klombach i trzeba ją plewić. Przypomnę ten „zielony” paradoks, że Katowice naprawdę są „miastem ogrodów”. To najbardziej za-



lesione miasto wojewódzkie w Polsce, jego obrzeża otulają wypustki Puszczy Pszczyńskiej; Rybnik jest oazą zieleni, parki są chlubą Gliwic itd. Bo ziemia u nas żyzna. Z tego gruntu w prozie Twardocha wyszły drachy – smoki, potwory, mroczne duchy podziemne, a u mnie pokrzywa, która także bywa surowa, z jej włókien tkano mocne, zgrzebne płótna, a sznur dla wisielca też by się uplotło.

– **W swych naukowych wędrówkach wybiera pan profesor Wschód – ks. Bakka, Mickiewicz, Słowacki itd. W 2014 roku Stasiuk wydał eseistyczną opowieść nomen omen zatytułowaną *Wschód*, z której wynika, że na owe przepastne obszary nicości ciągnące się za naszą wschodnią granicą „nigdy nie nadciągnie spokój, ponieważ w żyłach tych ziem, w jej podziemnych rzekach krąży narkotyki, który podsyca szaleństwo, i dostaje się zawrotu głowy od ogromu przestrzeni”.** Dlatego zapewne twórczość pisarzy z tamtego regionu jest taka szeroka, nieokreślona, ale i pełna niepokoju i niedającej się przewyciężyć melancholii. Śląsk wydaje się być przede wszystkim przestrzenią zamkniętą – dominują ramy modalne miast, kopalń, hut. Dlatego w literaturze tutaj powstającej wydaje się dominować kompleks ucieczki przed zamknięciem i drugorzędnością oraz usilne nadawanie czasoprzestrzeni kulturotwórczego sensu. Czy dobrze rozumiem te różnice?

– Opozycja między rozmachem Wschodu a zamkniętą, małą, a nawet klaustrofobiczną przestrzenią Górnego Śląska sama się narzuca. Kiedy Mickiewicz spotkał się z Cooperem w Rzymie, to szybko się dogadali, że mają podobne źródło inspiracji – prerię amerykańską i stepy ukraińskie. Seweryn Goszczyński porównywał ów bezkres stepów z wzniosłością Tatr. Z fascynacji ogromem dzikiej i okrutnej przestrzeni powstała tzw. szkoła ukraińska i wielki polski romantyzm. Stąd jest Słowacki, potem Sienkiewicz, Iwaszkiewicz, Odojewski, mój ukochany podolski Haupt i legion innych. I to się czyta! A jakie książki wyrosły w zągęszczonej strefie nowoczesnych śląskich miast i fabryk? Ze szkolnych lektur pamiętam *Lyska z pokładu Idy*, całkiem fajną czytanekę, ale gdzież jej do *Naszej szkapy* Konopnickiej! Po Morcinku, pewnie pochopnie, niczego dobrego się nie spodziewałem, i Bogu niech będą dzięki, że szkoła nie zmuszała nas do czytania regionalnych produkcyjniaków. W domu często mówiło się o Stanisławie Ligoniu, ale jego *Berów i bojek* nie znałem. Teraz wiem, że w przestrzeni Górnego Śląska powstawała też proza Eichendorffa, Scholtisa, Janoscha, Bienka, lecz w latach 60. i 70. nie była tłumaczona, ale nawet gdybym znał niemiecki, to też bym nie dotarł do tych książek, bo w PRL-u były niedostępne i niechybnie też zakazane.

– **Gotthold Ephraim Lessing w traktacie estetycznym pt. *Laokoon 250 lat temu zapisał wyznanie, że poznał całą dostępną mu ówczesnie ludzką myśl na temat literatury i malarstwa. Czy w dobie nadprodukcji literackiej i naukowej, a także badawczego hipero-drobnienia, można jeszcze poznać wszystko i w swoich badaniach uwzględnić cały dorobek? A może już na zawsze jesteśmy skazani na bycie pajakiem, który snuje swą własną nić, nie mając pojęcia o innych pajęczynach?***

– Sama pani właściwie odpowiada na to pytanie. Żyjemy w świecie nadprodukcji, przynajmniej w tej części globu. Są oczywiście obszary nędzy, ale naszym problemem jest nadmiar. Także literatury. Jako juror Literackiej Nagrody Gdynia otrzymuję co roku ok. 300 książek i to już przebranych, najlepszych. Powieści tam może i sto, a pamiętam czasy transformacji, kiedy na rynku pojawiała się w prozie ledwo kilka tytułów. I żaden z nich nie miał nic wspólnego ze Śląskiem. Byłem wtedy przekonany, podobnie jak Kutz czy Szymutko, że Śląsk jest „wielkim niemową”. O przy-czyny spierałem się ze Stefanem; on twierdził, że Ślązacy nie chcą pisać, bo wolą się śmiać, mnie zdawało się, że brakuje nam mitu. Ale potem Szymutko napisał *Nagrobek ciotki Cili*, a Kutz *Piątą stronę świata*, więc sami przemówili. Dziś książek pisanych o Śląsku i nawet po śląsku jest tak wiele, że nie nadążam z lekturą. I ten nadmiar mnie cieszy, nawet gdyby przeważały chwasty. Czasem ilość przechodzi w jakość.

– **Gdy mówimy o tym ogromie literackiej produkcji, to trzeba zauważyć, że wyłania się nam jeszcze jeden problem. Wszystko, o czym piszemy, już zostało omówione przez innych, jak twierdzi Bachtin, wszystko jest *déjà dit* – „już powiedziane”, jak nazwał tę sytuację Barthes. Czyli koheletowskie *nihil novi sub sole*? To co my właściwie robimy na tej ziemi?**

– Bachtin to świetny przykład, chwalił wielojęzyczność, polifonię, dialog. Na Śląsku mieliśmy przed wiekami wielką literaturę łacińską, ale też czeską, niemiecką, polską, ostatnio także pisaną po śląsku. Każda jest inna. Problemem nie są zatem powtórki, a raczej słabość korespondencji między tymi światami, na szczęście duch dialogu nie zginął. Choćby w wierszach Ewy Parmy układanych na jednej kartce po polsku, na drugiej „po naszymu”, czasem dialogujących jeszcze z obrazkami Grzegorza Chudego. Odwrotnie dzieje się w antologii przekładów *Dante i inksi*, wszystkie wiersze brzmią tu co prawda po śląsku, ale Mirosław Syniawa przetłumaczył je z greki, łaciny, niemieckiego, rosyjskiego, hiszpańskiego, włoskiego i czuje się, jak pod naszą godką pulsuje różnorodność. Innego rodzaju niespodzianką jest premierowa właściwie książeczka Mariusza Jochemczyka *Wobec tradycji. Śląskie szkice oikologiczne*, wydana przez Uniwersytet Śląski

w serii „Bibliotheca: Alia Universa”. W tej samej serii przed 15 laty ukazał się *Nagrobek ciotki Cili*. Warto je porównać, bo podobieństwo okładki, ilustracji, układu tomu, ale też tematów i motywów jest uderzające, bo zamierzone. Dedykacja „Oli i Stefanowi” przywołuje – jak się domyślam – żonę autora oraz jego nauczyciela, mistrza i przyjaciela, jakim był Szymutko. A zatem hołd, ale też dialog i spór. Gdyby ktoś powiedział, że publikacja Jochemczyka podoba mu się bardziej, to wcale bym się nie zdziwił, bo więcej tu kolorów, fantazji, więcej poezji i natury. Jochemczyk brawurowo wchodzi na Stefanowe ścieżki, wdzierając się nawet w jego rodzinne Mysłowice, w których wypatrzył grupę Łemków, Chopina, Dumasa, Sebalda i kogo tam jeszcze. Każe nam wspinać się na górę Hugona, wędrować z biegiem świętej rzeki... Rawy, zaprasza do swojego *Domu z piasku i mgły*, który okaże się dawnym chorzowskim wulchautem, a wreszcie *Na smyntorz*, żeby wśród mógł wybuchnąć tyleż Bachtinowskim, co Stefanowym śmiechem. Niepowtarzalna powtórka!

– **W pewnym sensie odpowiedział mi pan już na pytanie, czy można napisać jeszcze coś nowego o Śląsku. Od jakiegoś czasu bowiem mam nieodparte wrażenie, że uczestniczymy w literackiej metempsychozie. Wciąż pojawiają się te same wątki, tylko z szafy kostiumów wybierane są różne kreacje – od nudnych i stereotypowych po szokujące i karnawalizujące.**

– W XIX wieku w każdym zamożniejszym dworku wisiał widoczek z Neapolu, w XX pojawiły się obrazki z Paryża, bo wtedy jeździło się tam jak do Mekki, podziwiano te same miejsca i przywoziło te landszafty. Stereotyp, klisza, banał. Z obrazem Śląska bywa podobnie: hałdy, familoki, krupnioki, futbol, orkiestra górnicza, a w wersji *hard* – wieża spadochronowa, obóz na Zgodzie, pomnik ofiar Wujka. Ale tak działa mit miejsca, zaś kultura popularna i przemysł pamiątkarski to powielają. W ważnych, węzłowych i atrakcyjnych punktach świata niezawodnie czeka na nas stragan, a tam miniaturowa wieża Eiffla, Statua Wolności, widok Wezuwiusza albo Giewontu, lecz zapewniam panią, że Tatry są naprawdę piękne (śmiech).

– **Oczywiście w pełni zgadzam się z opinią o naszych górach. A skoro już tak wysoko mierzymy, to chciałabym wspomnieć wybitną postać, gdyż ona wskazuje chyba na jeszcze jedno zagrażające nam niebezpieczeństwo. Któż bowiem może o sobie powiedzieć, że jest jak prof. Henryk Markiewicz, o którym do dzisiaj na krakowskiej polonistyce krąży legenda, że poznał wszystko, co zostało napisane?! A jeśli nie możemy zbliżyć się do tego ideału, czy nie jesteśmy skazani w przytłaczającej większości na dyktanctwo?**

– Nikt spośród dzisiejszych polonistów nie ma takiego umysłu i nie jest to tylko kwestia talentu, ale też pamięci,

której się nie ćwiczy. Ale dziś mamy skanery, dzięki nim dowolny tekst wprowadzamy do osobistego komputera czy iPhona i mamy wszystko pod ręką za jednym kliknięciem. Dzięki urządzeniom elektronicznym, a zwłaszcza przeglądarkom, docieramy do takich informacji, które były niedostępne nawet dla prof. Markiewicza – i to błyskawicznie. Przedwczoraj byłem w Zamościu, przed nosem zamknęli mi kościół Franciszkanów, zły byłem, ale po chwili pomyślałem, że zobaczę to sobie spokojnie w Internecie. Poza tym nie musimy posiąść całego świata.

– **W eseju *Zmurszałość* pisze pan, że przeznaczeniem książki jest śmierć. Czy losem *Logosu* również jest *thánatos*? Czy słowo murszeje, rozpadając się na ledwo rozpoznawalne resztki, fragmenty, odpryski, molekuły, które zapelniają nasze telefony i skrzynki mailowe, redukując komunikację do poziomu ikonograficznego?**

– Wystrzegam się tanatycznego dyskursu o śmierci książki, autora, uniwersytetu, Polski, Europy. Być może dlatego, że za młodu fascynowały mnie „umieranki” ks. Baki i ta nekrofilia przejadła mi się na śmierć. Teraz wolę myśleć i pisać o życiu, więc jeśli nawet zbliża się kres książki papierowej – to zastąpi ją elektroniczna albo jakaś inna. Osobiście nie przepadam za papierem i pisanie, wołę gadać i wykladać, a najlepiej byłoby śpiewać. Ze studentami lubię czytać manifest Wiktora Szklowskiego pt. *Wskreszenie słowa*, napisany na początku XX wieku w aurze rewolucyjnej. Autor zauważył, że słowo potocznie się wyciera, ale poeci, zwłaszcza awangardowi, nie pozwalają mu zastygnąć, obumrzeć. Drugim źródłem jego odnowy, właściwie odwiecznym, są religijne glosolalia, *pozaumnyj jazyk*, „święte gaworzenie”. Więc jedno źródło jest charyzmatyczne – Duch Święty rozpała słowo, a drugie artystyczne – bo sztuka też daje ożywcze tchnienie. Dlatego właśnie rozmawiamy w „świętyni sztuki”, czyli w Akademii Muzycznej, gdzie słyhać głosy ludzi i instrumentów, gdzie powstają arcydzieła.

– **A co jest groźniejsze: zamilknięcie czy zatracenie się w Benjaminowskim *Geschwätz*?**

– Z tego miejsca nie widzę niebezpieczeństw, o których pani mówi. Mam nieodparte wrażenie śląskiej prosperity. Pięćdziesiąt metrów stąd, w Muzeum Historii Katowic, mieliśmy historyczną wystawę najwybitniejszego zapewne katowiczana, Hansa Bellmera; za naszymi plecami znajduje się Muzeum Organów Śląskich, fenomen stworzony przez prof. Juliana Gembalskiego, a obok nas przechodzi w tej chwili Eugeniusz Knapik. Piętro wyżej mamy salę koncertową Akademii Muzycznej z genialną akustyką, chyba nie gorszą od słynnej, pod niebo wynoszonej siedziby NOSPR-u. Obydwa budynki są autorstwa Tomasa Koniora, który obok Roberta Ko-

niecznego zdaje się najciekawszym w Polsce architektem. W uszach wciąż słyszę ostatnią edycję Off Festivalu, a dosłownie parę dni temu odkryłem dla siebie zjawiskową Joannę Broniszewską (Asi Mina) i jej brata, którego osobliwe wydawnictwo Mik Music od 21 lat promieniuje z Katowic na cały świat. Ty-le aktualności.

– **W swej najnowszej książce *Paraferalia* cytuje pan Jarosława Marka Rymkiewicza, który w *Kinderszenen* pisze, że „cały Peereł (...) był poza historią Polski, był (...) jakimś kawałkiem historycznie pustym”. Osobiście jestem bliska takiej ocenie, ale równocześnie nie sposób się nie zgodzić z zdaniem Wiesława Myśliwskiego i prof. Stanisława S. Niciei, którzy na łamach „Śląska” stwierdzili, że to były czasy bardzo dobrego kina, teatru, a także w wielu przypadkach i literatury. Jak to zatem jest z tym Peerełem? Czy da się już o nim rozmawiać bez nienawiści, a zarazem unikając języka idealizacji oraz rozmaitych prób folklorystyki?**

– Bez nienawiści o totalitaryzmie? Nie wiem czy potrafię. Jestem antykomunistą, bo żyłem w tamtym świecie i nic mi się nie podobało. Wnioski z pani doktoratu nawet wyostrzają tezę Rymkiewicza, bo socrealizm trwający w kraju parę sezonów zniknął jak bańka mydlana, a na Śląsku utknął na dwadzieścia lat z okładem i to „nic” kompletnie zatkało i zatruło nam literaturę. Owszem, filmy Kutza były wspaniałe, ale pamiętam jak on wtedy – w Klubie Filmowca czy w Pałacu Młodzieży – przeklinał Grudnia, Gierka, partię i całą resztę. W okropnej architekturze też bywały wyjątki, jak choćby Hala Kapelusza w Parku Kultury, który zdaniem prof. Chojeckiej zwiastował europejski postmodernizm. Miesiąc temu byłem na benefisie jego twórcy, Jerzego Gottfrieda, cudowny człowiek, skromny, pogodny, uśmiechnięty, choć z ciężkimi ranami wyszedł z powstania warszawskiego. Nie mówił nic o PRL-u, bo nie ma po co, i tak wiadomo, że gdyby nie system, to on i Buszko, czyli „Zielone Konie”, byłiby gwiazdami światowej architektury. A skoro rozmawiamy w budynku Akademii Muzycznej, to przywołam jeszcze Szymona Laksa, oryginalnego kompozytora, który jako więzień grał w orkiestrze na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Na szczęście nie słyhać opinii, że w Auschwitz też powstawały rzeczy wartościowe.

– **W *Paraferaliach* omawia pan również projekt wystawy autorstwa Ewy Graczyk, który w nigdy niezrealizowanym zamiarze miał objąć w sposób totalny PRL – od smaków i zapachów barów mlecznych po atmosferę pokoiw przesłuchań w SB. Projekt ten wydaje się niemożliwy do zrealizowania, wręcz dziwny i bezzasadny, nawet nie wiem, czy potrzebny.**

– Jeśli ja mówię pryncypialnie – „PRL był więzieniem”, to Graczyk dodaje, OK, ale ile osób siedziało w celi? Prycze wy-

godne były? Z klawiszami się rozmawiało? O czym? Żarcie ciepłe dawali? Smakowało? A co najbardziej? Czytać wolno było? Ale co? Żarówka, ile miała wat? To są bardzo ważne pytania, bo opisują codzienność, w której siedzimy po uszy, ale ona umyka historykom skupionym na bohaterstwie i martyrologii. W tych drobinach jest przecież prawda, czasem piękna, czasem straszna, zwykle niewysłowiona i ją się zapomina najszybciej.

– **Zakończmy tę rozmowę-esej zagadnieniem tyleż samo językowym i kulturowym, co chyba biograficznym. Łączy pan bowiem w sobie dwa żywioły – wschodni i śląski. Może pan zatem roztrząsnąć kwestię, ile bałaguty jest w lajermanie i lajermana w bałagule?**

– Bałagutami nazywano w XIX wieku „rozwydrzoną” młodzież szlachecką, która w stanie upojenia alkoholowego gnała na złamanie karku w lekkich konnych zaprzęgach (to prekursorzy gangów motocyklowych). Ale pod koniec wieku tym samym słowem określano poczciwych żydowskich furmanów, którzy drzemiąc na koźle, w żółwym tempie wozili ludzi i towary, zatrzymując się na każde życzenie. Podobną dwuznaczność znajdziemy w „lajermanie”; to odpowiednik niemieckiego *Der Leiermann* i polskiego lirnika, czyli wędrownego artysty, natchnionego romantycznego waga-bundy. W wersji śląskiej, bardziej nowoczesnej, lirę korbową zastąpiła katarynka, więc muzykant-włóczęga stał się u nas symbolem „kataryniarstwa”, czyli obracania w kółko tego samego – jałowości, lenistwa, bezproduktywności. Takie to słówka powykrecane, sprzeczne w sobie, podobnie jak pokrzywa, na którą lud mówi „koprzywa”. Mam nadzieję, że we mnie to bałagulstwo i lajermanstwo wzajemnie się nakręcają. ■

**Aleksander Nawarecki** – profesor zwyczajny na Uniwersytecie Śląskim, teoretyk i historyk literatury, prekursor literaturoznawczych badań mikrologicznych, członek Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia, autor takich książek, jak: *Czarny karnawał*, *Rzecz i marzenia*, *Pokrzywa*, *Mały Mickiewicz*, *Lajerman* oraz *Paraferalia*.



Bernard Kopiec z Imielina jest miłośnikiem twórczości Albina Siekierskiego. Próbował ocalić pamięć o nim w Imielinie.

# Albin Siekierski. Reanimacja pamięci

GRZEGORZ SZTOLE

– Franciszek Pasternik, bohater serialu „Blisko, coraz bliżej”, był dziadkiem Siekierskiego i mieszkał w Imielinie – tego 78-letni Bernard Kopiec, pasjonat lokalnej przeszłości miasta, jest pewien. – Ale po jego domu nie został nawet ślad. Wiadomo tylko, że ta drewniana chałupa stała przy obecnej ulicy Brata.

Domowa biblioteka Bernarda Kopca z Imielina jest naprawdę imponująca. Kilka tysięcy pozycji. Tuż obok łóżka ładnie poukładane katalogi zabytków sztuki. Dzieła Balzaca, Dostojewskiego, Maupassanta, Tolstoja, Kafki, Krąszewskiego, Zoli, Hugo... Roczniki „Filmu”, „Karty”, „Przekroju”, „Przyrody Górnego Śląska”, „Sudetów”, no i „Śląska” rzecz ja-

sna. Dzieła historyczne i krajoznawcze, obok tych z poezją, stoją równo niczym wojacy kajzerowskiej armii – bo Kopiec był wykładowcą na AWF-ie – i jest miłośnikiem – turystyki. I gabinet. Kilkadziesiąt obrazów, w większości amatorów. Intryguje mnie tylko ten ze ścieżką prowadzącą w las. Tak chyba można określić wędrówkę człowieka, który szuka. A ja

szukam – śladów Albina Siekierskiego, tu w Imielinie, skąd pochodził. A czemu w gabinecie Kopca? Bo mój gospodarz jest pasjonatem przeszłości Imielina. A Siekierski był najwybitniejszym jego obywatelem. Zapamiętanym dzięki telewizyjnym serialom „Blisko, coraz bliżej” i „Rodzina Kanderów”, do których napisał scenariusze.

## Ślawny, ale nieznan

**D**laczego się nim zająłem? Jest jednym najbardziej znanym obywatelem Imielina. Nie było i nie ma wybitniejszych – stwierdza kategorycznie Bernard Kopiec z Imielina. Oponentów nieraz zaskakiwał pytaniem: „Znasz lepszego tutejszego od Albina Siekierskiego?” Nikt nie znał.

Więc założył stowarzyszenie poświęcone Albinowi Siekierskiemu, którego głównym celem była popularyzacja dorobku pisarza. – Tworzyliśmy elitarną grupę, bo należało do nas tylko osiemnaście osób. I zaczęliśmy od upowszechnienia postaci Albina Siekierskiego i jego twórczości, bo pozostawał nieznan nawet u nas. Co tu kryć, nawet nauczyciele nie wiedzieli, o kogo chodzi – wspomina 78-letni już dziś Kopiec.

To prawda. W pewnym wspomnieniu o Siekierskim przyznawano niejako ze wstydem: „Po śmierci jego twórczość została nieco zapomniana, a jego książki nie doczekały się jeszcze wznowień. Młode pokolenie już nie bardzo wie, kim był Albin Siekierski, nawet ci, którzy mieszkają w Imielinie, gdzie pisarz się urodził i wychował...”

„W Imielinie powstało Stowarzyszenie Kulturalno-Społeczne im. Albina Siekierskiego – donosiła lokalna gazeta „Co tydzień” w lutym 2005 roku. – Zarejestrowali się w listopadzie 2004 roku. Inicjatorem i pomysłodawcą powstania stowarzyszenia był Bernard Kopiec, miejscowy historyk, autor wielu książek o swoim i wielu innych miastach śląskich [...] Albin Siekierski w ciągu trzydziestu lat stworzył kilkanaście powieści, opowiadań, sztuk scenicznych i scenariuszy filmowych. Jednak po latach od jego śmierci nie wznowiono ani jednej z jego książek”.

I wreszcie kilka słów o Siekierskim. Prozaik, dramaturg, scenarzysta – to wiadomo. Urodził się, nietrudno zgadnąć, w Imielinie 1 marca 1920 roku. Tu się wychował. Kopiec dopowiada, że wyprowadził się z Imielina w okresie okupacji hitlerowskiej, w 1941 lub 1942 roku i ukrywał się w Krakowie pod zmienionym nazwiskiem. „Dalszą edukację kończył w Mysłowicach w Gimnazjum Klasycznym, a potem studiował w Katowicach w Wyższej Szkole Nauk Społecznych i Gospodarczych. Pracował w urzędzie pocztowym, a na koniec w Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich w Katowicach. Zmarł śmiercią tragiczną 28 lutego 1989 roku w Katowicach” – dowiaduję się z artykułu o znamiennym, lecz zapomnianym obywatelu Imielina.

## Poraniony przez wojnę

**F**ranciszek, ojciec Siekierskiego był kolejarzem, zawiadowcą stacji w Imielinie. Ale posiadał też sporo praktycznych talentów – umiał szyć buty

na przykład. Znał się też na stolarce i slusarstwie. Ale syna chciał mieć kształconego. „Albin Siekierski nie terminował w żadnym warsztacie – wspominał redaktor Bolesław Lubosz z «Dziennika Zachodniego» – Posłano go do dobrego gimnazjum humanistycznego w Mysłowicach po to, żeby następnie wybrać się na studia wyższe. Tak wianowali na Śląsku świątli rodzice swoich synów.”

Najpełniejszy życiorys Siekierskiego znalazł się nie w książce redaktora B. Lubosza z 1995 roku, pt. „Alfabet śląski”, okraszona licznymi anegdotami o członkach ówczesnej śląskiej elity twórczej (w tym i o Siekierskim), lecz w drugim tomie „Słownika pisarzy śląskich” wydanego przez Uniwersytet Śląski w 2007 roku. Z obszernego biogramu wynotujemy kilka faktów. Siekierski od 1930 r. uczył się w gimnazjum klasycznym w Mysłowicach. W 1932 r. zapisał się do ZHP. W 1938 r. zdał maturę i rozpoczął pracę na poczcie w Katowicach. Wtedy też debiutował na łamach miesięcznika „Junak”.

Joanna Szcześniak, autorka hasła o Siekierskim, ustaliła mało znane doświadczenia wojenne śląskiego pisarza: „Po wkroczeniu Niemców nadal na poczcie w Mysłowicach miał posadę pracownika pomocniczego. W tym czasie poznał i związał się z młodą Niemką. W kwietniu 1941 r. zwolniony z pracy na poczcie, znalazł nową w Czechowicach jako księgowy. Pod wpływem partnerki, wbrew własnej rodzinie, wypełnił wniosek o niemiecką przynależność narodową. Otrzymał trzecią grupę volkslisty i powołany został do wojska. Jego losy wojenne nie są bliżej znane, możemy jednak przypuszczać, że bohater powieści «Ocalenie» jest w jakimś stopniu alter ego samego pisarza. Wiadomo jednak, że został ranny, przebywał w szpitalu, a następnie uzyskał urlop zdrowotny, w czasie którego mógł wyjechać do Imielina. Nie powrócił już na front, uznany został za dezertera. W tym czasie przeniósł się do Krakowa. Zdobywszy fałszywe dokumenty na nazwisko Bonifacego Czyżewskiego, otrzymał 30 września 1943 r. skierowanie do pracy w Selb w Bawarii w Porcellanfabrik Rosental. Przymusowe roboty umożliwiły Siekierskiemu ukrycie się przed władzami wojskowymi, które poszukiwały go jako dezertera z Wehrmachtu. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego został także tłumaczem, co ułatwiało mu życie. Pracował również często u okolicznych gospodarzy. Gdy 22 kwietnia 1945 r. do Selb wkroczyli Amerykanie, Siekierski zdecydował się na powrót na Śląsk”.

Nie trzeba chyba dodawać, że przymusowa służba Ślązaków w Wehrmachcie była w PRL-u na tyle kontrowersyjna, że unikano jak ognia poruszania tego tematu. Dopiero w ostatnich latach dokonano literackiego i historycznego rozliczenia tego bolesnego dla śląskiej zbiorowości epizodu. W tym miejscu zaznaczymy, że Siekierski miał odwagę pół

wieku wcześniej poruszyć ten – po części osobisty i drażliwy wątek, charakterystyczny dla życiorysów bardzo wielu Ślązaków, którzy jednak – inaczej niż Siekierski – postanowili zamknąć się w sobie (jak choćby Wilhelm Szewczyk). Siekierski przetworzył literacko swoje traumatyczne doświadczenia związane ze służbą w Wehrmachcie, dezercją z niej i ukrywaniem się w Bawarii jako robotnik przymusowy. Słusznie zatem zauważa prof. Krystyna Heskak-Kwaśniewicz w wydanej w 2004 roku publikacji pt. „Taki to mroczny czas. Losy pisarzy śląskich w okresie wojny i okupacji hitlerowskiej”, że „Albin Siekierski przeszedł bolesną ewolucję światopoglądową i narodową, która poraniła go na całe życie, a jego powieść «Ocalenie» dowodzi pisarskiej odwagi. Książka wydana w roku 1961 jest jednym z najdramatyczniejszych świadectw powikłanych śląskich losów, a także jednym chyba literackim wyznaniem człowieka, który przeszedł przez doświadczenie służby we wrogiej armii. Z tych też względów nie walory literackie decydują przede wszystkim o jej wartości, ale właśnie uczciwe i odważne ukazanie dramatycznego problemu moralnego. To typowy utwór-świadectwo: >[...] na mnie wojna pozostawiła piętno zdrady i do dnia dzisiejszego nie mogę się go pozbyć. Tyle tylko, że dzisiaj jest mi już to obojętne. Przegrałem. Wszystko, co robiłem, było złe< – wyzna bohater powieści.” I nic tu dodać już nie można. To właściwie literacki dokument. Siekierski był przecież naocznym świadkiem wojny, dotknęła go osobiście.

Nie bez kozery kolega Siekierskiego, tak samo poraniony i poniewierany z powodu swego typowo śląskiego życiorysu, służby w Wehrmachcie, wybitny śląski pisarz i publicysta Wilhelm Szewczyk przyznaje z satysfakcją, że jego koledze dzięki „świątecznej znajomości realiów śląskich i wehrmachtowskich” udało się stworzyć „porywającą wizję tych ponurych dni”. Bolesną, literacką wizję – ale bliską realnej prawdy o tych czasach.

## Jak utrwalić pamięć o kimś?

**P**ytam Bernarda Kopca, który tak wytrwale walczył o zachowanie pamięci po najwybitniejszym obywatelu Imielina, czy znał osobiście Siekierskiego, czy kiedykolwiek się z nim zetknął? Nie, nigdy, ale w domu, w którym rozmawiamy Siekierski był. – Przyjaźnił się z moim teściem Pawłem Patalongiem, którego był rówieśnikiem, ale do czasu – opowiada Kopiec. – Podczas jednej z towarzyskich dysput, jak to na wsi, trochę się posprzeczałi. Mój teść złośliwy był trochę, więc życzył Siekierskiemu, by jego książki na przeczenie były wyprzedawane. Widać, że Siekierski poczuł się dotknięty, bo wzajemna przyjaźń się odtąd skończyła.



Grzegorz Komandera z Biblioteki Miejskiej w Imielinie pokazuje zgromadzone po Siekierskim autentyczne pamiątki. Jest też kilka rękopisów

W tym samym domu, gdzie był Siekierski, spotykali się też członkowie towarzystwa mu poświęconego. Dom Bernarda Kopca – który stał się siedzibą stowarzyszenia im. Siekierskiego – wznosi się w części Imielina, zwanej Pidłem. Stąd też wziął się pomysł na tytuł biuletynu kulturalnego wydawanego przez miłośników twórczości Siekierskiego: „Pidło” – po prostu. Nazwa tej części Imielina wzięła się od stawu wodnego i zastawki na nim, zwanej pidłem. Stawu już nie ma, ale tę część miasta okoliczni mieszkańcy dalej nazywają Pidłem – tłumaczy Kopiec.

Imielińskie stowarzyszenie stawiało sobie naprawdę ambitne cele. Myślano nawet o fundowaniu stypendiów. Kopiec marzył o wydaniu najcenniejszych dzieł Siekierskiego. Udało się jedynie zebrać i wydać opowiadania publikowane wcześniej na łamach czasopism. I drukowano nieznanne wiersze Siekierskiego.

Zaczynano z rozmachem. Od popularyzacji dorobku. W 2006 roku z Ormonowic przyjechał do Imielina amatorski teatr i wystawił sztukę Siekierskiego „Domek z ogródkiem”, którą grano z powodzeniem przy pełnej publiczności. Zagościła na dłużej w repertuarze orntonowickiego teatru. – To historia dziewczyny, której żeby umożliwić zamążpójście, trzeba zorganizować wiano, przysłówiowy domek z ogródkiem. Siekierski ten obyczajowy temat potraktował z odpowiednim dystansem i humorem, co zadecydowało o ponadczasowej popularności tej sztuki – stwierdza Kopiec.

Członkowie stowarzyszenia chcieli też zaprosić do Imielina wybitnego ślą-

skiego reżysera Kazimierza Kutza, który realizując „Paciorki jednego różańca”, świetny skądinąd, swojski film o Ślązakach, inspirował się opowiadaniem Siekierskiego. Zamierzano propagować twórczość Siekierskiego przez szkolne konkursy. Planowano wykonać odbitki sztuk Siekierskiego. Pytam Kopca, czy stowarzyszenie dysponowało prawami do jego twórczości. Wzdycha. – Było już tak daleko, pani Siekierska miała wyrazić na to zgodę, ale jakoś nam to umknęło – słyszę. W sprawozdaniach odnajduję informację, że chciano wydać „powieść autobiograficzną” Siekierskiego „Ocalenie”. I kolejny numer „Pidła”, biuletynu stowarzyszenia, gdzie też propagowano twórczość zasłużonego obywatela Imielina.

Nie udało się, niestety, godnie upamiętnić wielkiego krajana.

– Nawet nie chodziło nam o pomnik, czy tablicę pamiątkową. Prosiłiśmy tylko władze miasta, by poświęcić Siekierskiemu którąś z nowych imielińskich ulic. Prosiłiśmy o to trzykrotnie. Niestety, bez odzewu – żali się Kopiec. – Usłyszeliśmy, że to komunista. Może i należał do partii, zresztą w tamtych czasach, ten kto chciał być inteligentem, chciał tworzyć, musiał być w partii. Tym bardziej on, Ślązak, były żołnierz Wehrmachtu. Ale to nie znaczy, że był komunistą... W jego książkach nie znajdziemy ani śladu komunistycznej ideologii. Pisał o życiu, o przeszłości którą znał. Ale nie był zaangażowany politycznie. Był zwykłym, normalnym człowiekiem.

Ulicę poświęconą Siekierskiemu odnajduję w Katowicach (w dzielnicy

Piotrowice, co ciekawe sąsiaduje z ul. Alfreda Szklarskiego), gdzie też spoczywa na jednym z cmentarzy (w Panewnikach konkretnie).

Zdaniem Kopca, twórczość Siekierskiego obroni się z czasem sama. – To prawda, że niektóre z jego książek, czy sztuk teatralnych są słabe, ale inne, tak jak choćby „Ocalenie”, czy praca o Wojciechu Korfantom pt. „Nastaje zmierzch”, są po prostu znakomite. Powinny tworzyć górnośląski kanon. Tymczasem słyszę, że drukować trzeba innych, często niemieckojęzycznych pisarzy, a nie Siekierskiego. To przykre. Tym bardziej że większość bibliotek wyrzuciła ze swoich zbiorów jego książki. Wznowień jego twórczości nie było, a to co jest, było drukowane jeszcze w latach 80. – przyznaje.

Sprawdzam w internecie, do dostania są głównie książki i seriale, wspomniane „Blisko, coraz bliżej” i „Rodzina Kanderów”. Starocie, ale w cenie. Na youtube można je obejrzeć bezpłatnie. Niektórym te produkcje wydadzą się lekko omszałe, dla innych będą sentymentalną podróżą w czasie. A może czymś jeszcze?

Stowarzyszenie im. Siekierskiego zamarło, bo nie ma kontynuatorów. Walne zgromadzenie nie przyjęło rezygnacji Kopca z funkcji przewodniczącego, a on sam nie czuje się już na siłach, by to wszystko prowadzić. Ma jeszcze w planach napisanie kilku książek. Ale najważniejsze są chyba wnuki. Kiedy rozmawiamy pojawia się dwuletnia Kalinka i boso maszeruje przed telewizor dopominając się (słusznie) o należną jej bajkę. Dziadek Bernard Kopiec z rów-

na czułością opowiada o siedmioletnim Maksymilianie.

## Blisko, coraz bliżej... czego?

Mówi się, że twórczość pisarza najlepiej weryfikuje czas. W przypadku Siekierskiego nie jest on łaskawy. Ostatnie wznowienia jego książek, to lata 80, a ostatnia odnotowana i dostępna w Bibliotece Śląskiej pozycja pochodzi z roku 1990 i jest to książkowa adaptacja filmowego scenariusza „Rodzina Kanderów”. Głośno o Siekierskim – jeśli w ogóle jest – to przy okazji wznowień 19-odcinkowego serialu „Blisko, coraz bliżej”. To chyba zapewne mu nieśmiertelność, wyryło w zbiorowej pamięci jego nazwisko. I jeszcze film Kutza, znakomity, „Paciorki jednego różańca”, którego scenariusz śląski reżyser oparł na opowiadaniu Siekierskiego pt. „Tego domu już nie ma” (niektórzy mówią jedynie o inspiracji Kutza tekstem Siekierskiego).

Dosyć pesymistycznie rzecz widział literaturoznawca prof. Mirosław Fazan, który zaledwie dziesięć lat po śmierci Siekierskiego zauważył – pośrednio na jego przykładzie – iż mamy do czynienia z pewnym nieuchronnym, przykrym dla niektórych twórców procesem weryfikacji ich dorobku: „Wbrew horacjańskiej nadziei >non omnismoriar< w dziejach literatury zdarzało się nierządno, że wraz ze śmiercią pisarza >umierała< jego twórczość. Nie interesowali się nią wydawcy, nie sięgali po nią czytelnicy. Zwłaszcza wielkie przełomy estetyczne i polityczne sprzyjały takim zgonom” – pisał brutalnie na łamach „Śląska” w lutym 1999 roku w artykule „Próba czasu. O pisarstwie Albina Siekierskiego w 10. rocznicę śmierci”. Czy wobec tego Siekierski miał po prostu pecha, że trafił na dziejowy, polityczny, a zanim i estetyczny (bo wszystko stało się bardziej kolorowe i komercyjne) przełom? Czyli – PRL umarł a wraz z nim jego twórcy? „Wszystko zatem wskazuje – odpowiadał sam sobie Fazan – że w naszej współczesności dokona się, lub już się dokonało, śmiertelne zejście całych polaci literatury doby PRL-u, tak jak już wcześniej skonali różni Obywatele, Przy budowie, Pamiętki z Celulozy, porzuceni wstydliwie przez żyjących jeszcze autorów.” To darwinistyczne podejście autor wyhamował nieco dalej przyznając, iż w wypadku Siekierskiego dystans czasowy jest zbyt mały – zaledwie dekada. A poza tym pytanie – przy okazji rocznicy – wydaje się nietaktowne. Jednak niepokój jaki zasiał Fazan swoją wyostrzoną refleksją – pozostał. Czas płynie, mijają kolejne dwie dekady – i co? Wydaje się, coraz bardziej się wydaje, że miał rację. Siekierskiego się nie wydaje i nie czyta. Może poza Imielinem i próbami jego popularyzacji, co jest zasługą niestrudzonego Kopca i jego stowarzyszenia. Lecz i to

dzieło zamarło. Ogarnia mnie więc pesymizm, kiedy czytam kolejne rozważania pióra Fazana – nie chcę się z nim zgodzić, ale muszę...

„Można a nawet należy snuć jednak pewne przypuszczenia, zasadzając się na fakcie, że w czasie, który upłynął od odejścia pisarza, nie doczekała się wznowienia żadna z jego książek. Choć – na przeciwległym biegunie – od czasu do czasu telewizja wznowia seriale oparte na jego scenariuszach. Ale telewizja rządzi się odmiennymi prawami, zaś serial egzystuje w życiu kulturalnym bardziej jako dzieło reżysera” – pisze Fazan dalej.

W połowie lat 80. serial „Blisko, coraz bliżej” cieszy się ogromną popularnością. Za scenariusz pierwszej serii Siekierski dostaje 20 czerwca 1983 roku w katowickim Urzędzie Wojewódzkim zaszczytne wyróżnienie „Trzech Powstańczych Skrzydeł”.

Serial był powrotem Siekierskiego do dzieciństwa spędzonego w Imielinie. – Losy najstarszych Pasterników to zapis opowieści zasłyszanych w dzieciństwie. Pierworzemian Franciszka Pasternika był mój dziadek, którego nie znałem, lecz opowiadano mi, że był bardzo twardy – przyznawał Siekierski. – Pisząc pierwsze odcinki serialu wracałem pamięcią do własnego dzieciństwa. Wyzwalałem w sobie to, co nosiłem od lat blisko sześćdziesięciu.

## Zdolny, uparty i pracowity

Chyba wartością niewątpliwą, decydującą o ponadczasowości twórczości Siekierskiego, było to, że była tak blisko życia. Tak bardzo realna. To nie była literatura wydumana, płochliwa, lecz literatura krwista, bliska krwioobiegowi życia, żywiąca się śląskimi losami, z niej wypływająca. Siekierski gardził kawiarnianymi „literacikami”. Mówił: „Myślę, że ów typ literacki jakoś się na Śląsku nie zadomowił. Większość naszych literatów pracuje w konkretnych przedsiębiorstwach i to nie tylko literackich. Kilku z nas pracuje w przemyśle. To jest chyba dowód silnych związków ze środowiskiem ludzi, dla których tworzymy. Nasze środowisko literackie nie szuka inspiracji w gadulstwie, w plotce, ale tkwi mocno w nurcie życia, przemian, pracy.” („Trybuna Robotnicza” nr 121, 23/24 maja 1970)

Trzeba tu oddać sprawiedliwość prof. M. Fazanowi, który rzetelnie „roz-biera” okoliczności debiutów literackich Siekierskiego, kładzie nacisk, iż stało się to właściwie w PRL-u w konkretnej (choć nie przebadanej do końca) rzeczywistości twórczej. Pisze Fazan: „Przyczyną sprawczą jeśli nie powstania, to na pewno publikacji prawie wszystkich utworów Siekierskiego na przełomie lat 50. i 60. były konkursy literackie”. „Pisarz ten aż trzykrotnie szturmował Parnas, by dopiero za trzecim razem wdrzeć się na niewdzięczną skalę i zdobyć tam własne te-

rytorium”. „Fundamentem pod literacką pozycję położył Siekierski «Ocaleniem» (1961), powieścią, w której przedstawił dramatyczne wybory moralne i narodowe młodego Ślązaka podczas ostatniej wojny. Niewątpliwie zawiera ona sporo wątków autobiograficznych. Siekierski znał sytuację wojenną Ślązaków z autopsji”. „Szczególne miejsce w pisarstwie Siekierskiego zajęła tematyka powstań śląskich.” Najwybitniejszym dziełem Siekierskiego z tego kręgu tematycznego było powieść o końcowych więziennych miesiącach życia Wojciecha Korfantego „Nastaje zmierzch” (1987)”. Zresztą Siekierski był zafascynowany tą ważną dla Śląska postacią.

Czy Siekierski umarł jako pisarz? Znajomy literaturoznawca radzi ostrożność, bo chyba był „zaangażowanym” autorem. Nie był, przynajmniej nie w takim stopniu jak inni. Ale i tak ta jego gloryfikacja powstań, w dobie dekonstrukcji ich mitu, brzmi podejrzliwie. Ale Siekierski w to po prostu wierzył...

Zerkam do małego kanonu górnośląskiego, czyli listy 99 pozycji, które – zdaniem współczesnych – wniosły coś twórczego do naszej śląskiej kultury, autorstwa Zbigniewa Kadłubka i Łucji Staniczkowej z 2011 roku. I szukam. Jest Waniek, Szmutko, Szymik, Netz, oczywiście Goethe, no i Janosch, nawet księżna Daisy z Pszczyny, Kutz, Kadłubek, Nawarecki, czy Szejnert. Jest i przyjaciel Siekierskiego, Wilhelm Szewczyk z poematem Hanys i zbiorem esejów „Syndrom śląski”. Ale Albina Siekierskiego próżno wypatruję. Nie ma dla niego już miejsca.

## Przystanek pamięci

Wszystkie pamiętki, rękopisy, książki po Albinie Siekierskim, jakie Bernard Kopiec sam zdołał zebrać i te pozyskane od wdowy po Siekierskim, zostały przekazane do Biblioteki Miejskiej w Imielinie. Umawiam się z Grzegorzem Komanderą, jej pracownikiem, który pisał pracę licencjacką o twórczości wybitnego krajana, na spotkanie.

Kiedy się pojawiaam, czeka na mnie stos dokumentów – PRL-owskich, w większości legitymacji różnej maści, a także niemieckich, okupacyjnych. Wśród tego stos dyplomów oprawianych w czerwoną skórę, jedno zdjęcie Siekierskiego z Szewczykiem i towarzyszem Grudniem bodaj z jakieś uroczystości. Siekierski chyba przemawia, bo na nim skupiona jest powszechna uwaga. Do tego kilka listów, program jubileuszu maturalnego rocznika myslowickiego gimnazjum, którego Siekierski był honorowym absolwentem. I jeszcze kosz z książkami Siekierskiego. – Podejrzewam, że już żadna z bibliotek w naszym województwie nie posiada takiej kolekcji – mówi Grzegorz Komander.

Zresztą – który czytelnik wzięłby taką książkę, wydaną pod koniec komuny, do ręki? Szary, gruby papier, niechlujny



Na tym zdjęciu widzimy Albina Siekierskiego (pierwszy z lewej), Wilhelma Szewczyka (pierwszy z prawej), a wśród innych decydentów rozpoznać można towarzysza Zdzisława Grudnia (w środku), pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. PRL-owski klimat w pełnej krasie.

skład... Takich książek już nie ma. Nie ma prawa być... Uznawane są za wybraki i wycofywane. Choć tutaj – pozyskane z innych książni – są bezcenne, bo jedyne.

Biorę do ręki, „Ocalenie”, głośny debiut Siekierskiego. Książka mnie pochłania. A na samym wierzchu kolejnego stołu dostrzegam „Nastaje zmierzch”, powieść o końcowych dniach życia Wojciecha Korfantego. Grzegorz Komandera w pracy licencjackiej pt. „Albin Siekierski – studium biobibliograficzne” z 2003 roku, podkreśla, że recenzenci uznali ją za najwybitniejsze dzieło „ze śląskiego kręgu tematycznego”. I powołuje się na opinię niezującego już historyka, pisarza i filmoznawcy (związanego ze „Śląskiem” jak i „Fabryką Silesią”): „Jak ocenia ją Jan F. Lewandowski, jest to najlepsza książka Siekierskiego, znacznie ciekawsza od jego powieści produkcyjnych. Nie wnika głęboko w fenomen Korfantego, ale nie można jej odmówić zręczności literackiej, a przede wszystkim walorów poznawczych. Mimo beletrystycznej formuły, jest to pierwsza popularna biografia Wojciecha Korfantego, jeśli nie liczyć tu przedwojennych i wydanych zaraz po wojnie prac Stanisława Sopińskiego i Mieczysława Tobiasza”.

Odnajduję też to, co w pracach Siekierskiego można i powinno się doceniać. Przede wszystkim za „psychologiczną wnikliwość, dużą konkretność relacji i dobry, niekiedy gwarowy dialog”. Chyba dlatego jego sztuki sceniczne – nie mówiąc o serialach – tak dobrze były odbierane przez publiczność.

Przeglądamy jedną z nich zamieszczoną w broszurze „Teatr Ludowy” z 1959 roku, która okazuje się periodykiem teatrów amatorskich właśnie. Tutaj opublikowano sztukę Siekierskiego „Umo-wa stoi”, nagrodzoną zresztą.

Siekierski był niesamowicie pracowity. W ciągu trzydziestu lat pracy pisarskiej zapisał tysiące stron prozy, publicystyki, utworów scenicznych i scenariuszy filmowych. „Nad ogromem tej pracy pochylił się przyszły badacz i z pewnością nie będzie mógł oprzeć się wielkiemu zdziwieniu: kiedy ten człowiek zdążył tego dokonać?” – podkreślano w tygodniku „Tak i Nie” w 1985 roku. Przeglądam własnoręczne rękopisy opowiadań Siekierskiego, zapisane na postfabrycznych sprawozdaniach. Trudno rozczytać, niebieskie litery są mocno ściśnięte, stłamszone jakby – duszą się. Dukt pisma jest niestabilny, wznosi się, opada... Lepiej, o wiele czyta się wyblakłe już maszynopisy z poprawkami Siekierskiego.

Pan Grzegorz, mój rozmówca, nie ukrywa, że był zafascynowany postacią Siekierskiego. Działal też w stowarzyszeniu założonym przez Bernarda Kopca. Jego praca jest bezcenna – to bibliograficzny rejestr 1040 tekstów Siekierskiego (od opowiadań, przez publicystykę, sztuki teatralne po powieści), aż po rzeczy które mówią o Siekierskim (wywiady z nim, krytyczne spojrzenia na jego twórczość). Nie wiedziałem, że stworzył aż tyle felietonów dla „Dziennika Zachodniego” w latach 80.

Te Szewczyka, jakoś się pamięta, natomiast to, co tworzył Siekierski się nie zapisało w naszej zbiorowej pamięci.

Nie ma co kryć – Siekierski był twórcą PRL-owskim, choć nie zaangażowanym. Komandera zainspirowany tekstem Fazana, stwierdza, że twórczość Siekierskiego właściwie umarła dla Czytelnika. Nie wznawia się go, a i w Imielinie pozostaje nieznaną. Wypożyczenia jego książek bywają okazjonalne, pewno tak jak moje zainteresowanie tą postacią.

Siekierski nie zapisał się w zbiorowej pamięci imielińskiej społeczności – a teraz na to już za późno. Bernard Kopiec zrobił co mógł, by uratować go od zapomnienia. – Przynajmniej ocalił te pamiętki – wskazuje pan Grzegorz. – Mamy przynajmniej tyle, z pewnością nie byłoby tego w ogóle, gdyby nie pan Bernard i jego fascynacja Siekierskim, którą mnie po części sam zaraził – przyznaje.

Gorzko brzmi refleksja zawarta w pracy Grzegorza Komandery o Albinie Siekierskim: „Nawet w rodzinnym mieście pamięć o Siekierskim zanika... Najbliższa rodzina nie wyraża chęci upamiętnienia jego twórczości, a przeglądając katalogi biblioteczne coraz częściej nie znajdujemy hasła >Siekierski Albin<”.

Oznacza to definitywną śmierć dla autora książek, który przecież żyje tak długo, jak jego dzieła, w których zawarł swą duszę, myśl, postrzeganie świata. Nie ma ich, nie ma i jego – w powszechnej, zbiorowej pamięci.

# Obozy jenieckie Lamsdorf i Teschen

# Świat za drutami

JOANNA LUSEK



*Jeńcy za drutami, Stalag VIII B Teschen. Vojenský historický archiv, Praga (zdjęcia udostępniono w ramach czesko-polskiego projektu „Obozy jenieckie Teschen w latach II wojny światowej”)*

**In Memoriam.** Obozy jenieckie i podległe im komanda pracy, funkcjonujące w latach II wojny światowej na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, stanowiły mikroskalę zjawiska na tle historii powszechnej. W tym kontekście wciąż aktualne wydają się pytania: w jakim wymiarze i czy nadal czas wojny oraz pamięci o miejscach osadzenia obecne są nadal

w świadomości zbiorowej kolejnych pokoleń?

W Łambinowicach od ponad 50 lat istnieje Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, które prowadzi działalność badawczą i edukacyjną, sprawuje również opiekę nad terenami poobozowymi – Miejscem Pamięci Narodowej, będącym żywym świadkiem historii, dokumentującym ślady po obozach je-

nieckich począwszy od wojny prusko-francuskiej, przez I i II wojnę światową, po okres obozu pracy.

W miejscu Stalagów VIII D/VIII B Teschen odsłonięto 9 września 1979 r. Pomnik Międzynarodowej Koalicji Antyfaszystowskiej autorstwa czeskiego rzeźbiarza Štěpána Mikuli, upamiętniający jeńców osadzonych w tym właśnie miejscu w latach II wojny światowej.





**System obozowy w III Rzeszy.** Podczas II wojny światowej władze niemieckie zorganizowały na terenie III Rzeszy i na obszarach przez nią okupowanych ponad 130 obozów jenieckich. Niemcy, które podpisały konwencję genewską z 27 lipca 1929 r., zobligowane były do przestrzegania zapisów o traktowaniu jeńców wojennych. W latach 1939–1945 przez obozy dla jeńców wojennych

i podległe im komanda pracy przeszło łącznie około 8 mln mężczyzn. Władze niemieckie przygotowały kilka kategorii miejsc internowania. Wzięci do niewoli żołnierze trafiali najpierw do prowizorycznie przygotowanych punktów zbiorczych (Sammelpunkte), skąd kierowano ich do obozów przejściowych – dulagów (Durchgangslager) lub bezpośrednio do obozów stałych – sta-

lagów (Mannschaftsstelllager) dla żołnierzy szeregowych i podoficerów oraz oflagów (Offizierslager) dla oficerów. Obozy jenieckie realizowały cele wojskowe, poprzez izolowanie i kontrolę osadzonych; polityczne, poprzez psychiczną i fizyczną eksterminację oraz ekonomiczne, wymierzone przeciwko osadzonym w stalagach, a realizowane poprzez nakaz pracy przymusowej.

Obozy jenieckie podlegały Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych (Oberkommando der Wehrmacht, dalej: OKW), zaś w strefie działań bojowych – Dowództwu Wojsk Lądowych (Oberkommando des Herres, OKH). Sprawami jeńców na obszarze OKW zajmował się Wydział ds. Jeńców Wojennych. W 1943 r. powołano Urząd Generalnego Inspektora ds. Jeńców Wojennych. Po zamachu na Adolfa Hitlera, w lipcu 1944 r., władzę nad obozami jenieckimi przejęło SS. Na terytorium III Rzeszy i krajów przez nią okupowanych władze niemieckie utworzyły 19 Okręgów Wojskowych. Górny Śląsk znajdował się w zasięgu VIII Okręgu Wojskowego z siedzibą w Breslau (obecnie: Wrocław).

**O zawiłościach terytorialnych.** W sierpniu 1939 r. w Lamsdorf utworzono Dulag B, który już we wrześniu przekształcono w obóz stały – Stalag VIII B Lamadorf. Jego peryferyjne położenie, a w konsekwencji brak odpowiedniego nadzoru nad komandami pracy zlokalizowanymi w rejencji opolskiej, opawskiej i katowickiej, stanowiło argument na rzecz powzięcia przez władze niemieckie decyzji o przygotowaniu kolejnego samodzielnego obozu jenieckiego. Formalnie Stalag VIII D Teschen utworzono w maju 1941 r. Nie posiadał on własnego rejonu administracyjnego, obsługiwał zakłady przemysłu ciężkiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, formalnie podporządkowane kompleksowi obozowemu w Lamsdorf. Po upływie ponad roku Stalag VIII D Teschen został włączony do Stalagu VIII B Lamsdorf. W 1941 r. utworzono również Stalag 318/VIII F Lamsdorf, zlikwidowany jako samodzielnny obóz w maju 1943 r. – obóz dla jeńców sowieckich stał się częścią Stalagu VIII B Lamsdorf jako „Teillager R”. Pod koniec 1943 r. Stalag VIII B Lamsdorf był największym pod względem liczby osadzonych wśród wszystkich stalagów na terenie Rzeszy. Podlegało mu 121 tys. jeńców. 5 grudnia 1943 r. komendanturę Stalagu VIII B przeniesiono formalnie do Teschen, gdzie utworzono Stalag VIII B Teschen. Obejmował on zasięgiem rejencję katowicką oraz powiat Zawiercie, wyłączony z rejencji opolskiej. Rejencje opolska i opawska znalazły się w zasięgu przekształconego Stalagu 344 Lamsdorf. Odtąd spełniał funkcje obozu przejściowego dla wszystkich jeńców przeznaczonych do pracy w rejonie

Stalagu VIII B Teschen. Byli w nim kwaterowani, rejestrowani i przygotowywani do zatrudnienia. Również jeńców trwale niezdolnych do pracy kierowano do Stalagu 344 Lamsdorf i poddawano leczeniu.

**W rękach wroga.** III Rzesza w różnicowany sposób traktowała jeńców wojennych, opierając się na kryteriach przynależności armijnej, państwowej, kryteriach rasy czy wyznania. Stosunkowo najlepiej traktowano Amerykanów i Brytyjczyków, w tym również żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej, tj. Kanady, Australii, Nowej Zelandii i Związku Południowej Afryki, ponadto żołnierzy z Indii Brytyjskich i terytorium Mandatu Palestyny, względami cieszyli się również Belgowie, Francuzi i Grecy. Znacznie gorzej odnoszono się do jeńców polskich czy jugosłowiańskich, do których zaliczano żołnierzy z Chorwacji, Serbii, Bośni, Macedonii, Słowenii, Albanii, pod koniec wojny również żołnierzy byłych państw sojuszniczych, tj. Rumunii, Bułgarii i Węgier. Najgorzej zaś traktowano czerwonoarmistów oraz internowanych żołnierzy włoskich.

Każdy z osadzonych żołnierzy przy wejściu do obozu podlegał procedurze ewidencjonowania. Był fotografowany, pobierano mu odcisk prawego palca wskazującego oraz przeprowadzano wywiad, na podstawie którego wypełniano kartę osobową (Personalkarte).

Następnie otrzymywał numer jeniecki, tożsamy z numerem na blaszce jenieckiej (Erkennungsmarke).

**Praca ponad siły.** Rutynę dnia codziennego w obozie wyznaczał regulamin obozowy. Rytm w stalagach oraz komandach pracy determinowały apele, posiłki i praca. W latach II wojny światowej praca przymusowa (Zwangsarbeit) stała się podstawową siłą napędową niemieckiej gospodarki wojennej. Jeńcy tworzący komanda pracy (Arbeitskommando) byli zatrudniani niemal we wszystkich jej sektorach, tj. w: rolnictwie, leśnictwie, przemyśle, w tym ciężkim i zbrojeniowym oraz transporcie. Tylko nieliczni pozostawali w obozach macierzystych, pracowali w warsztatach rzemieślniczych lub przy stawianiu kolejnych baraków. Większość przebywała na komandach pracy, liczących od kilkunastu do kilkuset jeńców. Około 85-90% osadzonych w Lamsdorf i Teschen zatrudniano w przemyśle, głównie w kopalniach, fabrykach i hutach. Za pracę jeńcy otrzymywali skromne wynagrodzenie, którego wysokość zależna była od charakteru realizowanych zadań czy przynależności armijnej. Pobory wypłacano w postaci pieniędzy obozowych – *lagermark* – zachowywały ważność tylko w obozowych kantynach.

**Obozowe życie.** Warunki egzystencjalne były niezwykle trudne, choroby i wynisz-

czenie organizmu nierzadko były powodem niedożywienia. Otrzymywane przez jeńców racje żywnościowe miały odpowiadać przydziałom żołnierzy służących na tyłach armii. W wyniku niekorzystnego rozwoju sytuacji na frontach II wojny światowej były one jednak wielokrotnie zmieniane. Zalecenia obejmowały również zaopatrzenie w wodę pitną, a także dodatki żywnościowe dla jeńców pracujących. Podstawą racji dziennej był chleb – każdy osadzony otrzymywał swój przydział w postaci 250-400 gramowej porcji specjalnie preparowanego z żytniego srotu, siekanych buraków cukrowych, mąki z plewy jęczmiennej oraz suchych liści. W myśl konwencji jeńcy mieli mieć prawo do przygotowywania dodatkowych posiłków z produktów żywnościowych otrzymywanych w paczkach z Czerwonego Krzyża oraz przesyłkach prywatnych.

Wziętym do niewoli umożliwiano wysyłanie zawiadomień do rodzin. Zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej do obrotu pocztowego dopuszczono karty pocztowe, listy, paczki i przekazy pocztowe, oznaczone jako „Kriegsgefangenenpost” i „Kriegsgefangensendung”, zwalniane były one z opłat pocztowych. Korespondencja podlegała kontroli przez cenzorów, zazwyczaj urzędników niemieckiej administracji obozowej lub zatrudnianych w tym celu osób cywilnych. Po dokładnym sprawdzeniu treści lub zawartości przesyłki opatrywano je



Fragment wystawy stałej „W niewoli niemieckiej”, CMJW.

pieczętką „Gepfrüft” (sprawdzono). W myśl zapisów konwencji genewskiej jeńcom należało zapewnić możliwości spędzania czasu wolnego, co dotyczyło praktyk religijnych, działalności edukacyjnej, naukowej, kulturalnej, a także sportowej. Pomoc w zaopatrzeniu obozów w sprzęt sportowy, książki, instrumenty muzyczne czy materiały piśmienne i rysunkowe zapewniały organizacje tj. Międzynarodowy Czerwony Krzyż, Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej (Young Men’s Christian Association, YMCA) i inne.

W obozach jeńcy uprawiali praktycznie wszystkie możliwe dyscypliny sportu – grywano w szachy i brydża, trenowano lekką atletykę i gry zespołowe, szczególną popularnością cieszyły się: piłka nożna, krykieta i koszykówka. Jeńcy zakładali kluby sportowe, organizowali rozgrywki, zawody okazjonalne i rocznicowe. 1940 i 1944 były latami olimpijskimi.

Organizowano również zajęcia rozwijające indywidualne zainteresowania hobbystyczne. Tworzono też grupy teatralne – organizowano przedstawienia teatralne, rewiewe, operetkowe, cyrkowe, ponadto koncerty muzyczne, dzięki temu, że prowadzono orkiestry, zespoły i chóry. Jeńcy wykonywali samodzielnie dekoracje, scenografie czy kostiumy. Na ich cele powstały garderoby, warsztaty, charakterystycznie i pracownie plastyczne. Tworzone przez

osadzonych prace plastyczne, utwory muzyczne czy formy literackie odzwierciedlały nastroje, postawy jeńców, wyrażały nostalgię i tęsknotę za bliskimi i krajem. Organizowano wystawy plastyczne i prowadzono kroniki obozowe. Dużym zainteresowaniem i popularnością cieszyły się wieczory patriotyczno-religijne i widowiska słowno-muzyczne.

**Ucieczki.** Niewola – specyficzne warunki życia, praca ponad siły, ciągła obawa o życie – nie oznaczały wcale zaniechania oporu. Najczęściej przyjmował on formy spowalniania tempa pracy, odmowy pracy oraz symulowania chorób, rzadziej wyjątkowo niebezpiecznych akcji sabotażowych. Władze obozów macierzystych oraz komand pracy odznaczały się w wielu wypadkach okrucieństwem wobec krnąbrnych jeńców. Surowa dyscyplina stosowana przez władze obozowe, karanie za drobne nawet przewinienia zasądzeniem aresztu, karceru i innymi wymyślnymi formami oraz w wielu wypadkach nieludzkie warunki pracy i egzystencji potęgowały postawę oporu wobec kaptora.

Najbardziej spektakularne były jednak podejmowane przez jeńców próby ucieczek. Wymagały doskonałej organizacji i umiejętności taktycznych. W myśl konwencji genewskiej z 1929 r. należało je traktować w kategoriach łamania dyscypliny. Każdy jeńiec miał moralne

prawo do ucieczki, za którą regulaminowo groziła kara aresztu, który nie przekraczał 30 dni. W praktyce jednak nie-rzadko również śmierć. Zdecydowanie większą szansę powodzenia miały próby ucieczek z komand pracy.

**Ewakuacja.** Decyzja o ewakuacji jeńców wojennych i cywilnych pracowników przymusowych z Górnego Śląska i Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego w głąb Rzeszy zapadła późną jesienią 1944 r. Była ona zdeterminowana realną oceną sytuacji na froncie wschodnim. Powzięcie procedury ewakuacji jeńców wojennych było zgodne z zapisami konwencji genewskiej z 1929 r., w której określono, że jeńiec nie może być narażony na przebywanie w strefie działań wojennych. Plany te wynikały z potrzeby maksymalnej eksploatacji pracowników przymusowych. W przypadku jeńców wojennych chodziło ponadto o niedopuszczenie do wyzwolenia przez armie własne lub sojusznicze i ich ewentualnego powrotu do regularnej służby. W styczniu 1945 r. front przesuwał się systematycznie w kierunku zachodnim, z obozów macierzystych i komand pracy jeńcy przemieszczali się pieszo, wytyczoną wcześniej trasą, tj. w kierunku Stalagu 344 Lamsdorf, następnie zaś Stalagów VIII A Görlitz i VIII C Sagan. Punkty docelowe stanowić miały obozy jenieckie zlokalizowane w Turynii i Hesji (IX Okręg Wojskowy) oraz



Fot. Witális Szotys, MGB

Błaszki jenieckie oraz zdjęcia z niewoli. Ekspozyty: Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, zbiory prywatne. Wystawa czasowa „Obozy jenieckie Teschen w latach II wojny światowej”, MGB. Kurator: Joanna Lusek.



Oflag VIII A Kreuzburg [Kluczbork], farba na drewnie. Ekspонат: Centralne Muzeum Jeńców Wojennych. Wystawa czasowa „Obozy jenieckie Teschen w latach II wojny światowej”, MGB. Kurator: Joanna Lusek.

w Bawarii (XIII Okręg Wojskowy). Alternatywna trasa w kierunku Bawarii wiodła przez terytorium Czech i Moraw, kierując się przez Hranice, Ołomuniec, Morawską Třebovę, Šumperk, Hradec Králové, Usti nad Łabą i Karlovy Vary. Ewakuację ze Stalagów Teschen i Lamsdorf prowadzono zimą, przy temperaturze około  $-30\text{ }^{\circ}\text{C}$ . Jeńcom brakowało żywności i odpowiednich ubrań. Średnie dzienne tempo marszu wynosiło 15–20 km. Noce spędzali w barakach, które opuścili już osadzeni, szkołach,

budynkach użyteczności publicznej, stodołach, halach fabrycznych, nierzadko również pod gołym niebem. Wielu zmarło w drodze, nie doczekało wyzwolenia.

Baraki w obozach macierzystych oraz w przyzakładowych obozach zbiorczych opustoszały. Na Górnym Śląsku w niedługim czasie osadzono w nich ludność uznaną za niemiecką, tworząc sieć obozów pracy oraz obozów wysiedleńczych.

**Joanna Lusek** – dr n. hum., kustosz, kierownik Działu Kresów i Kultur Pogranicza Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. W latach 2011–2013 pracownik naukowy Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Stypendystka Tajnego Archiwum Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego w Berlinie (2013) oraz Instytutu Georga Eckerta w Brunzwicku (2013). Autorka tekstów naukowych poświęconych problematyce jenieckiej, pedagogice pamięci, historii oświaty i wychowania oraz historii medycyny i farmacji.



Wnętrze baraku jenieckiego, rekonstrukcja. Wystawa stała „W niewoli niemieckiej”, CMJW.

## Wierchomla

**Aby** przywieźć kosz pełen grzybów, trzeba było wsiąść do pociągu z parową lokomotywą i jechać Doliną Popradu z panem Bukowskim do samej Wierchomli.

Tylko pierwszy kurs, przed piątą rano, dawał nadzieję na pełny sukces. Niezbędne były też wysokie buty, tzw. traktory albo pionierki, oraz koszula flanelowa i długie spodnie mimo sierpniowych upałów w Beskidach w 1960 roku. Siedząc przy oknie na drewnianej ławce wagonu PKP 2 Klasy widać było płynący Poprad i krowy po słowackiej stronie. Kolejowe tory biegnące kilka metrów od granicy państwowej wydawały się za moment wjechać do płytkiej rzeki niczym Jan Chrzciciel do biblijnego Jordanu. Na stacji w Piwnicznej następował pierwszy wysyp grzybiarzy. Słońce wciąż przebiegało się przez poranną mgłę.

Pan Bukowski wyladował z wagonu pocztowego pękaty i ciężki wór białego proszku. Nie bardzo wiedziałem do czego grzybom potrzebny był gips. Czyżbyśmy mieli wystawić pomnik maślakom, rydzom i borowikom. Tajemnica miała się wyjaśnić głęboko w lesie. Niosłem swoją bardzo uciążliwą porcję budowlanej mamalugi. Mój przewodnik, mistrz i emerytowany ck biolog z Neu Sandecz Schule pocił się pod potężnym workiem przyszłego klajstru. Stawaliśmy dość często, co pomniejszało nasze szanse na dobry zbiór dorodnych prawdziwków. Powoli traciłem siły, ale nie śmiałem zapytać się o przyczynę naszych katuszy. Musiało w tym coś być. Nigdy jeszcze nie zawiodłem się na zwariowanym czarodzieju z tamtego świata, jak mawiał o sobie ck nauczyciel przyrodniczych praw. Opowiadał jak spotkał się z następcą tronu Franciszkiem Ferdynandem i jego żoną Zofią w Konopiszczach. Pokazywał kapelusze myśliwski podarowany mu przez arcyksięcia. Rzucił filcowe nakrycie głowy na znalezione borowika i powiedział, że Freud zachowywał się podobnie na grzybobranium ze swoją rodziną. Lubilem wyciągać spod tego kapelusza dorodne okazy komórkowców.

W końcu dotarliśmy do naszego sekretnego miejsca, w którym rydze objawiały się tylko nam, a kozaki siedziały pod każdą omszałą gałęzią świerku. Jednakże zamiast grzybów poczuliśmy rozrabiać gips w porzuconej miednicy. Wodę przynosiłem w aluminiowej menażce z pobliskiego potoku. Biała mikstura nie mogła zasysać zbyt dużo świeżego powietrza, więc trzeba było ją gdzieś zutilizować. Rozglądałem się wokół i nie widziałem nic prócz drzew i dwóch mrowisk. Nagle powiało grozą: krzepnąca papka wlewana była przez niewielki otwór do samego środka kopca z igliwia, liści i mchu. Przerazenie w moich oczach nie zdołało zatrzymać sądeckiego biologa przed dokończeniem dzieła zniszczenia. Poprosił mnie jeszcze o więcej wody i zaczął wyjaśniać cel tego barbarzyństwa. Próbowaliśmy, bo przecież ja też uczestniczyłem w tej masakrze, wyrugować mrówkę strażacką z beskidzkiej biosfery. Ktoś przywłókł z Ameryki ten szkodliwy okaz owada. Nie było czasu na zastanawianie się. Janekskie mrówki pożerały swoich polskich krewnych w zastraszającym tempie, zajmowały ich mrowiska stając się zwykłymi pasożytami. To były wyjątkowo niebezpieczne i ekspansywne insekty.

Zalaliśmy w ten sposób dziesiątki kopców przyjeżdżając do Wierchomli codziennie przez dwa tygodnie. Wyszukiwaliśmy miejsca zajęte przez szkodników i gotowaliśmy im łaźnię gipsową. Do końca dylematem była dla mnie forma walki z tymi owadami. Tyle, że ugasiliśmy pożar spowodowany przez... strażaków.

### Część druga

## Świątynia Pierzastego Węża

**G**alicja, a z nią ck Schule, zatrzasnęła drzwi nie tylko przed panem Bukowskim. Moja Wierchomla też szybko przepadła w beztroskiej młodości. Przyszła czas na Kurpie, założenie rodzin i szkołę w samym środku Puszczy Zielonej. Wszedłem do borów pod Myszyńcem, w których miejscowa ludność trzysta lat temu walczyła ze Szwedami. Bezwzględność najeźdźców odkryłem tłumacząc niewielki fragment dziennika Svena Agrellsa, kapelana armii Karola XII:

Wierchomla  
Iwonce

„1708 r., styczeń:

Ponieważ Wisła znów zamarzała, nasz Skaraborg Regiment mógł przekroczyć ją, choć z wielkim wysiłkiem, popychając wozy bez koni i przenosząc wszystko na swoich barkach. Po osiągnięciu drugiego brzegu rozłożyliśmy obóz na kilka dni w niewielkiej odległości od rzeki. Niedługo cieszyliśmy się odpoczynkiem. Dostaliśmy rozkaz do wymarszu i kiedy tak maszerowaliśmy po beznadziejnie złych drogach, mój wujek umarł z wycieńczenia rankiem w domu jakiegoś szlachcica. Wziłem jego ciało przez dwa dni. W niedzielę kazalem go pochować na skraju wsi, gdy stanęliśmy na odpoczynek. Nic się nie zmieniło w następnych dniach, wciąż maszerowaliśmy przez puszcze mazowieckie i Mazury.

W Czerwonym Borze wysłaliśmy nasze oddziały zwiadowcze, aby zabiły wszystkich wieśniaków powyżej 15 lat. Bydło, którego nie mogliśmy zabrać z sobą zaganiaaliśmy do chałup i podpalaliśmy je. Wszystko to dla bezpieczeństwa jako że mieszkańcy wiosek tyle złą naszemu marszowi poczyniali, nekając nas wszędzie i ciągle”.

Historia lubi się powtarzać w przedziwny sposób. Tak jak pan Bukowski, zabieram na dziwaczne wycieczki moich młodych uczniów z całego świata, by mogli eksplorować i rozwiązywać zawiłości historyczno-matematyczne. Pewnie nie ma w tych wożach zbyt dużo romantyzmu, ale ciężko jest zastąpić parową ciuchcią autobusem do Montrealu, czy odrzutowcem do Nowego Yorku.

W Toronto wsiałem do takiego samolotu sierpniowym popołudniem 2013 roku. Leciąłem dowiedzieć się, co jest w dużych kartonach znalezionych na strychu kamienicy, w której kiedyś mieszkałem ponad piętnaście lat. Nowi lokatorzy mieszkania przy ulicy Podhalańskiej zawiadomili mojego brata o znalezisku. Na zasznurowanych pudłach widniały wyblakły i słabo już czytelny napis: Waldemar Kontewicz – proszę dostarczyć. Tylko tyle. Leciąłem nad Atlantykiem i zastanawiałem się: kto mógł zostawić te nieoczekiwane prezenty i co w nich mogło być? Myślałem o naszych sąsiadach, kominiarzu Harlinie, artyście malarzu Wyganowskim, piekarzu Barańskim, tamburinmajorze orkiestry wojskowej. Jakoś nic nie chciało się ułożyć w sensowną całość.

Po ośmiu godzinach lotu na wysokości 10 000 metrów wylądowałem w Warszawie. Z lotniska im. Chopina zniknęła patyna czasu *fin de (communist) siècle* na zawsze. Lśniące lakierem mechaniczne dorożki zabierały pasażerów nawet do Nowego Sącza.

Dwie paczki odbierałem od podejrzliwie patrzących na mnie lokatorów mojej byłej kamienicy, która wciąż tkwiła pomiędzy dwoma przedszkolami, wysoką wierzbą, mosiężnym krasnałem i huśtawkami, na których kiedyś bujaliśmy się pod samym niebem. Tłusta pajęczyna na pudełkach wskazywała, że mój skarb bardzo długo czekał ukryty w rogu ciemnego strychu. Numery kurzu zaścieliły całą klatkę schodową i pół ulicy Podhalańskiej. Nieubłagany Zegarmistrz powtarzał po raz któryś: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Miałem nadzieję, że paczki wyjaśnią mi, co znajduje się pomiędzy ciepłym i zimnym popiołem.

Spakowana tajemnica w teksturowych sześcianach jechała teraz do Katowic. Następne miejsce mojego wędrowania po świecie miało być świadkiem czasu biegnącego wspan. Zupełnie jak pruski zegar u braniewskiej babci na ścianie chodzący w przeciwną stronę z przewróconym do góry nogami cyferblatem. To było wspaniałe kalectwo, które przykuwało bezwiednie moją uwagę do spraw egzystencjalnych.

Wniosłem pudełko do mieszkania przy ul. Królowej Jadwigi i począłem powoli rozpakowywać tę cięższą. Dwie warstwy tektury były sparciałe, wilgotne i stęchłe. Ze środka wydobylem zawiniętą w białawy, rozlatujący się ręcznik coś w rodzaju rzeźby. Czulem się jakbym odsłaniał pomnik nieznanego bohatera. Moim oczom ukazała się abstrakcyjna choinka powleczone fioletową masą bitumiczną. Nie miało to drzewko żadnego pnia. Małe eliptyczne komory połączone były drobnymi kanalikami. Przypominała ta budowla katakumby meksykańskiej świątyni Pierzastego Węża (Quetzalcoatl). Nastroszone elementy zaczęły błyszczeć po zaapli-

kowanej kąpeli. Postument, do którego przykręcona była pierzasta zagadka, odsłonił mosiężną tabliczkę z napisem *Sole nopsis invicta*. Nie miałem wątpliwości, to musiała być nazwa tego dzieła. Odwracałem rzeźbę na wszystkie możliwe sposoby. I nic. Żadnego nazwiska, choćby inicjałów. Trójwymiarowa budowla stawała się coraz piękniejsza, coraz ponętniejsza. Z pomocą pospieszyła moja żona, mówiąc, że łacińska inskrypcja to nic innego jak Mrówka Strażacka. Jeszcze dobrze nie skończyła tłumaczenia, kiedy usłyszałem stojący na peronie pociąg do Wierchomli, pełen worków z gipsem i wody z potoku w dziurawej miednicy. Więc ta Świątynia Pierzastego Węża była zagipsowanym mrowiskiem. Nie sposób było policzyć komór i kanalików łączących misternie zbudowane komnaty. Architektura i inżynieria zadziwiała swą wielopiętrową konstrukcją i funkcjonalnością. To było całe miasto, tyle że teraz wymarłe. Pamiątka po naszej brutalnej akcji. Nie było innej możliwości, wyrzuty sumienia musiały dać o sobie znać. Nawet po pięćdziesięciu latach. Napawając się pięknem i harmonią przyrodniczej doskonałości próbowałem się usprawiedliwiać, tak jak czynił to mój mistrz jeszcze w tamtym stuleciu. Zostawił mi świadectwo naszego zniszczenia. Pewnie jego też sumienie dręczyło do samego końca. Nieco ochłonawszy począłem szukać jakiegoś listu, wiadomości, kartki papieru z dwoma zdaniem. Niestety, nie znalazłem niczego. Może w drugim pudle będzie klucz do zagadki, zastanawiałem się przez cały wieczór. Siedziałem w fotelu z lampką koniaku i patrzyłem na dom Pierzastego Węża. W życiu nie widziałem niczego bardziej poplątanego, skrzywdzonego i pięknego.

Drugie, dużo złejsze pudło zdawało się być też zagadkowe. W nieprzemakalnym ortalionowym worku znajdowały się szpulki po niciach z nawiniętymi na nie paskami folii. Pięćdziesiąt dwie rolki były jeszcze bardziej enigmatyczne niż gipsowe mrowisko. Nie miałem pojęcia, jak się zabrać do odwijania poszczególnych pasków, na których odkryłem fragmenty o różnej intensywności czerni i bieli. Przez chwilę myślałem, że to mogą być negatywy zdjęć. Nic z tych rzeczy. Żadnych obrazów, kształtów, czy konturów.

Następnego dnia moja żona wzięła mnie do informatyka, który od trzydziestu prawie lat pracował w straży ogniowej. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego właśnie do strażaka. Dzięki zdolnościom inżyniera komputerowca – ogniowca wkrótce dowiedziałem się, że na krawieckich walcach nawinięte były nagrania dźwiękowe, dokonane metodą dwóch przepon, piórka i przesuwanego medium w postaci nasączonego sadzą papieru zaimpregnowanego parafiną. Na każdej szpulce była dokładna data. Wszystkie nagrano w 1913 roku, tyle że w różnych miesiącach. Znowu nie było żadnej wskazówki. Żadnego listu, tylko drewniane rolki z nawiniętą historią, którą być może uda się odtworzyć.

Strażak i Cybernetyk w jednej osobie napisał specjalny program komputerowy w języku C<sup>++</sup>, zeskanował wszystkie taśmy i zaczęło się szaleństwo słuchania. Niemożliwe stało się możliwym. Pan Bukowski, dwudziestodwuletni entuzjasta nauk przyrodniczych, techniki i sztuki rozmawia w Wiedniu z samym Gustavem Klimtem. Nie znam języka niemieckiego, więc polegam na umiejętnościach Strażaka, który tłumaczy skargi wiedeńskiego malarza na hipokryzję krytyków i tłumy koneserów malarstwa klasycznego, który w bezcelestwach pławi się codziennie, a na delikatnych, rozerotyzowanych olejnych obrazach widzi Sodomę, a nie sztukę.

Na następnym warku Kokoschka opowiada o swojej *Narzeczonej wiatru*. Słysząc jak łamie się głos geniusza, który opowiada o swojej nieszczęśliwej miłości do Almy Mahler. Jego obraz, malowany całymi latami, miał być godny oświadczyń. Alma nigdy ich nie zaakceptowała – obrazu i Oskara Kokoschki. Trudno uwierzyć, że *Narzeczonej wiatru* to dzisiaj arcydzieło znane na całym świecie, a wielki artysta wpadał co rusz w depresyjne dołki.

Długo czekałem na język polski pana Bukowskiego. Na jednej ze szpułek nawinięta była rozmowa z sądeckim burmistrzem – panem Barbackim. Gospodarz ck Nowego Sącza opowiada o zniszczeniach miasta po ogromnym pożarze, mi-

mo bohaterstwa strażaków walczących trzy doby, przy gaszeniu czerwonej apokalipsy. Odbudowa Rynku i Ratusza miała pochłonąć bająnskie sumy, których nie było w miejskiej kasie. Prosił pana Bukowskiego o nagłaśnianie w gazetach akcji odbudowy zniszczonej części sądeckiego grodu. Młody głos pana Bukowskiego nakładał się na moje wspomnienia z Wierchomli. To był ten sam monotony, niski baryton, może trochę z inną barwą, może odrobinę szybszy, ostrzejszy, bez manierycznych przerywników.

Na ostatniej szpulce nawleczony był krótki list napisany fioletowym inkaustem. *Waldemarze, mam nadzieję, że tymi trzema pudełkami sprawię Ci radość – ck nauczyciel przedmiotów przyrodniczych w grodzie JCKM FJI w Nowym Sączu, Herr Bukowski.* Długo rozglądałem się wokół, bezskutecznie szukając brakującego kartonu...

## Część trzecia

# Patefonium

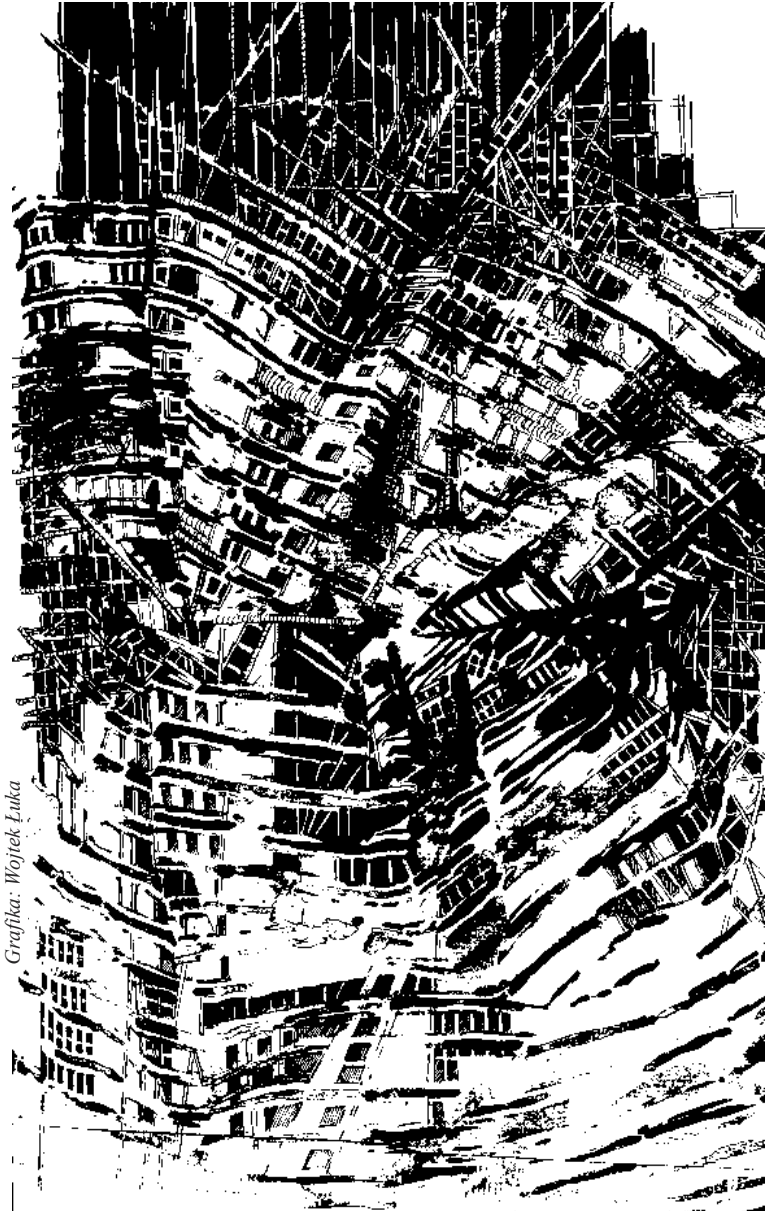
Zgromadzona płytoteka mojej żony wydawała się być bezużyteczna. Przecież nikt na świecie nie zakłada już piezoelektrycznych igieł by słuchać jazzu czy rocka z lat 60. ubiegłego wieku. Życie to jednak wciąż zaskakująca baśń z niejedną śpiącą królewną i puentą. Na wystawie w sklepie z elektronicznymi gadżetami, gdzie wirtualna rzeczywistość przegoniła tę przyziemną z bocianem i wierzbą o dwa wszechświaty, stał gramofon z tubą i korbką nakręcającą sprężynę tego dźwiękowego perpetuum mobile. Nie zawahałem się wydać majątku na muzyczną historię. Przytaszczyłem, do domu w Katowicach, medium łączące mnie ze światem zastygłym w ebonitowej masie. Szurająca igła po Deana Martina *That's Amore* ożywiła akordeon i chór przekonujący, że to jest właśnie miłość, kiedy chłopiec spotyka dziewczynę, albo księżyc topi się w pełnym kielichu wina. Niby opisana i wyśpiewana we wszystkich językach sercowa przypadek, ale wciąż ważna, wciąż melancholijna, wciąż młodzieńcza, wciąż magiczna.

Nakręcałem nasze patefonium (tak je ochrzciłem, gdy zakładałem pierwsze płyty i wsuwałem stalowe igły w łożo dźwiękowego encefalografu), kiedy zaterkotał mój telefon komórkowy, a w nim dojrzały, męski głos pytający o mnie. Nieco zdziwiony potwierdziłem swoją tożsamość. Dychawiczny szelest polskich zgłosek z kresowym zaśpiewem oznajmiał, że znaleziono pudełko przy okazji zakładania światła na strychu kamienicy przy ulicy Podhalańskiej w Nowym Sączu. Dodano jeszcze, że pięć tygodni temu odbierałem dwa duże zakurzone pudła. Te trzecie, zagubione w kącie, było drewniane i małe, zabezpieczone gumką recepturką przyciskającą świestek papieru z napisem: W. Kontewicz.

Nie ośmieliłem się otworzyć inkrustowanego skarbu tam na miejscu. Byłem pewien, że trzymałem w dłoni cały świat, który przetaczał się teraz nie tylko w szybie samochodu pędzącego autostradą z Krakowa do Katowic.

Tuż po przybyciu na Śląsk, jakoś podświadomie, nałożyłem na mój antykwaryczny adapter *Telegraf miłości* – pocztówkę dźwiękową podarowaną pięćdziesiąt lat temu mojemu wujkowi z Braniewa przez pewną piękność ze Starego Sącza, którą nazywaliśmy już ciocią. Ta piosenka była jedyną pamiątką po tamtej niespełnionej miłości. Chyba że dodam jeszcze do tego dwie mogiły połączone wiecznym telegrafem pamięci.

Zdjąłem recepturkę z pudełka z obrazkiem Giewontu i wygrawerowanym napisem *Pamiętka z Zakopanego*. Od razu poczułem się, jak w kolejce linowej na Kasprowy Wierch w 1961 roku, kiedy wysiadł prąd i wisieliliśmy nad przepaścią ponad dwie godziny. Nikt w wagoniku nie miał wtedy odwagi otworzyć ust. Milczeliśmy cały czas, wierząc że wyjdziemy z tej eskapady cali i zdrowi. Najodważniejszy był mój małutki brat, który jeździł po podłodze plastikowym motocyklem.



Grafika: Wojtek Łuka

Wszystkie oczy były skierowane właśnie na niego. Zatem dobrze było mieć sześć lat i nie mieć pojęcia o niebezpieczeństwach tamtego świata.

Pięknie wykaligrafowane litery na czarno białej pocztówce z Piwnicznej i Wierchomli szyfrowały dla mnie wiadomość:

*Waldemarze,*

*mam nadzieję, że pamiętasz szczyty gór, na których odpoczywaliśmy i WŁAŚNIE TAM otwieraliśmy nasze plecaki pełne jedzenia i notatek. Kieruj się tymi samymi szlakami, a znajdziesz interesującą historię, o którą zawsze prosiłeś podczas naszych turystycznych wędrówek.*

*c.k. nauczyciel biologii Herr Bukowski.*

Więc to była ta trzecia tajemnica czekająca na mnie od kilkudziesięciu lat? Małe inkrustowane pudełko z kilkoma zdaniem? Dlaczego dwa słowa były napisane dużymi literami? Te i inne pytania miały mnie nurtować w niedalekiej przyszłości.

Przez kilka dni siedziałem w fotelu naprzeciw gipsowej rzeźby Pierzastego Węża (Mrowiska z Beskidu Sądeckiego) i zastanawiałem się nad przypadkowością życia i jego ulotnością. No i ta ostatnia komora, na samym szczycie, miała kolor czerwony. Reszta biologicznej konstrukcji iluminowała bitumicznym fioletem.

Kiedy dotykałem, po raz nie wiem który, niezliczone zakamarki biologicznej doskonałości, zauważyłem małe pęknięcie na szczytowym elemencie mrowiska. W tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że tu musi kryć się odpowiedź na pytania zadawane samemu sobie: Dlaczego szczyt, dlaczego inny kolor, dlaczego duże litery?

Nagle, ściśnięta ścianka pomieszczenia mrówek strażackich otworzyła się. Z wnętrza wyskoczył zwitek gęsto zapisanego papieru w postaci bryka, albo ściągę, jaki stosowaliśmy czasem na klasówkach z matematyki. Szybko rozwinąłem delikatny palimpsest o długości kilkudziesięciu centymetrów. Moim oczom ukazało się znajome pismo:

*Drogi Waldemarze,*

*I znów ja, Twój nauczyciel historii i biologii – Herr Bukowski. To będzie ostatnie nasze spotkanie. Wiem, że jesteś na tyle inteligentnym chłopcem, aby rozwiązać szaradę z górskimi szczytami i kolorowymi rzeźbami. I dostaniesz się do tej papierowej tasiemki prawie testamentowej. To nie jest mistyfikacja. To względy zwykłego bezpieczeństwa mojego i jeszcze paru innych osób, dyktowały takie działanie. Kiedy piszę te słowa, w sierpniu 1969 roku, komunizm w Polsce nie zelżał ani na chwilę. Chociaż już nie mordują ludzi, to wciąż wielu z nas ma obawy przed utratą wolności, o którą przecież tak naiwnie walczyliśmy. Ty masz już osiemnaście lat. Skończyłeś szkołę średnią i chcesz zostać nauczycielem. Wiem to od Twojego ojca, a ponieważ i od Ciebie. Mówiłeś, a właściwie marzyłeś, o tym głośno, kiedy bawiliśmy się prawie dziesięć lat temu w pogotowie ratunkowe dla polskich mrówek w Wierchomli. Wiem, że to było brutalne, ale innego wyjścia nie było. Ktoś to musiał zrobić. Dhugo nie wiedziałem, jak Ci powiedzieć o moim „bestialstwie”. Czynień to teraz wiedząc, że zalewając gipsem mrowiska ze szkodliwym insektem wybierałem mniejsze zło. Smutno mi z tego powodu bardzo. Jeszcze smutniej, że wciąż gnąłem w to Ciebie, chłopca niespełna dziesięcioletniego.*

*Przepraszam za moje niewyraźne pismo, ale dobiegam osiemdziesięciu lat, więc to jest chyba zrozumiałe. Jednakże nie poddaję się czasowi i wciąż penetruję nasze Beskidy i Bieszczady z „kompanią” wileńsko-tworską. Tam bynajmniej nikt nas nie może podsłuchiwać. Wspomnienia z Syberii, Kazachstanu i innych głubinkowych miejsc są naszym katharsis. Moje doświadczenia znasz już trochę. Byłem krótki okres czasu c.k. nauczycielem biologii w Gramarschule w Wiedniu, a później w Nowym Sączu. Oprócz krojenia żab i koników polnych prowadziłem w cesarstwie Austro-Węgierskim dość intensywne życie towarzyskie. W przededniu wybuchu I Wojny Światowej mieszkaliśmy w Wiedniu w kamienicy na Sieveringu. Moim sąsiadami byli państwo Bronsteinowie. Nikt nie przypuszczał, że wydarzenia w Serbii mogą rozpętać koszmar wojenny.*

*Takim najważniejszym miejscem towarzyskim w mieście Mozarta stała się kawiarnia Central, w której często przesiadywałem, jako że pan Trocki vel Bronstein często uwodził swoimi wykładami o muzyce, malarstwie, literaturze, sztukach teatralnych, a przede wszystkim polityce. Poprzez Trockiego i jego żonę poznałem Adolfa Joffę przyjaciela Freuda, więc psychoanaliza stała się niejako moim hobby. Każdy w Wiedniu prześląknięty był rewolucją irracjonalizmu i czynników emocjonalnych ludzkich zachowań.*

*Na tym nie kończył się mój Wiedeń. Popularność i ważność Trockiego pozwoliła mi poznać Josipa Broz, późniejszego Tito. To był uroczy, dwudziestoletni tancerz, gawędziarz i kobicciarz. Uwielbiał młode wdowy. Widziałem też ospowatego Gruzina Dżugaszwili. Ponoć dżuga to po gruzińsku stal, więc stąd pewnie i złowieszcze nazwisko mordercy: Stalin.*

*Potem była wojna. Niespodziewana, krwawa. Dużo Ci o niej opowiadałem. Jeszcze więcej wiesz z lekcji historii, gdyż miałeś wyśmienitą nauczycielkę – panią Wałegową. Dla mnie jednakże życie miało zawsze galicyjski sens i wymiar. Marzyłem o Polsce, zawsze i wszędzie. Tyle że coś się zmieniło na zawsze po wojnie. Cieszyłem się z wolności, ale to chyba młodość była kwantyfikatorem moich emocji. Już nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak w Wiedniu. Teraz patrzę na życie z perspektywy starca i wiem, że im dalej jestem od cesarskich czasów, tym bardziej odchodzę od siebie. Dziwne, prawda? Może i Ty kiedyś będziesz zmagał się z podobnym problemem. Druga wojna światowa spowodowała u mnie, jak i u wielu, wielkie spustoszenia emocjonalne i nie tylko. Moje cierpienia wpisują się w te sześć szatańskich lat, jakie świat przeobraził „dzięki”, wydawałoby się normalnym, młodym ludziom, których spotkałem i nawet poznałem właśnie tam w Wiedniu. W 1913 roku wałęsał się przecież po Praterze kiepski malarz – Hitler.*

*Pewnie teraz nie będziesz miał już wątpliwości, co do mojej konspiracji. Może Ty doczekasz chwili, kiedy te słowa będą tylko historyczną notatką. A są jeszcze moi przyjaciele, którzy wycinali drzewa na Syberii, kopali uran w niehumanitarnej ziemi, spaliali drzewo Jenisiejem jako mali chłopcy. Albo też przesładowani żołnierze spod Monte Cassino. Czyż można sobie wyobrazić większą ironię losu?*

*Mógłbym napisać dużo więcej. Jednakże moje oczy odmawiają posłuszeństwa. I nie chciałbym aby ten list stał się ekliwym romanem, jak mawiał Twój tato. Urodziłeś się i trochę wychowałeś w Braniewie. Więc masz jakiś obowiązek. Napisz wspomnienia w postaci dziennika i nazwij to np. Braniewnik. Nie wiem, może to infantylna nazwa, ale po opowiadaniach Twoich bliskich mam przed oczyma piękną baśń wileńską. Szkoda gdyby przepadła.*

*I jeszcze jedno. Ostatnie pudełko, to najmniejsze, ma podwójne dno. Otwórz i znajdziesz coś, co mam nadzieję, sprawi Ci radość.*

*Twój na zawsze pan (herr) Bukowski*

Czy to już naprawdę ostatnie chwile z moim mistrzem i niejako przyjacielem? Chciałem zatrzymać czas, zatrzymać c. k. biologa, znajomego samego Bronsteina. Pozostała tylko rzeźba Pierzastego Węża, rozmowy zapisane na dziwnym medium i inkrustowane pudełko. Ale przecież ono ma podwójne dno. Otworzyłem w końcu ostatnią skrytkę z tajemnicą. Pomiedzy dwiema ściankami znajdowały się pocztówki z nagraniami piosenek. Nakręciłem moje patefonium i zostałem zaskoczony zupełnie: Jan Kiepusa i Enrico Caruso w solowych ariach śpiewali *O Sole Mio (Mój synku)*; prawie tak jak mój ojciec, kiedy splukiwał ze mnie grzechy sądeckich ulic w żeliwnej wannie.

**Waldemar Kontewicz**, ur. 1951 w Braniewie, prozaik, poeta, tłumacz. Absolwent WSP w Olsztynie. Z zawodu nauczyciel matematyki. Od 1987 roku w Kanadzie. Drukował teksty w Migotaniach, Twórczości, Więzi, paryskiej Kulturze. Autor wydanych książek: Braniewnik (nagrodzony Wawrzynem Literackim Warmii i Mazur), Wilkierze braniewskie, Appendix.



Trzynastowieczna *Księga henrykowska* napisana została przez niemieckiego mnicha po łacinie i zawiera pierwsze utrwalone w piśmie zdanie w języku polskim wypowiedziane przez Czecha do jego polskiej żony. Czesi są przekonani, że słowa te wybrzmiewają w ich języku. Obydwa zaś (polski i czeski) były sobie tak bliskie, że niemal tożsame. W tym piśmienniczym artefakcie odnajdujemy esencję złożoności kultury Śląska i jej specyfikę. Jedną zaledwie frazę i okoliczności jej zapisania w *Księdze henrykowskiej* („*day, ut ia pobrusa, a ti poziwai*”, co w transkrypcji czytamy jako: „*daj, ac ja pobruszę, a ty pocztywaj*”) szeroko otwierają drzwi do zrozumienia specyfiki Śląska nie tylko średniowiecznego. To truizm, że kultura śląska ma wymiar uniwersalny i że jest na wskroś europejska, że znaczą ją trudny i bezcenny dar pograniczności, że w tym właśnie tkwią siła i uroda tej ziemi, jej błogosławieństwo i przekleństwo zarazem, jej otwierający się na *universum* prowincjonalizm, który jeśli nie jest niezauważany, to zwykle opacznie rozumiany bądź też niedoceniany.

Śląsk to kamień drogocenny, szmaragd Europy (*smaragdus Europea*) – by odnieść się do jednego z najchętniej przywoływanych określeń, pochodzącego z XVII stulecia, a ściślej użytego w formie metafory przez poetę Heinricha Mühlpforta w wierszu pisanym na śmierć ostatniego piastowskiego księcia tej ziemi. Położenie Śląska i jego bogactwo tyleż stanowiły o jego sile, co przesądzały o dramatycznych losach, narażając go na polityczną pazerność władców i polityków. A jednak ziemia ta szczęśliwie wymyka się stereotypom. I każdy, kto ją poznaje, wie o tym dobrze. Jeszcze w XII wieku do Małopolski należał teren tego skrawka Śląska, który po wiekach stanie się jego najbardziej uprzemysłowioną częścią. I aż po rok 1821 Bytom i Pszczyna będą siedzibami dekanatów krakowskiej diecezji. Paradoksów mnożących pojęciowe problemy i sprawających, że dyskusje także dziś nie gąsną, doprawdy od początku jest wiele. Ale to także bogactwo.

W średniowieczu, gdy już z głębi śląskiej ziemi dobywano niektóre z ukrytych w niej szlachetne kruszce, na uniwersytetach europejskich studiowała niemała grupa Ślązaków. Henryk Barycz pisał, że z wszystkich ówczesnych dzielnic polskich „tu osiąga największy rozkwit piśmiennictwo i twórczość naukowa, najłatwiejszy dostęp mają nowe prądy umysłowe. Zasadniczymi czynnikami wyjaśniającymi ten wysoki stan rozwoju kulturalnego, były: najrozleglejsza stosunkowo liczba klasztorów, bujny rozkwit miast, znakomity rozwój szkolnictwa miejskiego



## KAMIEŃ DROGOCENNY

# Lux

JACEK KUREK

(w pierwszej połowie XIII wieku w dwóch głównych miastach 14 szkół, w XIV wieku w 42 miastach 43 szkoły), wreszcie ilościowo największy pęd ze Śląska na uniwersytety zagraniczne. I tutaj znowu charakterystyczny przykład: na 24 studentów z Polski, studiujących na Uniwersytecie Bolońskim w latach 1265–1294, przypada na Śląsk 11 scholarów. Również w latach 1300–1327, wedle niepełnych identyfikacji, liczba scholarów bolońskich, pochodzących ze Śląska lub związanych z nim sprawowanymi urzędami, wynosi od 1/3 do połowy ogólnej liczby studentów z Polski”. Tam – w Bolonii – zaczynał swoją drogę św. Jacek Odrowąż – *Lux ex Silesia*, Światło ze Śląska, jak o nim mówiono w Krakowie. Liczna była obecność wybitnych śląskich uczonych na Uniwersytecie Krakowskim od początku jego istnienia, a także cała konstelacja rektorów, od Franciszka Krzyszowica z Brzegu (ściślej Krzyszowice k. Brzegu) w XV wieku po pochodzącego z Dąbrówki Małej (dzisiaj dzielnicy Katowic) ks. Konstantego Michalskiego w wieku XX. Śląscy kompozytorzy działali w Krakowie od czasów Jerzego Libana na przełomie XV i XVI wieku i nazywanego polskim Händlem Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego 200 lat później. A losy ich łączyły Praga i Kraków. Pisma śląskich mistyków aktywnych w okresie nowożytnym (Angelus Silesius, Jakub Böhme) inspirowały Blake’a i Swedenborga. Zawarte w dziełach Silesiusa i Böhme’go myśli żyły daleko od miejsca, w którym je uwieczniono. Mając to na względzie, trzeba przyznać, że nie całkiem fantastycznie brzmi z pozoru anegdotalna uwaga, że właściwym językiem śląskim jest łacina, skoro to w niej zapisano być może najbardziej fundamentalne i znane w Europie śląskie myśli.

Od początku drugiego tysiąclecia po Chrystusie ziemia śląska wrastała w łacińską kulturę zachodniej Europy. Śląsk wpisany jest w europejskość całym swoim kulturowym tchnieniem.

Jest ziemią wielu religii i języków, które jednak bardziej łączą (o czym świadczy chociażby przytoczone zdanie z *Księgi henrykowskiej*), niż – przymierzając starotestamentową wieżę – dzielą. Przynależność Śląska do różnych państw sprawiła, że jego mieszkańcy na przestrzeni ostatnich stuleci stali się członkami różnych narodów. I dlatego właśnie tak wyraziście historia Śląska zawiera w sobie wszystkie te wartości, które dzisiaj nieco patetycznie nazywamy europejskimi bez względu na to, jak bardzo pozostają w kryzysie naszymi rodem spod biblijnej Babel czasów.

Wartości na Śląsku rodziły się w trudach i cierpieniu, ale rodziły się szczęśliwie. Drogocенność tych ziem, nie tylko z uwagi na bogactwo – także szlachetnych – kopalin, jest polifoniczna. Bierze się również z obfitego wchłaniania kulturowych wartości z zewnątrz. Mimo wszelkich szaleństw, tragedii, smutku i zła pozwala na zachwyty także przeszłością i jej bohaterami, najbardziej jednak chyba tajemnicą ludzkich losów i wyborów, nieokreślonym żywością możliwości. Historia jako droga prowadząca z przeszłości do przyszłości być może wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd pozostaje i dziś istotnym szlakiem poznania człowieka na Śląsku. Jest pokrzepieniem i można w niej szukać otuchy. Trudno w sobie wzbudzić zachwyty człowiekiem, ale ufać można, że to właśnie postawa otwarta na zachwyty jest początkiem poznania, znamionuje człowieka poszukującego, człowieka drogi i pogranicza. I człowieka tak specyficznie tu pojętej głębi. Zachwyty nad tym, że możliwe jest przebaczenie i budowanie więzi – z zachowaniem i poszanowaniem inności. Że wszystko, co tak wyjątkowe, nie służy lechtaniu *ego*, ale pozwala uświadamiać sobie, jak wielka jest powinność i jak wielki odziedziczony zbiorowy obowiązek, jak wielka odpowiedzialność. Szczęśliwie, światło nie gaśnie i można w jego blasku pracować. Światło ze Śląska...



Andrzej Czyżewski w czasie spotkania w Muzeum Miejskim w Tychach, styczeń 2008

# Architektura, fotografia, literatura

## Trzy światy Andrzeja Czyżewskiego

MARIA LIPOK-BIERWIAZONEK

*Zamykam dom mój dziś na klucz [...]*  
Kazimierz Wejchert

13 lutego tego roku zmarł Andrzej Czyżewski, tyski architekt. Niektórym znany był bardziej jako fotograf, a jeszcze innym – jako autor biografii Marka Hłaski. Był bowiem Andrzej Czyżewski postacią wielowymiarową, o bogatej osobowości, wielu zainteresowaniach i różnych aktywnościach. Był człowiekiem-instytucją, autorytetem, znakomitym komentatorem dokonań architektury ostatniego półwiecza, a z racji swego wieku także świadkiem historii. Dla mnie był życzliwym współpracownikiem i przyjacielem.

W grudniu 2015 roku skończył 85 lat. Wówczas nic nie zapowiadało, że to jego ostatnie urodziny.

### Wejchertowie i Czyżewscy

Słowa cytowane jako motto to początek (a także tytuł) wiersza Kazimierza Wejcherta. Autor wybrał również tę sym-

boliczną frazę na tytuł swego poetyckiego tomiku, który wydał w 1992 roku, kiedy miał już 80 lat i długie twórcze życie za sobą. Ten tomik wierszy Wejcherta pozyczył mi Andrzej Czyżewski, kiedy w 2012 roku wspólnie pracowaliśmy nad wystawą i książką poświęconą Wejchertowi, a oba te dzieła przygotowywane były przez Muzeum Miejskie w Tychach dla upamiętnienia stulecia urodzin profesora.

Profesor Kazimierz Wejchert był urbanistą, autorem planu generalnego miasta Tychy, ale także poetą, akwarelistą, a w młodości sportowcem. Co ważne dla mojej opowieści – przyjaźnił się z Marią i Andrzejem Czyżewskimi. Kazimierz Wejchert zmarł w 1993 roku. Trzy lata później zmarła jego żona, Hanna Adamczewska-Wejchert, współtwórczyni projektu Tychów. Dwadzieścia lat po Wejchercie zmarła Maria Czyżewska. Trzy lata po Marii, a dwadzieścia lat po Hannie Wejchertowej, zmarł Andrzej Czyżewski. Zadziwiający, choć przecież przypadkowy rytm...

Życie dwóch par małżeńskich, Wejchertów i Czyżewskich, splotło się w 1958 roku, w Tychach. Misją życiową jednych i drugich stało się projektowanie nowego miasta, powstającego w sąsiedztwie starego dziesięciotysięcznego miasteczka, jakim wcześniej były Tychy. Wspólna praca zawodowa bardzo zbliżyła, ale poza tym połączyły tę czwórkę także wspólne zainteresowania i upodobania do spędzania czasu wolnego – latem na wyprawach kajakowych, a zimą na wędrownkach górskimi szlakami na nartach. Architektura i urbanistyka były wszakże pierwsze.

Po latach Andrzej Czyżewski został biografem Wejcherta.

### Czyżewski – z warszawiaka tyszanin

Andrzej Czyżewski urodził się w Warszawie 18 grudnia 1930 roku. Jego ojciec Józef był prawnikiem, matka Teresa wśród kilkorga rodzeństwa miała siostrę Marię, która była matką Marka Hłaski. Kuzyn Marek (Andrzej precyzyjnie mówił o nim „brat cioteczny”) był o trzy lata młodszy od Andrzeja, choć dzieliły ich cztery roczniki (Marek urodził się w styczniu 1934 roku). Chłopców łączyły więzy rodzinne, ale także przyjaźń. Okupację obie rodziny, Czyżewskich i Hłasków (ojciec Marka już nie żył), spędziły w Warszawie. Miasto opuścili po upadku powstania warszawskiego. Czyżewscy znaleźli na krótko schronienie w Radomiu, a potem osiedli we Wrocławiu. Tam Andrzej zdał maturę i podjął studia na architekturze. Na Politechnice Wrocławskiej poznał swoją przyszłą żonę Marię, która także studiowała architekturę. Maria, zwana przez bliskich Murką, była wilnianką z pochodzenia. Jej rodzina opuściła Wilno wiosną 1945 roku, latem 1945 przyjechali na Dolny Śląsk, do Prudnika. Charakterystyczne losy tego pokolenia...

Maria i Andrzej jesienią 1955 roku wzięli ślub. Mieszkali i pracowali we Wrocławiu, Andrzej na Politechnice. Jeszcze we Wrocławiu, w 1957 urodziła im się pierwsza córka. Druga urodziła się trzy lata później, kiedy byli już mieszkańcami Tychów.

A jak trafili do Tychów? Andrzej Czyżewski tak o tym opowiadał:

„Późną jesienią [1957 roku] zdecydowaliśmy się [...] na przystąpienie do kolejnego konkursu – na kościół w Nowych Tychach. Z początkiem lutego 1958 roku, gdy byłem właśnie na Politechnice, wrócił z Katowic, gdzie rozstrzygany był ten konkurs, jeden z profesorów biorący udział w jury. Przywiózł wiadomość, że pierwszą nagrodę uzyskał projekt kościoła o trzech wysokich wieżach. Nazwiska autorów jeszcze nie były wtedy ujawnione. Ale po krótkiej rozmowie o szczegółach zwycięskiego projektu zorientowaliśmy się, że to właśnie nasz projekt.

Był to dla nas wielki sukces. Wygraliśmy ogólnopolski konkurs architektoniczny! Wtedy też przeczytaliśmy w komunikacie Stowarzyszenia Architektów ogłoszenie, że Miastoprojekt Nowe Tychy poszukuje projektantów architektury oferując pracę i mieszkanie.

Z początkiem kwietnia otrzymaliśmy list od Kazimierza Wejcherta i Hanny Adamczewskiej, generalnych projektantów miasta Tychy, z propozycją przyjazdu i zorientowania się w możliwości podjęcia pracy przy budowie miasta. Do zaprojektowania był tam przecież nie tylko kościół. Skontaktowaliśmy się od razu. Wstępnie umówiliśmy się na wizytę w lecie. [...] W pogodny lipcowy poranek wyjechaliśmy pociągiem z Wrocławia. Wpierw do Katowic, tam przesiadka i dalej koleją do Tychów. Budynek biura projektowego znajdował się bezpośrednio przy dworcu kolei. Profesor Wejchert był na urlopie, ale czekała na nas Hanka Adamczewska, przystojna, niespełna czterdziestoletnia, będąca w zaawansowanej ciąży. Nie przeszkadzało to jej poruszać się szybko i energicznie. Opowiedziała o możliwościach i warunkach podjęcia pracy przy projektowaniu miasta. Zaprosiła do domu i na nocleg.

Po południu mały spacer po tej samej ulicy, przy której mieszkali. Za zakretem – budowa domów szeregowych. W 1956 chyba roku oglądaliśmy w naszym zawodowym czasopiśmie „Architektura” rezultaty konkursu na domki mieszkalne dla Śląska. Szczególnie spodobał się nam wtedy jeden z projektów autorstwa starszych kolegów Buszki, Franty i Gottfrieda. Teraz, nieoczekiwanie, tu w Tychach, zobaczyliśmy ten projekt w realizacji. Wchodząc do jednego ze znajdujących się w stanie surowym domków Adamczewska powiedziała nam, że taki domek możemy dostać. To był bardzo poważny argument.

Jeszcze jedno wrażenie z tamtej pierwszej wspólnej wizyty w Tychach. W obiegowym pojęciu Śląsk kojarzył się z brudem, zanieczyszczonym powietrzem i zniszczonym przez przemysł krajobrazem. Murka w pierwszym odruchu słysząc nawet nie chciała o przeprowadzce z zielonego Wrocławia na czarny Śląsk. Teraz, na miejscu okazało się, że Tychy otoczone są lasami, że można tu mieszkać w domku z własnym ogrodem [...]. No i można taki domek szybko otrzymać.”

Tak Andrzej Czyżewski wspominał początek swojego związku z Tychami w książce „Murka”, poświęconej zmarłej w 2013 roku żonie. Przeprowadzka do Tychów w 1958 roku rozpoczynała dla obojga czas pracy przy projektowaniu nowego miasta, pracy na całe zawodowe życie. Nie został wprawdzie wybudowany ich konkursowy kościół z trzema smukłymi wieżami (dobra wola decydentów z okresu popaździernikowej odwilży szybko się bowiem skończyła), ale Czyżewscy zaprojektowali w mieście wiele budynków i całych osiedli. Ich pierwszą realizacją był kompleks obiektów Technikum Budowlanego. Prostą bryłę korpusu szkoły ozdobił fantazyjną lupiną zadaszenia nad wejściem głównym – rozwiązanie mistrzowskie. Za projekt szkoły otrzymali nagrodę. Potem były jeszcze następne nagrody. A po wielu latach zaprojektowali razem kościół p. w. św. Jadwigi, wybudowany jednak w innym miejscu niż planowano ten pierwszy, konkursowy.

O ile Murka całe zawodowe życie związała z tyskim Miastoprojektem, to Andrzej wykładał także na Politechnice Śląskiej,

a pod koniec lat 80. objął stanowisko architekta wojewódzkiego.

## Fotografia

Andrzeja poznałam czterdzieści lat temu, ale przez długi czas była to po prostu miła znajomość. Zaprzyjaźniliśmy się, kiedy jedenaście lat temu pochłonęło mnie organizowanie powstającego Muzeum Miejskiego w Tychach. Andrzej Czyżewski był jedną z pierwszych osób, które przyniosły dary do tworzonej muzealnej kolekcji. Były to zdjęcia budujących się Tychów. Zdjęcia znakomite! Budowy z lasem dźwigów, czasem z wiejskim pejzażem na pierwszym planie, pokazujące przenikanie się Tychów starych i nowych. Moją uwagę zwróciły także zdjęcia pokazujące życie mieszkańców nowego miasta w tamtych pionierskim okresie: przechodnie na ulicach, zabawy dzieci na ugorach ówczesnych podwórek, w wielkiej kałuży (pewnie była dla nich morzem) czy na trzepaku, niedzielne obrazy tłumu ludzi wychodzących z kościoła lub uczestniczących w kiermaszu z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy. Oglądanie tych zdjęć przypominało mi własne lata tyskiego dzieciństwa i wczesnej młodości. Pamiętałam dobrze takie obrazy, takie właśnie scenki.

Andrzej Czyżewski co jakiś czas przynosił do muzeum w darze kolejną płytę z zapisem swoich zeskanowanych zdjęć. Skanował samodzielnie (sprawnie posługiwał się sprzętem komputerowym), ze starych celuloidowych negatywów, które tworzyły jego zasobne archiwum. Po kilku latach licząca ponad pięćset okazów kolekcja jego zdjęć stała się skarbem muzealnego Działu Fotografii.

Przekazane w darze do muzeum zdjęcia złożyły się na zorganizowaną w 2007 roku wystawę „Powstaje miasto. Tychy w fotografii Andrzeja Czyżewskiego”. Na ekspozycji znalazł się wybór około 200 zdjęć. Wystawa przyciągnęła rzesze tyszan, którzy odnajdywali w niej dokumentację i atmosferę minionego czasu, a przy tym podziwiali świetne oko fotografa. Wydany z okazji wystawy album fotografii Czyżewskiego cieszył się nabywców. Niektórzy dopiero poprzez tę publikację poznali nazwisko autora, nie wiedząc wcześniej o jego zasługach jako architekta.

Wiele zdjęć Czyżewskiego ma walor ikoniczny. Wykorzystywane są jako ilustracje w licznych wydawnictwach poświęconych architekturze minionego półwiecza, a także pokazujących życie społeczne w budowanym wówczas mieście.

## Przez Marka Hłaskę do literatury

Swoją emeryturę Andrzej Czyżewski wypełnił wszakże głównie literaturą. W podwójnym sensie. Jako jedyny kuzyn Marka Hłaski, a więc najbliższy krewny i spadkobierca, zajął się porządkowaniem spuścizny po sławnym bracie ciotecznym. Obszerne archiwum rodzinne przejął po śmierci Marii Hłasko, matki Marka, w 1987 roku. Tak rozpoczęły się długie lata pracy Andrzeja nad spuścizną po kuzynie pisarzu. Nie ograniczył się jednak

do porządkowania papierów. Postanowił napisać biografię Marka. Zależało mu na rzetelnej opowieści o życiu pisarza, na sprostowaniu licznych mitologizacji i przekłamań, jakie przez lata narosły wokół postaci Hłaski. Biografię wydał trzykrotnie. Pierwsza edycja miała miejsce w 2000 roku. Ostatnie wydanie, poszerzone o nowe dokumenty, ukazało się w 2012 roku. Opracował także i przygotował do druku listy Marka Hłaski, które ukazały się w 2014 roku, a jeszcze wcześniej, w 2002 roku, chłopięcy pamiętnik Marka z lat 1945-1946. Zapiski młodocianego Marka w pamiętniku uzupełnił własną równoległą narracją: wyjaśnieniami sytuacji sytuacji rodzinnej piszącego chłopaka oraz celnymi komentarzami odnoszącymi się do ówczesnej sytuacji w kraju. Dzięki tym komentarzom poznajemy między innymi warunki życia w powojennym Wrocławiu.

Kolejne wydania biografii Marka Hłaski, opracowania jego pamiętnika i zbioru listów, pociągały za sobą udzielanie licznych wywiadów, a także spotkania autorskie w różnych miastach Polski. Czyżewski nie uchylał się od tych obowiązków, uznając, że należy się to Hłasce. Przygotował także poświęconą mu wystawę, eksponowaną między innymi w Tychach i w Częstochowie.

W ten sposób Andrzej Czyżewski stał się bardziej znany nie jako architekt, ale jako kuzyn sławnego pisarza. Jednocześnie sam stał się pisarzem. W swej nowej aktywności twórczej zajmował się wszakże nie tylko sprawami ciotecznego brata. Spisywał także swoje wspomnienia, zwłaszcza z czasu pracy w tyskim Miastoprojekcie. Tyskie muzeum opublikowało je w kilku wydawnictwach. Po śmierci żony w 2013 roku napisał wspomnianą już książkę poświęconą ukochanej Murce, wydaną także przez muzeum.

W mojej literackiej współpracy z Andrzejem Czyżewskim ważny był rok 2012, w którym przypadła setna rocznica urodzin profesora Kazimierza Wejcherta. Współpracowałam z Andrzejem przygotowując w tyskim muzeum wystawę poświęconą Wejchertowi, a Andrzej napisał piękny, obszerny tekst o profesorze, który znalazł się w książce towarzyszącej wystawie. Jak na wytrawnego dokumentalistę przystało, wykorzystał między innymi archiwum rodzinne syna profesora, mimo początkowej powściągliwości młodszego Wejcherta w tej kwestii. Czyżewski miał jednak dar przekonywania innych do potrzeby podzielenia się zasobami rodzinnych archiwów, doceniał znaczenie dokumentów, listów, zdjęć układających się w ciekawe historie. Zapewne dlatego tak dobrze współpracował mi się z nim na muzealnej niwie.

Nasza wspólna książka o profesorze Wejchercie bardzo nas cieszyła. Od Andrzeja często słyszałam potem: „Marysiu, kiedy znów coś razem napiszemy?”

Już nie napiszemy. Stało się jak w Wejchertowym wierszu: *Zamykam dom mój dziś na klucz ...*

**Dr Maria Lipok-Bierwiaczonek** – emerytowana dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach.

„Istnieją takie książki, po których przeczytaniu przystoi wyłącznie milczeć. Milczeć przede wszystkim ze względu na ciężar podejmowanego problemu, ale także dlatego, że są doskonałe i całą refleksję na własny temat zamykają w sobie” – tak o „Małej Zagładzie” powiedział Piotr Matywiecki.

Autorka książki – Anna Janko – 29 stycznia br. odebrała w warszawskim Klubie Księgarza nagrodę miesięcznika „Nowe Książki” za najlepszy utwór 2015 roku. Wśród wcześniejszych laureatów tej nagrody można wymienić m.in. Andrzeja Bieńkowskiego, Janusza Deglera, Ryszarda Kapuścińskiego, Urszulę Koziół, Andrzeja Mencwela, Kazimierza Orłosia, Tadeusza Rożewicza.

# Pamięć zagłady

MAŁGORZATA KĄKIEL



Anna Janko urodziła się w Rybniku, gdzie jej ojciec – Zbigniew Jankowski – był organizatorem i pierwszym prezesem Klubu Literackiego „Kontakty”. Potem pisarka związała się Wrocławem, Trójmiastem, Warszawą. Debiutowała w 1977 r. tomem wierszy „List do królika”, docenionym przez prof. Artura Sandauera. „Dziewczyna z zapalnikami” (2007) była z kolei jej debiutem prozatorskim, za który Anna Janko została nominowana do Nagrody Angelusa oraz Nagrody Mediów Cogito. Potem, w roku 2012 ukazała się powieść „Pasja według św. Hanki” – nominowana do Nagrody Nike (wcześniej pretendował do tej nagrody jej tomik wierszy „Świełtisty cudzoziemiec”). W wydanej w ubiegłym roku „Małej Zagładzie” autorka wraca pamięcią do pacyfikacji Soch, rodzinnej wsi jej matki – poetki Teresy Ferenc. 1 czerwca 1943 r. do doliny na Zamajszczyźnie zeszli Niemcy i spalili 88 domów, a większość mieszkańców zastrzelili. Później jeszcze zbombardowali pogorzelsko. Dziewięcioletnia wtedy Renia, matka pisarki, przeżyła, ale widziała, jak hitlerowcy zabili jej oboje rodziców. Potem na rok zamilkła i tylko płakała. Co dzień, aż do groźby utraty wzroku. Tamta wojenna trauma odcisnęła dramatyczne piętno na całym życiu zarówno jej, jak i jej córki – pisarki.

Wspominając dzieciństwo, swoje oraz swojego pokolenia, Anna Janko zawsze przypomina, że nieustannie żyła w lęku przed wojną – tą, która minęła, i tą, która na pewno zaraz nadejdzie. Podczas spotkania w Klubie Księgarza pisarka kilkakrotnie wyrażała przekonanie, że istnieje genetyczna pamięć zagłady. Tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny pokazują, jak pod wpływem wstrząsu zmieniają się neurony i jak to wpływa na zmiany w genetycznym zapisie. Dlatego potomkowie tak silnie odczuwają groźbę przeżyć rodziców. „Rodzice byli bardziej szokowani, my jesteśmy przewrażliwieni, bo jeśli dziecku aplikuje się strach, świadomie poprzez opowieści oraz podświadomie, ponieważ same mu jest się porażonym strachem, to tego nie da się potem z człowieka wyjąć” – powiedziała Anna Janko niedługo po premierze „Małej Zagłady” w rozmowie opublikowanej w tygodniku „Przegląd”.

„Mała Zagłada” w zamysle była próbą terapii dla matki pisarki, ale też dla pokolenia dzieci tych, którzy przeżyli drugą wojnę światową. Książka ma formę rozmowy między córką i matką. Upływ czasu doprowadził do zamiany ról – teraz przewodniczką po przeszłości Soch jest młodsza z kobiet. Anna Janko kilkakrotnie odwiedziła rodzinną wieś matki, rozmawiała z ocalonymi wówczas mieszkańcami, przestudiowała dokumenty w archiwach, obejrzała fotografie... I stworzyła książkę historyczną, a zarazem psychologiczną, która nabiera cech głębokiego eseju filozoficznego. Hitlerowskie zbrodnie przeplatają się tu z bestialstwem Hutu wobec Tutsi, ofiary Hiroszimy cierpią na równi z ofiarami nie-



Zdjęcia: Małgorzata Borczak

Na zdjęciu od lewej: Dorota Landowska, Anna Janko, Piotr Matywiecki, Tomasz Łubieński

dawnej wojny w Jugosławii. A czytelnik bezradnie szuka odpowiedzi na pytanie: dokąd uciec przed nieuchronnością zła świata? Autorka nie prowadzi nas jednak w stronę rozpacz czy nihilizmu. Zdaje się sugerować, że na wzór Wolteriański trzeba uprawiać własny ogródek. Mimo

W pytaniach, jakie padały z sali, powracał wątek celowości napisania „Małej Zagłady”. Piotr Szewc, pisarz, redaktor „Nowych Książek”, pytał o reakcję Teresy Ferenc.

– Nie pokazałam mojej mamie ani jednego fragmentu, zanim nie napisałam

mniej? Co jakoś w sobie ułożył? – dociękał Tomasz Łubieński, redaktor naczelny „Nowych Książek”.

Anna Janko tłumaczyła, że jej matka miała prawo zapomnieć, ale z tragedią dzieciństwa nigdy sobie nie poradziła. A Piotr Matywiecki dodał, iż nikt z ludzi, którzy przeżyli zagładę, nie dał sobie prawa do zapomnienia, nawet jeśli milczał.

„Nikt idzie na wojnę i zabija nikogo” – to jedno ze zdań „Małej Zagłady”. Z perspektywy czasu mordercy oraz ofiary stają się anonimowi, ale pisarka wielokrotnie powtarza w książce: „Imiona są ważne. Liczby się liczą” – nie godzi się na odpersonalizowanie zła i dobra. Nieosobowe formy czasowników: „zabito, spalono, wysiedlono”, nie oddają tragedii pojedynczych ludzi, za to osłabiają winę zbrodniarzy. Dlatego pisarka wysupłuje imiona tych, co zabijali i zostali zabici. Piotr Matywiecki przywołał słowa Eliasa Canettiego: „Zachować ludzi dzięki słowom to tak, jakby ich stworzyć na nowo”. I w swojej książce Anna Janko powołuje do życia zamordowanych.

Podczas spotkania w Klubie Księgarza zebrani nie tylko zostali zainspirowani do refleksji nad istotą świata, poznali książkę – jeśli jeszcze jej nie znali – ale mieli także okazję wysłuchać fragmentów tekstu w interpretacji aktorki Teatru Narodowego – Doroty Landowskiej – mogli porozmawiać z pisarką czy kupić egzemplarz „Małej Zagłady”.

### **Anna Janko kilkakrotnie odwiedziła rodzinną wieś matki, rozmawiała z ocalonymi wówczas mieszkańcami, przestudiowała dokumenty w archiwach, obejrzała fotografie... I stworzyła książkę historyczną, a zarazem psychologiczną, która nabiera cech głębokiego eseju filozoficznego.**

wszystko. I pomagać w tym działaniu sąsiadom, tworząc wyspy normalności, dobra, ale nie mieć złudzeń.

Piotr Matywiecki, wygłaszając laudację podczas uroczystości wręczenia nagrody „Nowych Książek”, zwrócił uwagę, że największym złem każdej zagłady jest niemożność znalezienia dla niej wytłumaczenia. „Nawet odwołanie do nazistowskich czy innych ideologii tylko maskuje ten upiorny brak sensu. To jest tak, jakby mordercy jednym ciosem zabili i ludzi, i rozum. Rozum wszystkich pokoleń po tej zagładzie”. I na jeszcze jeden problem, podjęty przez Annę Janko, zwrócił uwagę laudator. Otóż w książce pojawia się motyw „dobrego Niemca” – jeden z takich, podrywając łufę karabinu kolegi, ocalił Renię oraz dwójkę jej młodszego rodzeństwa. Ale „nawet jeśli ktoś trąca karabin po to, żeby dziecko nie zostało zabite, to i tak uczestniczy w zabijaniu dorosłych. Czyli mamy jakieś upiorne dobro, które może istnieć tylko na tle absolutnego zła? Czy to jest więc dobro? Jakoś jest, ale będąc zarazem złem”. Każda zagłada – spuentował Piotr Matywiecki – prowadzi do takiego pomieszania pojęć.

całości – odpowiedziała Anna Janko. – Mama przeczytała już wydrukowaną książkę dwa razy. Najpierw niezbyt dokładnie, omijając okrutne fragmenty, bo uważała, że dobrze zna to wszystko i nie musi sobie przypominać. Wtedy jej ocena książki była pozytywna. Po jakimś czasie zdobyła się na odwagę i przeczytała „Małą Zagładę” scena po scenie. Zareagowała fizjologicznie. Wrócił płacz. Płacz, który trwał trzy dni. Płacz pierwotny, ze strasznych jakichś głębi, jej samej nieznanym, niezdefiniowanym. Wtedy miała do mnie żal, że roznieciłam znowu wszystko swoją książką. Cóż mogłam zrobić? Mówiłam: tak miało być, mamo. O to mi chodziło, żebyś mogła jeszcze raz to przeżyć i raz na zawsze zapomnieć. I jak to mamie wytłumaczyłam – a moja mama to teraz bardzo starsza osoba i wierzy mi, jestem teraz matką swojej matki – przyjęła to i zgodziła się. Jeśli więc teraz rozmawiamy o tej książce to wyłącznie w kontekście jej odbioru przez czytelników, nie wracamy do szczegółów.

– Ale choć człowiek ma obowiązek pamiętania, to ma także prawo do zapominania. Czy mamy prawo rozgrzebywania tego, o czym ktoś chce zapo-

**Małgorzata Kąkiel** – krytyczka literacka, pracuje w miesięczniku „Nowe Książki”, współpracuje z tygodnikiem „Przegląd”, redaktorka książek.

Gdyby żył,  
21 marca  
2016 roku  
obchodziłby  
75. urodziny



„Jasna Góra była moim pierwszym plenerem i poligonem ćwiczebnym. Tam powstawały studia pejzażu i architektury. Notatki typów, ubiorów, pielgrzymów z nabożeństw i odpustów. Nie wiedziałem, że to podjasnogórskie praktykowanie, owo nulle dies sine linea, będzie fundamentem, na którym zbuduję w przyszłości swoją malarską DROGĘ”.

# Częstochofskie drogi Jerzego Dudy-Gracza

ELŻBIETA PISARCZYK

... czy nie stałbyś się wrogiem ludu,  
skoro jesteś królem?

**Jerzy Duda-Gracz do wspomnień podchodził bez sentymentu.** Częstochowa w czasach powojennych była miastem prowincjonalnym, a życie skupiało się wokół klasztoru. Jego smutne i zarazem piękne dzieciństwo upływało w domu przy ulicy Śniadeckich 40, gdzie przyszedł na świat 20 marca 1941 roku. W czasach młodości artysty była to cicha uliczka z podmiejskimi domami wśród ogrodów i sadów, skąd blisko było na Jasną Górę. Matka zabierała go często do klasztoru, aby tam wypłakać swoje „gorzkie żale” i wymodlić wolność dla męża i syna.

W 1950 roku władza ludowa odebrała rodzinie skromny dom, wsadzając do więzienia ojca Jurka i starszego brata Marka – wówczas ucznia Liceum Plastycznego. Mały Jerzy pisał listy do ojca, ozdabiając je rysunkami przodowników pracy i symbolami planu sześcioletniego. Podczas rozprawy dowiedział się, że nie zobaczy ojca przez następne trzy lata. W rzeczywistości Adam Duda wyszedł z więzienia dopiero po śmierci Bieruta. Wydarzenia te pobudzały wyobraźnię 9-letniego Jurka i miały wpływ na jego dalsze życie i twórczość. Po latach wyznał: „Podczas jakiegoś szczególnie długiego nabożeństwa [na Jasnej Górze] zastanawiałem się, co by było, gdyby tam wysoko na szczycie stanął Jezus Chrystus i powiedział nam, że jest Synem Bożym? Gdybyś tu się pojawił, Jezu, czy nie stałbyś się wrogiem ludu, skoro jesteś królem? Czy nie przyjdą po Ciebie tajniacy z UB

na Parkowej i nie wsadzą do więzienia na Zawodziu?”

**Wszystko to sprawiło, że po latach uciekał z Częstochowy:** „Uciekałem do innego, lepszego świata, żeby zostać kimś, wolnym od biedy, matczynych tez, ludzkiej nienawiści i pogardy” – wspominał. Jednak bardzo wczesnie zrozumiał, że jego rodzinne miasto jest jego herbem rodowym, artystycznym szlachectwem ze śmierdzącej pomyjami i pachnącej jaśminem i bzem ulicy Śniadeckich. Pojął też, odkrywając w sobie talent artysty, że chce tę rzeczywistość wyrażać obrazami. Nieustannie chodził z kartonem i ołówkiem w rękę, szkicował, malował. – Miał wręcz obłądne przywiązanie do ołówka i kawałka papieru – wspominał po latach jego przyjaciel Roman Lonty – wiecznie coś kreślił, rysował, a zawsze z zapamiętaniem i pełną energią.

Rozpoczynając naukę w Państwowym Liceum Technik Plastycznych w 1955 roku był bardzo dojrzały – już wtedy wiedział, że sztuka jest dla niego najważniejsza i odda wszystko, żeby zostać artystą. – W sprawach sztuki był bezwzględny – mówił Roman Lonty. Wszystko – oprócz rodziny – podporządkowywał sztuce. To była świętość jego życia, narzędzie gry ze światem. Bo on był właśnie Gracz. Jeżeli przyjaciele, a miał ich wielu, przeszkadzali sztuce, to ich odsuwał. Potrafił czasem przyjeżdżać do nas, do Częstochowy, gdzie przez wiele godzin w świetnej komitywie gawędziliśmy o różnych sprawach, ale później, nie było go dla mnie przez całe tygodnie.

Mimo niechęci do rodzinnego miasta, Jerzy Duda z sentymentem wspomina

częstochofskie Liceum. Jego Mistrzem był nauczyciel malarstwa Edward Mesjasz. „Profesor Mesjasz – pisał Duda-Gracz – nauczył mnie najważniejszego: wierności sobie, zawsze i wszędzie. Nauczył mnie raz na zawsze, że jest przede mną tylko jedno zadanie, abym, pamiętając kim jestem, codziennie próbował wyrażać siebie i mój świat”. I tak się stało. Pozostał do końca wierny swoim ideałom.

Po maturze w 1962 roku Jerzy Duda-Gracz wyjechał na studia do Katowic [studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Wydział Grafiki w Katowicach – przyp. red.]. I tam został, aż do ostatnich dni życia.

Na jego negatywnym stosunku do Częstochowy zaważyło przykre dzieciństwo, żal do szkoły (z powodu złych ocen z matematyki powtarzał klasę) oraz fakt, że Częstochowa nie chciała go zaakceptować jako wielkiego artysty.

## Golgota Jasnogórska

**„Trudno jest mówić, kiedy się powraca.** Szansa powrotu do Częstochowy została mi dana, po 53 latach życia i 25 latach pracy artystycznej, poprzez sztukę. Do tej samej Częstochowy, którą w 1962 roku opuściłem, odfruwając w dorosłe życie” napisał artysta w „Powrotach”.

Bowiem „Golgota Jasnogórska Trzeciego Tysiąclecia” była swego rodzaju powrotem malarza do rodzinnego miasta. Więcej – była spełnieniem jego marzenia z dzieciństwa, gdy jako dziecko przychodził z matką na Jasną Górę. Marzenie to dojrzało w nim przez lata młodzieńcze, a później dorosłe życie, by na przełomie tysiącleci stać się faktem.

Z planów tych zwierzył się znajomym na początku lat osiemdziesiątych, podczas plenerów jasnogórskich. Musiało jednak upłynąć jeszcze sporo czasu, aby to dzieło życia artysty nabrało realnych kształtów.

**Wyróżnia się spośród wszystkich polskich Dróg Krzyżowych.** Jak zauważa o. Jan Golonka, kustosz muzealnych zbiorów jasnogórskich i przyjaciel Dudy, artysta posłużył się współczesnymi wątkami. W obręb swoich kompozycji, w przestrzeń wypełnioną bohaterami Ewangelii wprowadził osoby współczesne, postacie zarówno powszechnie znane, jak i ludzi reprezentujących różne stany, profesje, charaktery. Pośród nich znajduje się i on sam – artysta. Zarówno malarz, jak i jemu współcześni Polacy towarzyszący Chrystusowi na poszczególnych stacjach/obrazach traktowani są z pełną surowością, choć przecież oglądani okiem pełnym miłości, towarzyszą Chrystusowi w Jego Męce. Jerzy Duda-Gracz nie traktuje bowiem Męki jako wydarzenia historycznego, przeszłego, zamkniętego, już nieaktualnego. Męka Jezusa Chrystusa rozgrywa się tu i teraz, w każdym z nas, a jej świadkami, jeśli nie współsprawcami, jesteśmy my wszyscy: pielgrzymi przybywający na Jasną Górę, paulini-opiekunowie tego miejsca, i również artysta, ofiarodawca tego daru. Golgota Jasnogórska jest niezwykła także pod innym względem. Jest nasza, polska,



Jerzy Duda-Gracz i Zdzisław Sowiński.

bo jak sam o sobie mawiał Jerzy Duda-Gracz: był „chory na Polskę”.

O Jerzy Golonka tak mówił o Drodze Krzyżowej: „Nigdzie natomiast nie widzimy ucieleśnionej Maryi, ale ikonę Czarnej Madonny. Golgota Jasnogórska to dar serca artysty, od dziecka związanego z Częstochową (tu przecież urodzonego), od dawna, bo od czasów plenerów jasnogórskich w latach 1982, 1983 i 1987, obecnego na Jasnej Górze poprzez swoje obrazy. Trudno o lepszy przykład dzieła sztuki, które „budzi” innych, które nie pozwala nam zasnąć w błogim samozadowoleniu, które bez przerwy będzie nam stawać przed oczami i zmuszać nas do rachunku sumienia. Miejmy nadzieję, że tak będzie, wszak Polacy bardzo kochają nabożeństwo Drogi Krzyżowej.”

## Jerzy Duda-Gracz we wspomnieniach

### ZDZISŁAW SOWIŃSKI

#### – przyjaciel

Jurka osobiście poznałem na początku lat 80., gdy wprowadzono stan wojenny. Ojciec Jan Golonka, kurator jasnogórskich zbiorów wotywnych, z ramienia Jasnej Góry zorganizował plenery malarckie, ponieważ wielu artystów w tym czasie zniewolenia odwróciło się od publicznego uczestnictwa w życiu artystycznym.

Z Jurkiem od razu przypadliśmy sobie „do gustu”, a później zaprzyjaźniliśmy się. On był człowiekiem kameralnym, samotnikiem. Kiedy malował, nikt nie miał do niego dostępu. Dla mnie jednak zrobił wyjątek. Wówczas mieszkałem w Łodzi i miałem możliwość dostarczania mu trudno dostępnych farb. Wtedy też zwierzył się z chęci namalowania Golgoty Jasnogórskiej. Paulini pomysł zaakceptowali, zamówili ramy, pomysł zaczął żyć.

Ale w pewnym momencie Jurek zerwał wszystkie kontakty. Trwało to 11 lat. Na-

sza przyjaźń legła w gruzach. Przypadkowe spotkanie zmieniło wszystko. Był rok 1994 – otwarcie Galerii Lonty-Petry i Autorskiej Galerii Jerzego Dudy-Gracza. Spotkaliśmy się na konferencji prasowej. Okazało się że marzenie namalowania Golgoty w nim nie umarło. Poprosił mnie, abym pomógł mu powrócić na Jasną Górę. Ojciec Golonka swoją decyzję uwarunkował zgodą przeora. W 1999 r. Jurek rozpoczął pracę nad Golgotą. Od 2001 r. pełni ona podwójną rolę: kultu oraz jako wystawa. Przeszły tamtędy już miliony ludzi. Znajduje się w górnej przybudówce Kaplicy Cudownego Obrazu. Fantastycznie się wpisuje w ciąg obrazów i zabytków Jasnej Góry. Miejsce zaprojektował architekt Roman Lonty.

Pracując nad Golgotą Jurek miał świadomość, że obrazy muszą mieć duży format. Pokonał samego siebie, gdyż lepiej czuł się w malowaniu mniejszych form.

Jurek Duda-Gracz był bardzo kreatywnym, świetnym gawędziarzem, ale samotnikiem. Nigdy nie chciał uczestniczyć w dużych, gromadnych projektach. Nawet w czasie stanu wojennego wystawiał i publikował, co wielu miało mu za złe. Zaistniał na polu twórczym, ale nie został zaakceptowany w środowisku krytyków. To go bolało.

Był bardzo złożoną osobowością. Miał swój język, czuł farbę, czuł materię. Malował głównie na podłożu sztywnym (płyce pilśniowej); wtedy miał możność zapanowania nad kompozycją. Każdą swoją pracę bardzo przeżywał – utożsamiał się z obrazem, który malował. Lubił malować laserunkowo. Jego kolorystyka jest jedyna i niepowtarzalna – wytworzył własny styl i to jest jego wielki sukces. To go wyróżnia.

Znakomity malarz, który nie znalazł zrozumienia u krytyków sztuki. I ten cały świat akceptacji nigdy w nim nie zaistniał. Po śmierci niewiele się zmieniło. Jurek tego świata do końca nigdy nie zaakceptował.

### SABINA LONTY

#### – przyjaciółka, współtwórczyni Galerii Lonty-Petry, malarka

Jerzego Dudy-Gracza z moim mężem łączyła przyjaźń od najmłodszych lat. Razem chodzili do Państwowego Liceum Technik Plastycznych. Po maturze w 1962 r. ich drogi na pewien czas się rozeszły, każdy wybrał inną uczelnię: mój przyszły mąż Roman Lonty – Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku, Jerzy – Wydział Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Dopiero przypadkowe spotkanie po latach na wystawie Jerzego w latach 70. pozwoliło wznowić kontakty, trwające do końca. Zaowocowało ono stworzeniem odrębnej, stałej części ekspozycji Jerzego w naszej tworzącej się galerii. Początkowo miała to być galeria tylko moich obrazów. Apogeum działalności Galerii Lonty-Petry oraz Autorskiej Galerii Jerzego Dudy-Gracza przy ulicy św. Rocha 206 w Częstochowie, przypadło na lata 1994-2004.

Jurek był bardzo uzdolnionym i kreatywnym malarzem. Miał niesamowitą, wprost fotograficzną pamięć, która pozwala-

ła mu na odtwarzanie różnych szczegółów, detali i podobieństw osób lub rzeczy, które zobaczył tylko raz. Przy całej wielkości talentu potrafił być krytyczny nie tylko wobec innych, ale również wobec siebie.

Był niezwykle towarzyski i pracowity. Uważał, że w ciągu roku może sobie pozwolić tylko na sześć tygodni wolnych od pracy, że tylko w ten sposób można coś osiągnąć.

Rok 2004 był rokiem jubileuszu naszej galerii. To był wielki dzień dla nas wszystkich. Jerzy przygotował dużo świetnych obrazów. Przybyło również wielu znakomych gości z Polski i z zagranicy. Wśród nich Adam Hanuszkiewicz. Było to spotkanie dwóch wielkich indywidualności polskiej kultury. Dla Jerzego było tym cenniejsze, że spotkał artystę po raz pierwszy.

Niestety, były to ostatnie dni życia naszego przyjaciela. Zmarł nagle 5 listopada 2004 roku w Łagowie, gdzie przebywał na plenerze malarskim. Jurek mieszkał tam w wynajętej prywatnie kwaterze. W piątek poszedł do siebie na poobiednią drzemkę, jak miał to w zwyczaju. Długo się nie pokazywał. Gospodarz, zaniepokojony, zajrzał. Ale wtedy na wszystko było już za późno. Jego śmierć zaskoczyła wszystkich, mimo iż już przed miesiącem, gdy był w Częstochowie na otwarciu swojej nowej wystawy w Galerii Lonty-Petry, narzekał na zdrowie. Ale kiedy odwiedziliśmy go przed dniem Wszystkich Świętych, był pełen zapału. Planował uporządkowanie swojej bogatej dokumentacji, na razie złożonej na strychu.

Dzwonili do nas wszyscy, m.in. Adam Hanuszkiewicz i Emilia Krakowska. Nie wierzyli doniesieniom mediów o śmierci, chcieli się upewnić.

### JERZY KĘDZIORA

#### – artysta rzeźbiarz, kolega

Z Jurkiem mieliśmy relacje koleżeńskie. Szkolno-koleżeńskie początkowo, później artystyczno-zawodowe, ale raczej epizodyczne, nawet jeśli te epizody były nieco rozbudowane. Spotykaliśmy się okazjonalnie. Nie była to znajomość głęboka, ale miła i przyjacielska.

Jurka poznałem, gdy dostałem się do Liceum Technik Plastycznych w 1962 roku. Ja zaczynałem tam naukę plastyki, Jurek ją kończył. Jako nuworysz podglądałem, śledziłem poczynania starszego, wyróżniającego się również pozaszkolnymi działaniami kolegi. Klasa maturalna, w której uczył się Jurek, była specyficzna, szczególnie. Wielu uczniów z niej dostało się na studia plastyczne – co w tamtym czasie było sprawą niesamowitą. Kilkoro z nich zrobiło artystyczną karierę wykraczającą poza granice naszego kraju. Szkoła mieściła się w starym, zabytkowym budynku, tzw. Domu Frankego. Ich malutka klasa znajdowała się z tyłu za naszą – olbrzymią.

Drugie spotkanie dotyczyło udziału w tworzeniu teatru kukielkowego. Byłem w trzeciej lub czwartej klasie, gdy student Jurek Duda (nie pamiętam czy już Gracz), przyjechał do szkoły z propozycją stworzenia teatru kukielkowego. Szła za nim



fama człowieka kabaretu i innych artystycznych działań. Pod kierownictwem Jurka powstała grupa teatralna, która wystawiła, niestety, tylko jedno przedstawienie. Jurek był w pełni i całością jego twórcą, począwszy od pomysłu, scenariusza czy utworu scenicznego, reżyserii, scenografii i całej infrastruktury scenicznej, muzyki (częściowo z adaptowanych modnych wówczas hitów, które mocno podniecały młodocianą publiczność). Jego autorstwa były też projekty lalek i system wprowadzania ich w ruch, co najbardziej utkwilo mi w pamięci. Może ze względu na moje fascynacje kinetyczną plastyką przestrzenną. Wprzęgał nas w tajniki przedsięwzięcia. Mnie ustanowił głównym specem technicznym i organizacyjnym.

Kolejny większy epizod to wspólny udział w plenerze jasnogórskim, z okazji 600-lecia obecności obrazu Czarnej Madonny w klasztorze, lub w związku z pielgrzymką Jana Pawła II w Polsce a na Jasnej Górze w szczególności, a może w obu. Jurek wtedy przybrał niemal mniszą postawę. Zajął małą celę klasztorną w pewnym odosobnieniu od nieco bardziej „rozrywkowej” części plenerowego towarzystwa. Jednym z wyróżnikowych działań Jurka było sprowokowanie i stworzenie obrazu – tableau uczestników, do którego każdy z artystów, na małej owalnej deseczce, malował własny portret. Jurek ponaklejał wszystkich, a może nawet powywieszał – u niego to możliwe – na drzewie. Drzewo, u którego korzeni leżał kurator zbiorów jasnogórskich i inicjator plenerowych przedsięwzięć, ojciec Jan Golonka. Wpadłem wtedy kilkakrotnie do jego malarni i mocno mnie zdziwiło, jak oszczędnymi środkami, pragmatycznie tworzy kolejny obrazek. Wśród rozmów o rzeczach mało istotnych, przypadkowych, bieżących Jurek wspominał o planach stworzenia Drogi Krzyżowej w Jasnogórskim kompleksie. Poruszaliśmy również budowę Stacji Tajemnic Różańcowych na błoniach za klasztorem. Jurek swój plan zrealizował, ja – nie.

Później z Jurkiem spotykaliśmy się raz czy drugi w związku z wydarzeniami plenerowo-wystawienniczymi na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej lub przy okazji jego bytności w galerii swojego imienia u Lontych przy ulicy Rocha. Ale nie były to spotkania warte odnotowania. Jurek miał grono adoratorów i rozmówców a mnie nie bardzo chciało się przez nie przeciskać ani w wnikać. Raczej milczeliśmy porozumiewawczo, od czasu do czasu półgębkiem uśmiechając się do siebie. Ostatnie z Nim spotkanie miałem w Katowicach, gdy przyszło Go pożegnać i wspomnieć w Katedrze, a także odprowadzić na miejsce Wiecznego Odpoczywania, chociaż nie wiem, czy odpoczywania, czy to było ostatnie spotkanie, bo nie tak rzadko nawiedza mnie przy różnych okazjach. Ale może mi się tylko zdaje, przecież nie aż tak grzebałem w jego poczynaniach.

#### **KRYSTYNA MIŚKIEWICZ**

**– koleżanka, od wielu lat pracująca w Liceum Sztuk Plastycznych**

Był świetnym artystą malarzem, ale i kabareciarzem. Pisał teksty, rysował, malował, prowadził wspólny kabaret.

#### **ANNA MACIEJOWSKA**

**– przyjaciółka, dyrektor Liceum Plastycznego im. Jacka Malczewskiego, którego uczniem, w latach 1957-62, był Jerzy Duda-Gracz**

Powiem o kilku epizodach z życia Jerzego Dudy-Gracza. Pierwszy z lat 80. Razem z ojcem Janem Golonką zorganizowaliśmy plenery jasnogórskie. Chodziło o to, by uczestniczyli w nich artyści pochodzący z Częstochowy. Wydawało nam się, że na pierwszym miejscu powinien być Jerzy Duda-Gracz, który po maturze zerwał z rodzinnym miastem. Początkowo nie chciał, ale w końcu dał się uwieść atmosferze klasztornej. Miał to być jego powrót na łono środowiska częstochowskiego.

Drugi epizod łączy się z galerią Lontych i Autorską Galerią Jerzego Dudy-Gracza. Miałam szczęście pracować z Romanem i Sabiną Lontych.

Kolejna sprawa – chcieliśmy go przywołać do środowiska naszej szkoły. To się nie udawało, ale w końcu, w roku 1997, przy wsparciu Sabiny i Romana Lontych udało się. Zaprosiłam go na spotkanie z uczniami na 50-lecie naszej szkoły. Przyjął zaproszenie, ale nie mógł przyjechać...

Kolejny ważny epizod z perspektywy szkoły – 60. urodziny artysty i benefis w katowickim muzeum. Zawieźliśmy w prezencie wielki kufer, w którym było 60 obrazów naszych ówczesnych uczniów, na 60. urodziny. Tym urodzinom obchodzonym z wielkim rozmachem towarzyszyła imponująca wystawa; dwudniowy bankiet dla licznych zaproszonych gości z Polski, jak i z zagranicy. Nie tylko malarzy, ale też poetów (np. Ernest Bryll), polityków – Aleksander Kwaśniewski z żoną.

Jerzy Duda-Gracz to był także myśliciel, erudyta. Miałam szczęście prowadzić z nim wiele rozmów, niektóre tylko telefonicznie. Żałuję, że ich nie zapisałam.

W roku 2011 r. otworzyliśmy kolejną część szkoły dobudowanej ze środków unijnych, gdzie znajduje się szkolna galeria. Wtedy zwróciłam się do żony i córki, aby galerii szkolnej nadać imię Jerzego Dudy-Gracza.

#### **JANUSZ MIELCZAREK**

**– fotograf, literat, dziennikarz z pasji**

Był niekonwencjonalną osobą. Dowiedziałem się o nim z gazetki szkolnej w LO im. Traugutta – zobaczyłem jego rysunki. Ponieważ byłem kabareciarzem, współpracowałem m.in. ze „Stodołą”, zwróciłem uwagę na zdolnego koleżkę. Był rok 1996, lipiec. Umówiłem się z Dudą na zrobienie portretu. Przyjechałem przygotowany do pracy, przedstawiłem pomysły. Chciałem zrobić z niego polskiego Hamleta, stojącego w miednicy, z chusteczką z rogami na głowie i trzymającego w ręku główkę kapusty. Dudzie pomysł się nie spodobał: „Jestem poważnym człowiekiem, profesorem” – powiedział. Ale po latach wracał do tego z żalem, że się nie zgodził. Miałem też pomysł na „Tryptyk”.



*Lata szkolne 1957-62, Częstochowa: Jerzy Filip Sztuka, Jerzy Duda-Gracz (w środku), Roman Lontych.*

Świetnie się z nim pracowało, był kreatywny. Miał świetną pamięć wzrokową. Potrafił ze szczegółami odtworzyć na płótnie oglądaną rzecz, krajobraz, ulicę.

Trzy miesiące po jego śmierci zrobiłem wystawę jego portretów.

#### **TADEUSZ PIERSIAK**

**– dziennikarz i animator kultury**

Czasem człowiek żałuje, że nie jest starszy. Bo gdybym miał tych naście lat więcej, może znalazłbym się bliżej wielu znakomitych postaci. Jak Jerzy Duda-Gracz – znajomy i przyjaciel moich nieco dojrzałych kolegów.

Podobnie jak np. Zdzisława Beksińska-go poznałem go w domu – galerii Sabiny i Romana Lontych. Obaj malarze owiani byli legendą jako nieznoszący dziennikarzy, a w takim charakterze przyszło mi się z nimi wtedy kontaktować. Oba spotkania były przesympatyczne, choć nad rozmową z Dudą-Graczem ciążyła jeszcze opinia o nim: nie znosi Częstochowy!

Towarzyszyłem wszystkim oficjalnym pojawieniom się w naszym mieście tego wybitnego częstochowianina. Miałem okazję pisać o nim jeszcze kilkakrotnie.

#### **WILMA DUDA-GRACZ**

**– żona**

Poznaliśmy się na studiach, na balu. On kończył, był przed pracą dyplomową, ja zaczynałam. Umawialiśmy się na spotkania. Jeździliśmy razem na wystawy, chodziliśmy do teatru... Najbardziej ujął mnie tym, że namalował mój portret. I tak się zaczęło. Przygotowywaliśmy się do ślubu. Oczywiście rodzice urządzali wesele, ale trzeba było kupić obrączki. Wcześniej



Studium Drogi Krzyżowej. Zdjęcia dotąd niepublikowane.

mąż namalował nasz portret – replikę obrazu Rembrandta „Saskia”. Obraz frywolny, byliśmy młodzi... Sprzedaliśmy. Mąż mówił, że jeszcze namaluje taki, ale już nie namalował. Do tej pory żałuję.

Ślub wzięliśmy w 1969 r. po półtora roku znajomości. Najpierw mieliśmy małą mieszkanicę, potem trochę większe, w końcu wybudowaliśmy dom. Sama zaprojektowałam kominek.

Córka Agata urodziła się pięć lat po ślubie. Był wspaniałym mężem. Świadczy o tym nasze małżeństwo trwające prawie 40 lat. Przez wszystkie problemy przechodziliśmy razem: nasze tragedie życiowe: jak śmierć dziecka, a później rodziców. To nas bardzo połączyło. Normalna kolej rzeczy.

Był człowiekiem niezwykle pracowitym, energicznym. Obecnie ukazują się dużo falsyfikatów jego prac. Walczę z tym, przez co narobiłam sobie dużo wrogów. W domu, poza obrazami, które na ścianach wiszą, znajduje się 800 dzieł męża. Wszystko jest skatalogowane, uporządkowane, jeszcze przez niego samego. Prowadzę rozmowy z Muzeum Katowic, aby je tam ulokować. Do każdego dzieła Chopina mąż namalował obraz. Razem z tymi, które zaginęły, jest 313. Mąż był bardzo dokładny – dusza buchaltera – wszystko katalogo-

gował. Dlatego wiem, gdzie dany obraz się znajduje.

Najbardziej lubił malować na plenerach. W domu było za dużo ludzi, telefonów, nie dało się pracować. Brzegi koło Bukowiny Tatrzańskiej stały się jednym z najbardziej ulubionych miejsc całej rodziny. Wyjeżdżaliśmy tam, np. w czasie ferii zimowych córki. Dużo pisał. Miał dobre pióro. Zmarł za wcześnie – stres; wszystko bardzo przeżywał, był niezmiernie wrażliwy.

Na Jasnej Górze, oprócz Golgoty Jasnogórskiej, znajdują się inne dzieła męża, namalowane podczas pleneru. Obok prac odnoszących się do dramatycznych wydarzeń stanu wojennego, splecionego z Jubileuszem 600-lecia Cudownego Obrazu, malował również portrety. Między innymi: Jana Pawła I, Jana Pawła II („Motyw Polski – Cały Jej”, nawiązujący do zamachu na papieża), ojca Jana Golonki – patrona pleneru, brata Dominika Łuszczka i autoportret „Ora et Colabora”.

Zmarł 5 listopada 2004 roku. Cios był tym większy, że do tej pory byliśmy cały czas razem. Ja wtedy przeżyłam szok. Nie mogłam sobie darować, że mu pozwoliłam jechać. Więcej – namawiałam go, aby pojechał. Był zmęczony. Na jubileusz u Łontych – tłumy ludzi, wywiady, telewizja.

Z mężem było podobnie jak z Bruno Szulzem. Chciał się odciąć od rodzinnego miasta. Ale od Częstochowy nie można uciec. Ona była w nim.

Przy pracy nad tekstem, autorka korzystała z:

1. Duda Gracj J., *Powroty. Obrazy prowincjonalno-gminne*, Bielsko-Biała 1994.

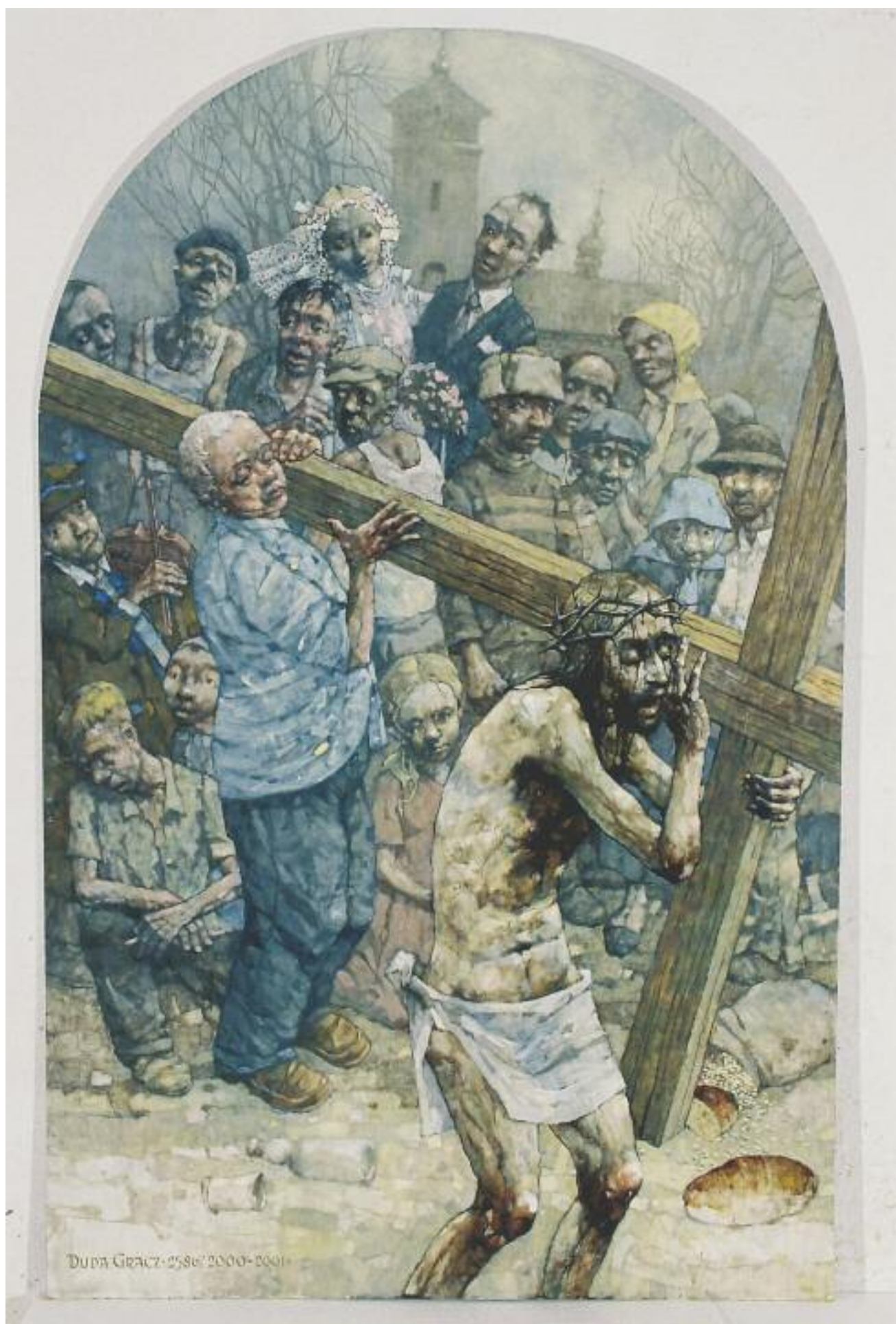
2. Duda Gracj J., *Kalendarium Golgoty Jasnogórskiej*, Jasna Góra-Częstochowa 2001.

3. Golonka J., *Ideowe przesłania plenerów malarskich i okolicznościowych ekspozycji na Jasnej Górze*, w: „Jasna Góra w 20-lecie pontyfikatu Jana Pawła II” Jasna Góra-Częstochowa 1999.

4. Golonka J., „Golgota Jasnogórska” Jerzego Dudy-Gracza, w: *Kalendarium Golgoty Jasnogórskiej*, Jasna Góra-Częstochowa 2001.

5. Jerzy Duda Gracz. *Obecny, czyli nieobecny-usprawiedliwiony*, w: *50 dzieł na 50-lecie PLSP*.

6. Mielczarek J., *Sztuką grał z życiem*, w: „aleje III” 2005.



Jerzy Duda-Gracz, Golgota Jasnogórska, stacja V Przepowiedź o Cyrenejczyku



Tarcza trumienna  
cieszyńskich winiarzy, 1645 r.



Tarcza trumienna cieszyńskich winiarzy  
z herbem Cieszyna, 1645 r.



Broń myśliwska „cieszynka”, Jan Kałuża, 3. ćwierć XVII w., Cieszyn

## MUZEUM ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO



Tarcza cechu piekarzy, Cieszyn, 1672 r.



Skrzynia cechowa ślusarzy  
po zdjęciu przemalowań, 1590 r., Cieszyn



Budynek Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie, widok od Parku Pokoju

# Gabinet osobliwości, cieszynki i ptaszniczki

IRENA PRENGEL-ADAMCZYK

**Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie jest spadkobiercą najstarszego w Europie Środkowej muzeum publicznie działającego nieprzerwanie od 1802 roku. Jego twórcą i założycielem był ksiądz, ex jezuita, historyk, pedagog etc., Leopold Jan Szersznik (1747-1814), który jako nauczyciel, a później prefekt cieszyńskiego gimnazjum założył bibliotekę liczącą około 12 000 woluminów oraz muzeum – załóżek obecnego Muzeum Śląska Cieszyńskiego.**

Szła się ono z kolekcji przyrodniczej, pomocy naukowych w postaci mikroskopów, przyrządów mierniczych, astronomicznych, laboratoryjnych, zabytków archeologicznych, egzotycznych przedmiotów, a także dzieł sztuki. W sumie liczyło około 10 000 muzealiów. Zbiory, które początkowo służyły wyłącznie uczniom gimnazjalnym jako pomoce naukowe, w 1802 roku udostępnił szerokiej publiczności. Ze względu na specyfikę powstających w tym okresie kolekcji, nazywane były gabinetami osobliwości. Po śmierci Szersznika muzeum i biblioteka nadal funkcjonowały, by w 1931 roku oficjalnie znaleźć swoje miejsce w Pałacu Larischów przy obec-

nej ulicy Regeera wraz z innymi zbiorami muzealnymi (Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i Muzeum Miejskiego) powstałymi w międzyczasie na terenie Cieszyna. Przez dziesiątki lat cieszyńskie muzeum rozrastało się, m.in. wzbogaciło się o część słynnej prywatnej kolekcji Bruna Konczakowskiego. Dzisiaj w posiadaniu muzeum w Cieszynie znajduje się prawie 70 000 zabytków z zakresu archeologii, etnografii, fotografii, historii, kartografii, numizmatyki, rękopiśmiennictwa i druków oraz sztuki. Ekspozycja muzealna obejmuje 17 sal, w tym jedna poświęcona jest cieszyńskim cechom rzemieślniczym, które na przestrzeni kilkuset lat przyczyniły się do rozwoju

i prosperity miasta. Kilkaset zabytków związanych z nimi znajduje się dzisiaj w zbiorach muzealnych, a kilku z nich, może najciekawszym, poświęcony jest poniższy tekst.

**Cechy, to stowarzyszenia rzemieślników zrzeszające przedstawicieli tych samych lub podobnych zawodów.** Ich zadaniem było reprezentowanie, a także obrona interesów rzemieślników wobec władzy i konkurencji. Na czele cechów stali mistrzowie wybierani przez członków cechu i zatwierdzani przez władze. Ilość i różnorodność cechów uwarunkowana była wielkością miasta, im większe, tym więcej różnorodnych zrzeszeń rzemieślniczych.

Cieszyńscy mieszczenie oprócz rzemiosła, trudnili się też handlem. Do najstarszych cechów należały cechy spożywcze, a więc masarski, czyli rzeźniczy i piekarski, do których dołączył później również piernikarski, dalej kowalski i szewski oraz cechy tekstylne – sukieniczny, postrzygaczy sukna, tkacki, krawiecki, mało znany cech pasamoniczy, którego członkowie wykonywali ozdobne taśmy i sznury z frędzlami, cechy zajmujące się obróbką skór itp. Najstarsze znane pisemne wzmianki o działalności cieszyńskich cechów pochodzą z początku XV wieku z okresu panowania cieszyńskiego księcia Bolesława I. Wraz z rozwojem miasta i stopniowym wzrostem zaludnienia powstawały nowe zrzeszenia rzemieślników, m.in. stolarzy, zegarmistrzów, złotników, rusznikarzy, kamieniarzy, drukarzy, malarzy, murarzy itd.

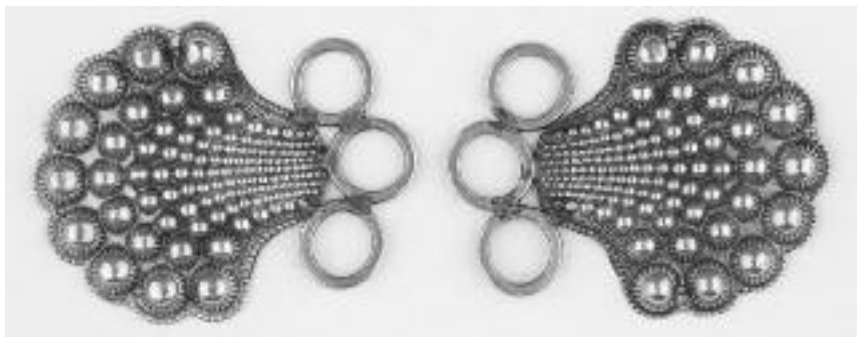
Z jednym z najstarszych cechów, a mianowicie piekarzy związany jest ciekawy zabytek znajdujący się w zbiorach muzeum. W sierpniu 1965 roku w czasie remontu kamienicy przy ulicy Głębokiej nr 1 (wtedy Armii Czerwonej) znaleziono zamurowaną, osadzoną w ścianie pierwotnego budynku tarczę cechu piekarzy z 1672 r. Tarcza wykonana z drewna, polichromowana, z bogato rzeźbionym obramieniem w formie ornamentu małżowinowo-chrząstkowego przedstawia prelece zwieńczone koroną. Cudem przetrwała wiele dziesięcioleci ukryta przed wrokiem przechodniów w samym centrum miasta, tuż obok budynku Ratusza. Wiemy, że w tym miejscu znajdował się pierwotnie kram piekarzy, tzw. ława chlebowa. Piekarzom nie wolno było sprzedawać chleba bezpośrednio w piekarni, lecz zajęciem tym zajmowali się kramarze lub kramarki, którzy z kolei nie mogli piec chleba. Tarcza najpewniej była szyldem wiszącym nad wejściem do kramu mówiącym o jego asortymencie. Wtedy, dla sporej ilości niepiśmiennych i nieposiadających umiejętności czytania, wywieszki czy szyldy z obrazkiem były jedyną formą informacji. Do wspólnego cechu z piekarzami często dołączali piernikarze. Wyroby cieszyńskich piernikarzy niewiele różniły się od tych, które znamy z Torunia. Co prawda pierniki nie zachowały się do dzisiaj, ale w zbiorach muzeum znajduje się ponad 50 drewnianych form piernikarskich z przeróżnymi reliefowymi przedstawieniami, m.in. jeźdźca na koniu, św. Mikołaja, diabła, niemowlaka w powijakach, serca, kwiatów itd., z których odciskano

ciasto piernikowe. Odpowiednio wyrobione i „leżakowane” (przechowywane nawet kilka miesięcy) ciasto po upieczeniu zachowywało nie tylko kształt, ale też drobne szczegóły wytlócone przez formę. Tak więc pierniki były nie tylko przysmakiem, ale często były też ozdobą mieszkania. W Cieszynie tradycja pieczenia pierników wytłaczanych w drewnianych formach przetrwała do początku XX wieku.

**Z najstarszej kolekcji ks. Szersznika pochodzą niezwykle ciekawe i rzadkie zabytki** związane z uroczystościami pogrzebowymi w cechach rzemieślniczych, a mianowicie tarcze trumienne, których używano podczas uroczystości funeralnych członka cechu. Zwyczaj dekorowania trumien tarczami był dość popularny w Europie Środkowej, a zwłaszcza w krajach niemieckojęzycznych. Tradycja kulturowa była mniej więcej od XVI wieku, a przetrwała niekiedy nawet do XX wieku. Nawiązywała do szlacheckiego zwyczaju zawieszania na trumnach tarcz herbowych. Na niektórych widniały tylko inicjały, na innych pełne imiona i nazwiska. Dość często towarzyszyła im data ich powstania. Rzadziej pojawiały się dłuższe teksty, np. cytaty z biblii, sentencje lub napisy dotyczące powstania tarcz, jak ma to miejsce w przypadku cieszyńskich zabytków. Materiał zastosowany do ich wyrobu był różny, przeważała jednak tkanina jedwabna, aksamit, skóra, metal, rzadziej drewno. Tarcze zdobiono haftem, aplikacjami, malaturą, natomiast metalowe repusowaniem, rytowaniem i złoceniem. Ich fundatorami mogli być mistrzowie cechu, bractwa czeladnicze, a także indywidualni członkowie cechu, którzy w ten sposób chcieli się uwiecznić. Największą kolekcję cechowych tarcz trumiennych posiada Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Cieszyńskie tarcze należały do tutejszego cechu winiarzy. Jego członkowie w ten sposób określali siebie, chociaż w rzeczywistości chodziło raczej o grupę akcjonariuszy, którzy nabyli od miasta prawo do obrotu winem. Historia sprowadzania z Moraw, Austrii i Węgier, a później również z południa Europy wina i jego wyszynku przez mieszczańskie cieszyńskie, podobnie jak warzenia i sprzedaży piwa, sięga XV wieku. Nie do końca sprecyzowane przepisy lub różna ich interpretacja przez zainteresowanych powodowała ciągłe konflikty zarówno pomiędzy miastem i księżętami,

jak również między miastem, szlachtą i mieszczańcami. W efekcie w 1583 roku miasto zdecydowało się na odstąpienie prawa obrotu winem na rzecz nabywców tzw. listów winnych, które uprawniały do obrotu winem. Prawo wyszynku wina przysługiwało więc tylko akcjonariuszom, którymi mogli stać się wyłącznie tzw. wielkomieszczanie, czyli ci, których domy stały w Cieszynie już w XV wieku, a wyjątek stanowiły domy znajdujące się w części zwanej Nowe Miasto, którą założono w XVI wieku. Cieszyńskie tarcze należą do wyjątkowych pod względem artystycznym i historycznym. Pochodzą z najstarszych zbiorów ks. Szersznika i przetrwały dzięki specjalnej pieczy jaką im poświęcono. Wykonane zostały z tkaniny jedwabnej o splocie atlasowym, co zapewne w okresie ich powstania nie należało do rzadkości, ale ze względu na delikatność materiału, tylko nieliczne zachowały się do czasów dzisiejszych. Mimo starań wielu pokoleń muzealników, również cieszyńskie tarcze trumienne jeszcze nie tak dawno wymagały przeprowadzenia poważnej konserwacji, a liczne rozdarcia tkaniny nie pozwalały na ich prezentację. Dzięki żmudnej konserwacji, w czasie której tkanina wraz z malaturą została przeniesiona na nową materię jedwabną, zostały uratowane przed całkowitym zniszczeniem. Dzisiaj wszyskie cztery tarcze można oglądać na ekspozycji muzeum w specjalnie do tego celu wykonanej komodzie. Na jednej z tarcz namalowano herb Cieszyna, który prawdopodobnie jest najstarszym zachowanym barwnym, malowanym przedstawieniem herbu miasta. Niemalże znaczenie ma również fakt, że chodzi o nakrycia cieszyńskiego bractwa winiarzy, bowiem są to jedyne znane zachowane zabytki związane z nim. Dobry poziom artystyczny malatury oraz użyta tkanina jedwabna, która nie należała do tanich, świadczą może o sporych zasobach finansowych członków bractwa winiarzy, tym bardziej że z tekstu znajdującego się na jednej z tarcz mówiącego o zleceniu wykonania owych nakryć trumiennych na „chwałę Bogu Wszemmocnemu” wynika, że poza nimi zamówiono jeszcze całun, który jednak nie dochował się do czasów dzisiejszych. Na tarczach oprócz godła winiarzy, cytatów biblijnych, atrybutów wanitatywnych i wzmiankowanego już herbu Cieszyna, znajdują się też inicjały należące do mistrzów cieszyńskiego cechu winiarzy. Dwie tarcze wykonane zostały w 1645 roku, następne dwie nieco później, około 1659 roku, o czym świadczy trochę inny typ przedstawień. Artysty, autora malatury nie udało się do tej pory ustalić. Nie wymienia go ani napis na żadnej z tarcz, ani zachowane dokumenty dotyczące winiarzy.

**Nierozłącznym wyposażeniem domów lub izb cechowych były skrzynie** nazywane też ładami cechowymi. Służyły do przechowywania najcenniejszych przedmiotów związanych z danym cechem, a więc statutów, przy-



Zapinki, tzw. hoczki do stroju cieszyńskiego



Forma piernikarska, Cieszyn, ok. połowy XIX w.

wilejów, listów, pieczęci, pieniędzy itd. Pieczę nad nimi sprawowali mistrzowie. Najczęściej wykonywano je z drewna, chociaż zdarzały się również metalowe. Ściany skrzynek mogły być proste lub też zdobione płycinami, dekoracyjną snycerką, intarsją, inkrustacją lub malaturą. Na ogół pojawiały się na nich godła cechu, czasem nazwiska mistrzów, a niekiedy postacie świętych, jak ma to miejsce w przypadku jednej z kilkunastu skrzynek cechowych znajdujących się w cieszyńskim muzeum. Używano ich przez lata i stąd od czasu do czasu wymagały napraw, aktualizacji napisów i przeróbek. Również cieszyńska lada cechowa służyła, o której będzie mowa, w czasie stuleci poddawana była różnym zabiegom renowacyjnym i przemalowaniom, o czym świadczyły zapisy na wewnętrznej stronie wieka. Dopiero kilka lat temu w czasie konserwacji odkryto najstarszy tekst znajdujący się pod nimi. Drewnianą skrzynkę o wymiarach 30 x 60 x 38 cm od strony zewnętrznej zdobią malowane przedstawienia Chrystusa Bolesnego i Matki Bożej Bolesnej, na ściankach bocznych św. Jana Nepomucena i św. Józefa z Dzieciątkiem. Dla badaczy najciekawiej przedstawia się wewnętrzna strona wieka, której treść w ciągu stuleci aktualizowano nanosząc informacje o nowych mistrzach cechu. Kiedy w czasie konserwacji odkryto, że pod tekstem znajduje się starszy napis, postanowiono go przywrócić. Przed usunięciem przemalowania wykonano dokładną dokumentację fotograficzną. Odslonięty tekst odkrył nam datę sporządzenia skrzynki oraz nazwiska ślusarzy Jonasa Wanka i Melchara Stawinogi (oryginalne brzmienie imion i nazwisk), którzy byli pierwszymi mistrzami tego cechu. Skrzynka została wykonana w 1590 roku i z tego też roku zachowały się archiwalia mówiące o powstaniu cechu cieszyńskich ślusarzy.

Poza pamiątkami opisanymi wyżej w cieszyńskim muzeum zachowały się też

inne zabytki związane z działalnością cechów. Są to m.in. cynowe naczynia ceremonialne tzw. wilkomy, które fundowali członkowie cechu, a służyły do wnoszenia uroczystych toastów w czasie przyjmowania pełnoprawnego członka cechu. Na brzusku naczynia zawieszano tzw. szylidy lub wota, które były na ogół darowizną osoby chcącej się upamiętnić. Mniej zamożne lub mniej liczebne cechy zadowalały się dzbanami lub kuflami, na których również umieszczano godła cechu i nazwiska jego członków. W cieszyńskich zbiorach znajdują się też lichtarze i talerze z nazwiskami członków cechu, obesłania cechowe pełniące funkcję oficjalnego glettu dla wysłannika zawiadamiającego rzemieślników o terminie spotkania członków cechu, pieczęcie i tłoki pieczętne.

Pisząc o cieszyńskich zabytkach cechowych nie sposób wspomnieć o najbardziej znanych wyrobach pochodzących z tutejszych warsztatów rzemieślniczych, a mianowicie „cieszyńkach” i srebrnej biżuterii do stroju cieszyńskiego i jackowskiego. Rusznikarstwo cieszyńskie przeżywało swój złoty wiek w XVII stuleciu, a jego koniec nastąpił w XIX wieku, natomiast największy rozwój złotnictwa przypadł na drugą połowę XIX i na początek XX wieku.

**Już pod koniec XVI wieku Cieszyn stał się prężnym ośrodkiem produkcji broni** wyróżniającej się oryginalną konstrukcją i bogatą dekoracją. Jednak to w XVII wieku miasto wsławiła broń myśliwska zwana „cieszyńką” lub „ptaszniczką”, która jak sama nazwa mówi służyła do polowania na siedzące ptaki. Jej charakterystyczną cechą był specjalny zamek kołowy, tzw. kurlandzki, a atrakcyjna dekoracja wykonana techniką inkrustacji w postaci wici, ornamentów, jak również scen myśliwskich i mitologicznych, zwierząt itp. podnosiła jej wartość i sprawiła, że „cieszyńki” stały się poszukiwanym towarem. Elegancki wygląd i nowatorski mechanizm zapalająco-spustowy powodował, że ich wartość rosła, a zapotrzebowanie na nie sprawiło, iż niejednokrotnie stanowiły formę łapówki. Znane z historii przypadki opowiadają o „prezentach” w postaci „cieszynek” dla oficerów wojsk szwedzkich, żeby w ten sposób zapobiec rabunkowi, gwałtom i podpaleńiom miasta przez najeźdźców. Tak więc „cieszyńki” stały się w pewnym sensie łapówką, a także towarem eksportowym i po dziś dzień stanowią ozdobę znanych i liczących się europejskich kolekcji broni.

Rusznikarze często dzielili swój cech z zegarmistrzami i złotnikami. Tym ostatnim zawdzięczamy wyroby, które zdobiły stroje mieszkańców Śląska Cieszyńskiego i do dzisiaj wytwarzanie tradycyjnej biżuterii ze srebra przekazywane jest z pokolenia na pokolenie. Pierwsze ozdoby do stroju cieszyńskiego jakie znamy z ikonografii pochodzącej z początku XIX wieku były dosyć skromne. Ograniczały się do długiego srebrnego łańcuszka owiniętego wokół pasa i guzików w ubiorze męskim. Z czasem zamożniej-



Jackowie z Jabłonkowa w stroju odświętnym

si chłopi z okolic Cieszyna zaczęli coraz bogaciej przyozdabiać swój strój odświętny i tak pojawiły się pasy, napierśniki, broszki i spinki (tzw. hoczki), początkowo odlewane, sztanconwane, trybowane, a pod koniec XIX wieku wykonywane też techniką filigranu. Przyozdabianie stroju kosztowną biżuterią było domeną nie tylko cieszyńskich, ale również bogatego mieszczaństwa z podgórskiego miasteczka Jabłonków. Zlecali oni złotnikom wykonanie pasów płytkowych, guzów (guziki w formie kulek), łańcuchów i męskich napierśników (tzw. orpantów). Srebrna biżuteria cieszyńska i jabłonkowska wzorowana była na ozdobach szlacheckich, a ornamenty często zapożyczano z renesansowych wzorów. Dzisiaj wszystkie te cacka można oglądać w cieszyńskim muzeum. Moda na posiadanie współczesnej wersji stroju cieszyńskiego oraz zapotrzebowanie na nie wśród zespołów ludowych sprzyja odradzaniu się niektórych rzemiosł, takich jak krawiectwo, hafciarstwo i złotnictwo.

Cieszyńskie muzeum przez ponad dwieście lat swego istnienia zgromadziło zabytki związane nie tylko z terenem Śląska Cieszyńskiego, ale również pochodzące z najodleglejszych krańców świata. Dzięki wielkiej różnorodności zbiorów, ale też wielu osobliwościom i niepowtarzalnej atmosferze ekspozycji, Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie należy do jednej z ciekawszych instytucji tego typu w Polsce.

**Irena Prengel-Adamczyk (1956)** – od urodzenia zamieszkała w Czeskim Cieszynie. Studiowała historię sztuki na UJ w Krakowie. Od 1981 roku zatrudniona w dziale Sztuki Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Autorka artykułów i kilku publikacji z zakresu sztuki, współautorka scenariusza ekspozycji w MŚC oraz autorka ponad 70 wystaw. Tłumaczka z języka czeskiego.

Rozmowa z **MARCINEM ŚWIĄTKIEWICZEM** – klawesynistą, kompozytorem, solistą i kameralistą zespołów muzyki dawnej, wykładowcą Akademii Muzycznej w Katowicach, laureatem „Paszportu Polityki 2015”, rozmawia MAREK LYSZCZYNA

Foto. Greg Klukowski



# Ten współczesny... barok

– Otrzymał pan niedawno Paszport Polityki. Dzięki temu wyróżnieniu zwrócił pan uwagę szerszej publiczności na muzykę dawną.

– Rzeczywiście, właśnie tak traktuję tę nagrodę. Jako wyróżnienie dla całego środowiska. Wprawdzie wcześniej pojawiały się już nominacje dla ludzi związanych z wykonawstwem tego nurtu, na przykład dla Agnieszki Budzińskiej-Bennett, ale rzeczywiście to pierwszy przyznany Paszport. Mam nadzieję, że jest to oznaka tego, że muzyka dawna w Polsce zaczyna wreszcie funkcjonować na równych prawach.

– A jak wygląda w tej chwili kondycja tej muzyki w Polsce? Dodajmy, że ma pan za sobą studia w Hadze, więc może pan spojrzeć z nieco szerszej perspektywy.

– Myślę, że nie jest najgorzej. To jest pytanie, na które często ostatnio próbuję odpowiadać... Z innej strony, mam niestety mały kontakt z muzykami głównego nurtu. Parę razy zdarzyło mi

się zagrać ze Śląską Orkiestrą Kameralną, to było świetne doświadczenie. Na Akademii Muzycznej mam jednak w tej chwili mało pracy, rzadko się tam pojawiaję. Nie odczuwam jakiegś wspólnoty wykładowców tej uczelni. Mam więc niewielki wgląd w to, co się dzieje w kuchni mainstreamu, oczywiście chodzę na koncerty i słucham radia, dzięki temu mogę próbować diagnozować. Zapewne świadomość wykonawstwa historycznego jest mała, mimo iż ciągle wzrasta. Ale to nie jest tylko polski problem choć w naszym kraju, który był odcięty do lat dziewięćdziesiątych od tego trendu, nadrobienie braków zajmuje być może więcej czasu. Trzeba pamiętać, że nurt muzyki dawnej stał się ważnym elementem sceny muzycznej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mam na myśli takie nazwiska jak niedawno zmarły Nicolaus Harnoncourt, czy Gustav Leonhardt, potem Ton Koopman, czy wreszcie sir John Eliot Gar-

diner. My jesteśmy względem tego tematu nieco opóźnieni, ale w podobnej sytuacji, mimo braku żelaznej kurtyny są paradoksalnie także takie kraje jak Włochy, Hiszpania czy Portugalia...

– ... w której często pan występuje.

– Tak, chociaż, niestety, w ostatnim czasie bywam tam rzadziej. Szkoda, bo Lizbona jest niesamowitym miastem, bardzo je lubię. Podobnie zresztą Porto i wiele innych mniejszych miasteczek.

– A jak zaczęła się ta lizbońska przygoda?

– Bardzo prozaicznie – ktoś kiedyś mi podesłał informację o przesłuchaniach do orkiestry... zainwestowałem w bilet lotniczy i udało mi się zdać egzamin [śmiech].

– Wróćmy do muzyki dawnej. Spróbujmy przybliżyć słuchaczowi, który nie miał dotąd z nią kontaktu, imagnarium tego nurtu. Może zaczniemy od instrumentarium?



– Może odwrócić trochę kota ogonem... kiedy mówimy muzyka dawna, w pierwszej kolejności myślimy o instrumentach. I rzeczywiście jest tak, że próbujemy używać instrumentów, które odwzorowują, lub pochodzą z epoki w której, powstawały wykonywane kompozycje. Z drugiej strony, wydaje mi się, że w tym nurcie ważniejsza jest świadomość, podejście do muzyki, rozumienie tego, że zapis nutowy jest bardzo niedoskonały. Szczególnie jeśli wykonujemy repertuar sprzed wielkiej rewolucji francuskiej, nawiązując do książki Harnoncourta, który posługuje się tą cezurą. Kompozytorzy w tym wcześniejszym okresie, można to stwierdzić bez dużej przesady, dawali wykonawcom tylko szkic utworów. To był taki zapis, który można przyrównać do scenariusza, który musi zostać zinterpretowany, ale to polega również na dodawaniu lub ujmowaniu wielu elementów. Takim oczywistym przykładem jest basso continuo, czyli akompaniament realizowany zazwyczaj na instrumentach klawiszowych. To inaczej mówiąc melodyczna linia basowa, która jest wykonywana na przykład przez wiolonczelę czy fagot, i jest podstawą do improwizowanego akompaniamentu. Przypomina to trochę sytuację w muzyce jazzowej, kiedy muzycy improwizują harmonię na podstawie zapisu literowo-cyfrowego. Tak samo w baroku improwizuje się na podstawie linii basowej, która często też jest opisana cyframi, odnoszącymi się do treści harmonicznym. Czyli: jeśli gram na klawesynie w zespole muzyki dawnej, to moja partia nie jest zapisana. W całości ją improwizuję, zgodnie z wytycznymi kompozytora. Oczywiście, żeby to robić, musiałem podjąć studia, poznać styl, sposób zapisu itp. Oczywiście, to niemożliwe, żebym wiedział, czy robię dokładnie to, co chciał kompozytor, ale żyję w przeświadczeniu, że w jakiś sposób się do tego zbliżam...

– ... a zarazem każde wykonanie jest inne..

– Każde jest inne... Improwizacyjność pojawia się również na innych poziomach i właściwie każdy z muzyków wykonujący utwory sprzed XX wieku jest zobowiązany w pewien sposób improwizować, dodawać ozdobniki, kadencje, zmieniać, dynamikę czy artykulację. W tych wcześniejszych partyturach te informacje nie są przedstawione w taki bezpośredni sposób. Często za to są zawarte w samej treści muzycznej. Nie są zaznaczone w postaci łuków i kropek, literek „p” i „f”. Myślę, że dzięki temu ta muzyka jest tak atrakcyjna dla nas – jej wykonania są zawsze świeże, zawsze nowe. W tym sensie muzyka dawna staje się muzyką nową.

– Zmieniał się zatem zapis partytury, ale zmieniły się również instrumenty, choćby pod względem dynamiki.

– Tak, rzeczywiście, jeśli popatrzymy na zmiany jakie zachodziły w instrumentach muzyki zachodu, to można powiedzieć, że ogólną tendencją było budowanie instrumentów coraz głośniejszych. Wiąże się to z tym, że notowana muzyka w XVII i XVIII wieku, powstawała przede wszystkim w służbie Kościoła i Dworu. Kościoły bywają duże, sale balowe również, ale jednak sale na dwa tysiące osób to dopiero wynalazek XIX wieku. A skoro trzeba zagrać dla 2000 osób to trzeba też zmodyfikować instrumenty. Często jest tak, że współczesne instrumenty są głośniejsze, bardziej niezawodne, ale niestety tracą pewną subtelność. Dąży się do wyrównania, ujednolicenia barw. Natomiast wcześniejsze instrumenty, te sprzed XX wieku są budowane w taki sposób, że każdy rejestr brzmi inaczej. Dźwięki chromatyczne brzmią inaczej niż diatoniczne. I ta różnorodność, kolorowość była pożądanym efektem. Eksperymenty z muzyką dawną to także poszukiwanie nowych barw, nowych brzmień, które stały się ofiarą globalnej estetyki modernistycznej orkiestry symfonicznej.

– Spróbujmy zatem trochę uporządkować tę wiedzę. Najstarszym instrumentem klawiszowym w muzyce dawnej byłby zapewne szpinet?

– Raczej klawikord – jako najprostsz instrument, który wywodzi się wprost z monochordu. Jego mechanizm, polega na tym, że na końcu dźwigni klawiszowej jest prostopadła blaszka, taki jakby płaski gwóźdź zwany tangentem. Naciśnięcie jednego końca dźwigni klawisza powoduje uniesienie się przeciwnego, tego z tangentem, który uderza i równocześnie skraca strunę – struna wibruje tak długo jak tangent jej dotyka. To umożliwia tzw. bebung czyli wibrację podobną do tej znanej z instrumentów smyczkowych. Żaden inny akustyczny instrument klawiszowy nie daje tak pełnej kontroli nad dźwiękiem. Nawet współczesny fortepian ze swoim skomplikowanym mechanizmem młoteczkowym, będącym notabene rozwinięciem idei uderzanego mechanizmu klawikordu. Dopiero późniejsze próby, na przełomie XIV i XV wieku dotyczyły instrumentów szarpanych – szpinetów i klawesynów. Ich mechanizm też jest prosty: na dźwigni klawisza zamiast sztywnego tangenta stoi skoczek, taki drewniany słupek, w którym umieszczone jest, znowu prostopadłe piórko. Dźwignia klawisza wypycha umieszczonego w prowadnicach skoczka, a umieszczone w nim piórko szarpie strunę.

– Klawesyn miał wiele trudnych momentów w swojej historii. Rewolucja Francuska była fizycznym pogromem tych instrumentów. Z drugiej strony były momenty, kiedy np. teorba próbowała go wyprzeć, choćby ze względów praktycznych.

– Tak, ze względów praktycznych... mówiliśmy o basso continuo, które jest grane przez instrument akordowy i jest niezbędne w niemal całym XVII i XVIII wiecznym repertuarze. Wprawdzie zdarzają się małe klawesyny czy szpinety, które można przenieść samemu, ale lutnia czy teorba są zdecydowanie bardziej mobilne, a przy tym niezwykle piękne. Trudno powiedzieć, że to poprzedniczki gitary, bo to inna, równoległa rodzina, ale koncepcyjnie są zbliżone – pudło rezonansowe, gryf z progami i struny szarpane palcami. Wprawdzie są cichsze od klawesynu, mają mniejszą skalę, nie można na nich zagrać tylu nut, mają za to bardzo piękne, szczególne, wręcz magiczne brzmienie. Wykres dźwięku lutni przypomina jej kształt – kształt łyży. Lutnia czy teorba mają też dużo większe możliwości dynamiczne niż klawesyn, na którym trudno jest zagrać bardzo cicho. Na lutni nie jest to żaden problem, dlatego ten instrument bardzo dobrze nadaje się do akompaniowania utworów w sytuacjach bardziej kameralnych, intymnych.

– Jeszcze takim trudnym momentem był czas, kiedy w operze zaczęto odchodzić od klawesynów.

– Tak, to jest moment kiedy klawesyn znika... To jest mniej więcej druga połowa XVIII wieku. Ale jest to długi proces. Większość repertuaru czasów Mozarta czy Haydna, powstaje na niesprecyzowany instrument klawiszowy. Czasem kompozytor pisał z myślą o konkretnym instrumencie, ale nawet wtedy wydając swoją muzykę zazwyczaj pragmatycznie zaznaczał, że utwory nadają się do wykonania na jakimkolwiek instrumencie klawiszowym. Warto pamiętać, że osiemnastowieczne fortepiany pod wieloma względami bardziej przypominały historyczne klawesyny niż współczesne Steinwaye. W perspektywie były również klawikordy a nawet organy. Klawesyn był wtedy najgłośniejszym klawiszowym instrumentem strunowym stąd był najczęściej wykorzystywany w operach i podczas koncertów dla większej publiczności. Fortepian i klawikord były wybierane w bardziej kameralnych sytuacjach. Wraz z odejściem od recytatywu secco w operach i pojawianiu się głośniejszych modeli fortepianu klawesyn został zepchnięty na boczny tor. Zmieniała się estetyka, zmieniał się cały świat. Był to okres Oświecenia, Rewolucji Francuskiej, potem romantyzmu. Trzeba jednak pamiętać, że

tak stało się to dopiero w XIX wieku. Do końca XVIII wieku klawesyn ciągle jeszcze funkcjonował. Wiemy na przykład o tym, że Haydn zakupił klawesyn na rok przed śmiercią.

– **Podsumowując, mimo tych trudnych momentów, klawesyn ma się dobrze.**

– Myślę, że tak. Warto przypomnieć inny ciekawy epizod w historii klawesynu. To był początek XX wieku. Wanda Landowska, która zainteresowała się tym instrumentem (będąc jednocześnie świetną pianistką) rozpoczęła we Francji współpracę z firmą Pleyel, która specjalizowała się wówczas w fortepianach. Landowska zaczynała od gry na instrumentach historycznych, które nie były z wielu względów szczególnie praktyczne, więc Pleyel postanowił zbudować nowy instrument. Po kilkunastu latach prób powstała hybryda fortepianu i klawesynu, która miała mało wspólnego z historycznymi instrumentami. Ta koncepcja klawesynu została rozwinięta przez inne działające w XX wieku firmy. Takie klawesyny były zazwyczaj dużo większe, masywniejsze, często wyposażone w zestaw dźwigni pedałowych do płynnych zmian rejestrów podczas gry. Te dwudziestowieczne instrumenty poszły inną drogą i nie nadają się do zastępowania XVIII wiecznego klawesynu. Powstało za to dużo literatury na ten nowy typ instrumentu, z metalową ramą, z większym naciąganiem strun, z inną paletą brzmień. Paradoksalnie jednak te duże dwudziestowieczne maszyny są zazwyczaj dużo cichsze niż ich barokowe odpowiedniki.

– **Natomiast większość wykorzystywanych dzisiaj instrumentów to kopie historycznych oryginałów.**

– W przypadku instrumentów klawiszowych rzeczywiście tak jest. Głównie dlatego, że te, które się zachowały to często instrumenty z dworów królewskich czy magnackich, i są bardzo wartościowe. Jeśli już się na takich instrumentach gra, znajdują się zwykle w muzeach czy jakichś innych dobrze strzeżonych miejscach. Siłą rzeczy dostęp do nich jest ograniczony. Dlatego używamy kopii. Nieco inaczej to wygląda z instrumentami smyczkowymi. Skrzypiec, altówek, wiolonczel zachowało się sporo, i wielu wykonawców gra na oryginalnych instrumentach.

– **Oglądając klawesyny z epoki, znajdujące się na przykład w Cite de la Musique w Paryżu, często rzuca się w oczy jeszcze jeden aspekt – piękne malunki na płytach instrumentów.**

– Tak, rzeczywiście klawesyn to był też rodzaj pięknego mebla, takiego reprezentacyjnego, i rzeczywiście mamy instrumenty bardzo bogato dekorowane.

Często na starych instrumentach są bardzo wysokiej jakości malowidła.

– **Przedstawiające sceny rodzajowe lub nawiązujące do mitologii... Ale kopie instrumentów malowane są bardzo rzadko, właściwie nie spotkałem takiego instrumentu.**

– Tak, z bardzo prozaicznych powodów – szczególnie w kontekście polskich dochodów, zakup klawesynu to jest bardzo trudne przedsięwzięcie i mało kogo na nie stać. Ale nawet w ogólnym kontekście pozycji finansowej artystów w Europie nie jest to łatwe. Niewielu muzyków stać na dodatkowe wydatki związane z dekorowaniem instrumentów, których ceny podstawowe są porównywalne do cen bardzo luksusowych samochodów.

– **Przejdźmy do kolejnego wymiaru pana twórczości: mam na myśli kompozycje.**

– Rzeczywiście studiowałem kompozycje... w Katowicach i w Hadze, i to jest bardzo ważne doświadczenie. To ma wpływ na sposób w jaki patrzę na partyturę i jak interpretuję muzykę. Trudno mówić, że się teraz tym zajmuję, ale mam nadzieję, że będę miał możliwość powrotu do tej działalności.

– **A patrząc takim kompozytorskim okiem, na przykład na partyturę Rameau, nie ma pan takich zakusów „ja bym to napisał inaczej?”**

– [śmiech] Trochę tak jest, z tym basso continuo, że nie gram tego co jest zapisane, a więc w pewnym sensie przekomponowuję „ex tempore”. Czasem to nie tylko dodawanie, ale również re-

dukcja, pomijanie pewnych dźwięków, które są zapisane, a to oznacza, że w jakiś sposób steruję napięciami partytury, pewne elementy podkreślam, rzucam na nie światło, a na inne nie. To w sumie działalność podobna do instrumentowania utworów. A tak już zupełnie poważnie, to niektóre utwory nie zachowały się w całości więc wymagają uzupełnień. Czasem wykonujemy repertuar słabszych kompozytorów, wtedy zdarza się, że trzeba poprawiać oczywiście błędy. Ale grając Rameau można się tylko zachwycić, no i wiele od niego nauczyć...

– **Czy dzisiaj tworzy się utwory na klawesyn?**

– Tak, klawesyn to jest instrument, na który powstało bardzo dużo repertuaru. Jeżeli by policzyć wszystkie lata, w których pisano na klawesyn, to byłoby tego więcej niż na fortepian! Rzeczywiście, od lat siedemdziesiątych, czy nawet wcześniej – od już wspomnianej Wandy Landowskiej – od tego czasu regularnie przybywa klawesynistów. Wydaje mi się też, że w związku z tym wzrasta poziom gry. Kompozytorzy mają więc okazję poznać instrument, wykonawców. To natomiast skutkuje tym, że coraz chętniej sięgają po klawesyn jako medium brzmieniowe. Powstaje dużo kompozycji na klawesyn połączone z elektroniką.

– **Dziękuję bardzo za rozmowę.**

**Marcin Świątkiewicz** – urodził się w 1984 roku w Katowicach. Jest klawesynistą i kompozytorem. Studiował grę na klawesynie i kompozycję w Królewskim Konserwatorium w Hadze oraz w katowickiej Akademii Muzycznej, gdzie w czerwcu 2014 roku obronił doktorat, a obecnie pracuje jako wykładowca. Był finalistą Międzynarodowego Konkursu im. G. Ph. Telemanna w Magdeburgu (w 2007 roku) oraz I Międzynarodowego Konkursu Klawesynowego im. A. Wołkońskiego w Moskwie (w 2010 roku). Jego zainteresowania koncentrują się wokół historycznych instrumentów klawiszowych, improwizacji w dawnej i współczesnej stylistyce. Gra na różnych typach klawesynów i klawikordów, a także na historycznych fortepianach i organach.

Jako solista, kameralista i lider zespołów koncertuje w Europie, obu Amerykach i Azji regularnie współpracując z Rachel Podger i prowadzonym przez nią zespołem Brecon Baroque, Capellą Cracoviensis, Arte dei Suonatori, {OH!} Orkiestrą Historyczną, Bassociation i Scroll Ensemble. Pierwsze solowe nagranie Marcina Świątkiewicza „Musikalisches Vielerley” z niemiecką barokową muzyką klawiszową zostało wydane przez Polskie Radio Katowice w 2008 roku. Kolejnych nagrań solowych i kameralnych dokonał dla m.in. BIS, Channel Classics, Accent, Alpha, Linn Records, DUX oraz rozgłośni radiowych w całej Europie.

W 2015 ukazał się entuzjastycznie przyjęty przez krytykę, nagrodzony m.in. Diapason d’Or, podwójny album z koncertami klawesynowymi J.G. Müthela zarejestrowany wraz z orkiestrą Arte dei Suonatori dla wytwórni BIS. Jesienią swoje premiery miały trzy kolejne nagrania: *Koncert klawesynowy* Schaffratha i *Koncerty skrzypcowe* Schreyfögla z {oh!} Orkiestrą Historyczną (DUX), *Sonaty Różańcowe* Bibera z Rachel Podger, Jonathanem Mensonem i Davidem Millerem (Channel Classics) oraz *Sonaty fletowe* Telemanna z Pamelą Thorby, Peterem Whelanem, Elizabeth Kenny i Alison McGillivray.

W 2016 roku otrzymał Paszport Polityki za wrażliwość i muzyczną erudycję, za błyskotliwe interpretacje i za wszechstronność.

## Mozart dla dzieci

Nie sprawdziły się, co prawda, sensacyjne doniesienia o dobroczynnym wpływie muzyki Mozarta na ludzki umysł (jak się ostatecznie okazało, wyostrenie pamięci pod jej wpływem wygasa po kilku minutach), odczuwalny jest jednak nadal dobroczynny wpływ owych doniesień: Mozart cieszy się niezwykłym respektem wśród rodziców, pragnących wychować pokolenie geniuszy. Tłumnie zatem stawiono się na kolejne popołudnie „Silesii” z serii „Mamo, tato, chodźmy na koncert” zatytułowany „Dziecięce żarty Mozarta”. Wieczorek został zaprojektowany w konwencji nieoczekiwanie bliskiej Mozartowskiej operze: zarówno wybór prezentowanych utworów (fortepianowe wariacje na temat dziecięcej piosenki *Ah, vous dirai-je, Maman*, przekorna miniatura zwana „bułeczką z masłem”, czy nieśmiertelny przebój uczniowski – *Marsz turecki*, a z drugiej strony poważne arie i duety operowe), jak i sposób ich prezentacji (markowanie akcji scenicznej dziejącej się w dwóch czasach, wykorzystanie motywu „przebieranek”) sprzyjał mnożeniu sensów muzycznych i teatralnych, korespondującemu z dzisiejszym podejściem reżyserów operowych do Mozartowskich arcydzieł. Do tego jeszcze nieplanowana parada dzieci przez estradę (bo tylko tą drogą można się wydostać na chwilę z sali radiowej) – tego efektu nie powstydziliby się sam Max Reinhardt! Utwory fortepianowe Mozarta wykonał z wdziękiem Robert Marat, przystrojony w żabot, surdut i perukę. Okazało się po raz kolejny, że te z pozoru naiwne „perełki” wymagają wielkiego kunsztu wykonawczego, bo „każdą nutkę słychać”. Pieśń *Fiolek* oraz znane arie i duety z oper *Don Giovanni*, *Wesele Figara* i *Czarodziejski flet* śpiewali solo lub w parze Anna Ogińska i Szymon Szymik, również odziani w kostiumy. Dziecięca publiczność wykazała się dużym obyciem ze światem teatru; bezbłędnie odpowiadano na pytania o znaczenie poszczególnych elementów widowiska i nazwy narzędzi teatralnych. Nad bogactwem wydarzeń oraz uwagą widowni mistrzowsko czuwała Małgorzata Jeruzal, opowiadając w międzyczasie ciekawą bajkę o życiu Mozarta.

## Video-opera w NOSPR

Prosto z wieczorku Mozartowskiego można się było udać do NOSPR, by ponownie pogрузić się w dziwnym operowym świecie, tym razem za sprawą Orkiestry Muzyki Nowej, która przygotowała pod kierownictwem Szymona Bywalca wykonanie kultowej

## Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

„video-opery” Fausto Romitellego *An Index of Metals* (*Indeks metali*). Utwór ten, będący ostatnim dziełem przedwcześnie zmarłego włoskiego autora, napisany rok przed jego śmiercią (2003) był już prezentowany w Polsce, na „Warszawskiej Jesieni”. Cieszy się uznaniem na całym świecie jako przykład nowoczesnego podejścia do materii muzycznej (poprzez doświadczenie spektralizmu – Romitelli był uczniem Grisey’ a w IRCAM). Zarówno tekst poezji Kenki Lékovich, stanowiący podłoże „oper” (piszę w cudzysłowie, gdyż *Indeks metali* pozbawiony jest głównego elementu dzieła operowego, jakim jest akcja sceniczna, wymagająca udziału wielu aktorów), jak i rozwiązania dźwiękowe oraz skorelowana z nimi projekcja abstrakcyjnych video-obrazów autorstwa Paolo Pachiniego mają w intencji autorów prowadzić odbiorcę do stanów transowych. W omówieniach dzieła mówi się o jego roli jako rytuału inicjacyjnego, z czego wynika, że słuchacz, będący zarazem widzem, winien się pogрузić w strumieniu dźwięków i obrazów, aż do zapomnienia. Z dwójga czynników: dźwięku i obrazu, „inicjacji” sprzyja bardziej muzyka, strona wizualna jest bowiem dość konwencjonalna: widzimy przebiegające w rytmie dyktowanym przez muzykę serie grafik wyobrażających płaszczyzny, punkty i plamy; ich sekwencje są porządkowane wewnętrznie za pomocą symetrycznych przekształceń oraz gry barw. Grafika jest – zgodnie z przesłaniem tekstu – raczej chłodna, muzyka natomiast – wręcz przeciwnie. Z dźwięków wydobywanych z tradycyjnego instrumentarium (w tym dwie gitary oraz harmonijki ustne) oraz z syntezatora ułożył kompozytor barwną mozaikę, z której „wyskakują” konwencjonalne figury muzyki klasycznej oraz formuły rockowe. Z biegiem czasu instrumentalny zgiełk mający być metaforą niszczącego hałasu, o którym mówi wiersz Lékovich, coraz silniej podporząd-

kuje się dyktatowi rockowego rytmu, aż do finałowego „postludium”, którym jest żywiołowa improwizacja gitarowa. Śpiewu jest w operze Romitellego mało: w trakcie godzinnego „misterium” solistka odzywa się tylko kilkakrotnie, prezentując wybrane, kluczowe w sensie znaczeniowym fragmenty tekstu w postaci „recytatywów” i „ariosów”. Oszczędność partii wokalne czyni ją tym bardziej ważką, nie można zatem partii sopranowej powierzyć byle komu. Wiedział o tym doskonale Szymon Bywalec, angażując do swego projektu Agatę Zubel, naszą czołową wykonawczynię awangardowych dzieł wokalnych. Mistrzowsko pokonała ona trudności swej partii (tylko z pozoru „elementarnie prostej”), współpracując z instrumentalistami, z których każdy był w tym utworze solistą-wirtuozem, a zarazem aktorem. Temperament włożony przez muzyków w muzyczną układnię hałasu sprawił, że powstało żywiołowe, naprawdę wciągające widowisko.

## Mozart dla dorosłych

W ostatnią niedzielę karnawału (7 lutego, Sala Koncertowa Akademii Muzycznej) mieliśmy zorganizowany przez Instytucję „Silesia” koncert arii z oper Mozartowskich. Z uwagi na budzący grozę wyraz „gender”, który pojawił się w prelekcji autorstwa Aleksandra Koniecznej nazwę go (dla żartu oczywiście) koncertem dla dorosłych. Usłyszeliśmy kilkanaście arii zestawionych chronologicznie, od oper młodzieńczych (to repertuarowa rzadkość) do późnych arcydzieł. Wystąpiło troje młodych śpiewaków, którzy są absolutami katowickiej uczelni: sopranistka Ewa Tracz, mezzosopranistka Anna Borucka i baryton Jan Żądło. Trudno porównywać ich głosy i interpretacje, bowiem mieli do pokonania nieporównywalne trudności. Ewa Tracz wykonała utwory znakomicie pasujące zarówno do jej głosu, jak i aktorskiego emplot, przez co zyskała swobodę i mogła popisać się dużą muzykalnością. Przed Anną Borucką jako wykonawczynią fragmentów partii Cherubina z *Wesela Figara* stanęło wyzwanie w postaci ustawicznej zmiany rejestrów i konieczności kontrolowania intonacji w związku z tymi zmianami. Młodziutki Jan Żądło miał za zadanie wydać się starszym w arcymęskich fragmentach *Wesela Figara* i *Don Giovanni*, troszeczkę więc nadrabiał manierą tam, gdzie głos jeszcze nie dojrzał. We fragmentach zespołowych, szczególnie tych z *Czarodziejskiego fletu*, zabrakło Mozartowskiej lekkości i finezji. Cóż, wykonywanie muzyki Mozarta jest bardzo trudną sztuką...

# Trójką w kole

MARIA SZUKA



Przez ponad dwieście lat 70 kopalń było matką-żywicielką tysięcy sosnowieckich (i nie tylko) rodzin.



Model bramy wykonany przez ucznia Zakładów Mechanicznych i Miedziano-Kotlarskich Jana Grendy, 1955 r.



Pamiątki po Zakładach Przemysłu Włókienniczego C.G. Schön.



Eksponaty z zakładów włókienniczych.

W sosnowieckim muzeum zagościła wystawa, której nie-  
zwykłość konkuruje z tajemniczością nazwy. Historia  
miasta w pigułce – tak najkrócej można podsumować ekspozycję, która jest niedoścignioną lekcją dziejów grodu znad Przemyszy i Brynicy. Do rzadkości w dzisiejszych, dość siermiężnych dla muzealników (i nie tylko), czasach należą starannie wydane katalogi. Sosnowieckiej prezentacji towarzyszy znakomicie zredagowany „przewodnik”, wzbogacony unikatowymi fotografiami i biogramami obiektów przemysłowych, spółek handlowych, firm rzemieślniczych, browarów, sklepów, wytwórni... tkanki, z której tworzyło się miasto w okresie od końca XIX wieku po wybuch II wojny światowej. Dla młodych to znakomity podręcznik wiedzy o Sosnowcu, dla starszego pokolenia, pamiętającego wiele z funkcjonujących jeszcze przez długie lata po wojnie zakładów, to wzruszająca, by nie powiedzieć sentymalna podróż w lata minione.

„Marka Sosnowiec” okazała się nie lada wyzwaniem, a jednak – o czym można przekonać się zwiedzając wystawę – muzealnicy sprościli zadaniu. Miasto wyrosło na bogactwie zasobów naturalnych, zbudowane na zrealizowanych wizjach XIX-wiecznych przemysłowców i marzeniach tych, którzy właśnie tu postanowili osiąść na stałe ożyło w Pałacu Schöna, niczym w fotoplastykonie z ulicy Warszawskiej.

Gości witają górnicy i miniatura kopalni, pomysłowo zakomponowana bryła, we wnętrzu której, bywa, że na kolanach, niczym w niskich pochylniach, można podglądać czeluści węglowych pokładów, atmosferę fedrunku wzmocniają dźwięki pracujących tam maszyn i wyciągów. Perłą jest głęboki chodnik, wsparty pionowymi stemplami. Pierwszą sosnowiecką kopalnię „Nadzieja – Ludwika” uruchomiono w 1806 r. W maju 2015 r. pożegnalny wózek z urobkiem opuścił ostatnią w mieście kopalnię „Kazimierz – Juliusz”. Przez ponad dwieście lat 70 kopalń było matką-żywicielką tysięcy rodzin. Bezdyskusyjna i zasłużona palma pierwszeństwa.

Kolejne sale obrazują wtórujące górnictwu potęgę: hutnictwo żelaza, przemysł metalurgiczny, włókiennictwo. Mało kto już pamięta, że liny nośne kolejki na Kasprowy Wierch wyprodukowano w fabryce lin i drutu Adolfa Deichsela w Sosnowcu, w latach 1911–1912 największego w Królestwie Polskim przedsiębiorstwa tego typu. Chlubą miasta na początku XX wieku była Fabryka Kotłów Parowych Wilhelma Fitznera i Karola Gampera, zdobywczyni Grand Prix na Wszechświatowej Wystawie w Paryżu, wśród eksponatów można oglądać okazjonalny katalog, ilustrujący to wydarzenie.

Czas, by wyjaśnić tajemniczą nazwę „trójkąt w kole”. Dzięki saksońskim rodzinom Schönow i Dietlów do wybuchu I wojny światowej Sosnowiec był niekwestionowaną potęgą włókienniczą, stał się jednym z najważniejszych ośrodków tego przemysłu na terenie Cesarstwa Rosyjskiego. Znakiem firmowym wełny produkowanej w Zakładach Przemysłu Włókienniczego C.G. Schön był *trójkąt w kole*.

Właściciele marki zmagali się z zagraniczną konkurencją, która bezpardonowo zawojowała ówczesny rynek konsumpcyjny. Ponad 90 procent przybywało z krajów sąsiednich, głównie z Niemiec. Jak pisze Daria Chudoba „ubolewano, że konsument pozwalał *brać się na lep napisów i marek cudzoziemskich*. Aby temu przeciwdziałać reklamodawcy odnosili się do uczuć patriotycznych. Stąd też napomnienia: *Pamiętaj, że kupując cokolwiek wytworzone za granicą, obcego wzbogacasz, a ojczyznę własną okradasz*. Ale konsumenci nie kierowali się wyłącznie sentymentem, a raczej zdrową kalkulacją handlową. Wiedzieli o tym autorzy almanachu reklamującego sosnowieckie przedsiębiorstwo, odwołując się do korzyści osobistych:

Życie to niełatwa sztuka.  
Każdy szczęścia w życiu szuka,  
Chcesz szczęśliwą zdobyć dolę?  
Kupuj wełnę TROJKĄT W KOLE.

Prawdziwym rarytasem wśród muzealnych zbiorów jest matryca pieczęci wzornika kolorów zakładów braci Schönów, marki, która zawojowała rynek skandynawski, nadbałtycki, niemiecki, angielski, rumuński, bułgarski a także chiński i japoński.

Fotografie, dokumenty, makiety obiektów i pojedyncze wyroby obrazują działalność wielu zakładów, m.in. założonej w 1891 r. „Specjalnej Fabryki Rowerów i Reperacji Takowych”, która w późniejszych latach wprowadziła wielokrotnie zmieniała właścicieli, ale przetrwała do 1962 r. jako Zakład Mechaniczny i Wytwórnia Rowerów.

Marką przedwojennego Sosnowca był nie tylko przemysł ciężki, dotrzymywała mu kroku różnorodna wytwórczość. Tutejsze zakłady papiernicze opuszczały miliony gilz do papierosów, tulejki, rolki dla fabryk drutu, szpule dla włóknarzy, zeszyty, segregatory, muchołapki... Papiernia Paula Lamprechta zasłynęła z produkcji tektury, papy dachowej, papieru szrencowego. Świetnie prosperowały także huty szkła, specjalizujące się w wyrobie nie tylko szyb i butelek ale także kryształów, szkła stołowego i taflowego. Pozostały dziś po nich nazwy ulic i nieliczne rodzinne pamiątki.

Ogromną popularnością w okresie międzywojennym cieszyło się piwo hrabiego Renarda. Pierwszy browar na terenie dzisiejszego Sosnowca powstał w 1825 r., pięćdziesiąt lat później hrabia Renard właściciel majątku Modrzejów-Sielce zastąpił go nowoczesnym browarem parowym ze słodownią, który przez ponad siedemdziesiąt lat zaopatrywał w złocisty trunek mieszkańców Sosnowca, Czeladzi, Piekar Śląskich, Tarnowskich Gór, Zawiercia, Myszkowa; od Będzina po Olkusz. Zlikwidowany w 1976 r. odszedł w zapomnienie. Dziś przypominają go w muzeum markowe tablice, beczki na piwo, kolorowe etykiety z napisem „Renard MALZ BIER” i ... puste butelki.

Jedną z sal wypełniają eksponaty ilustrujące różnorodność działalności rzemieślniczej. Od zakładów szewskich, pracowni krawieckich, kuśnierskich czy modniarskich po fotograficzne atelier. A w tej branży szczególnie miał się czym pochwalić Sosnowiec. Pierwsze studia fotografii artystycznej powstały tu już w latach 90. XIX wieku. Do historii wpisali się bracia Altman Stanisław i Bronisław, którzy dzięki swojej czterdziestoletniej pracy utrwaliли na wieczną pamiątkę nie tylko portretowane rodziny, ale także wiele znaczących wydarzeń z życia regionu, miejsca o których już dziś nikt by nie pamiętał, gdyby nie setki ich zdjęć i pocztówek. Fotografowie tacy jak: M. Arbus, K. Bekker, J. Brodecka, A. Bradecki, J. Kopolman, J. Morski, A. Rożek, J. Suchecki, K. Trzcinski, J. Worecki, H. Wollenberg, L. Zalega, J. Zorski i wielu innych zasługują na pamięć i szacunek za ocalenie od zapomnienia potężnego rozdziału historii miasta.

Zwieńczeniem ekspozycji jest prezentacja pomysłów młodych sosnowieckich projektantów. To już wiek XXI. Poprzeczka, którą ustawili na początku ubiegłego wieku bracia Schönowie swoją marką „Trójkąt w kole” jest bardzo wysoka. Warto dotrzymać im kroku, choć wyzwanie do łatwych na pewno nie należy.



Przedwojenny Bazar Centralny w jednym z zaułków ulicy Modrzejowskiej.



Rozwijające się miasto wywołało bujny rozkwit rzemiosła.



Sosnowiec słynął ze znakomitych zakładów fotograficznych, w 1898 r. powstał tu renomowany Zakład Fotografii Artystycznej „Bracia Altman”.



Wystawę zamyka akcent współczesny – prezentacja pomysłów młodych sosnowieckich projektantów.

Działająca ponad 75 lat biblioteka w Wiśle od niedawna pracuje w całkowicie nowych warunkach. Placówka, mieszcząca się niegdyś na 223 metrach kwadratowych, obecnie dysponuje ponad 1000-metrową powierzchnią, nowym wyposażeniem i możliwościami technicznymi. Odnowiona i przebudowana siedziba jest wizytówką i chlubą gminy, przyciąga nowe grupy użytkowników, zarówno mieszkańców, jak i turystów, zwłaszcza że znajduje się w samym centrum miasta w Domu Zdrojowym przy placu Bogumiła Hoffa.

Korzystne zmiany umożliwiły: udział w Wieloletnim Programie Kultura+ Priorytet „Biblioteka+ Infrastruktura bibliotek” (finansowanym ze środków MKiDN poprzez Instytut Książki) i dotacja celowa gminy Wiśla. W 2013 roku biblioteka złożyła wniosek i przygotowała dokumentację budowlaną zadania pn. „Przebudowa pomieszczeń Domu Zdrojowego wraz z budową windy na potrzeby Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jana Śniegonia w Wiśle”. W latach 2014–2015 została zrealizowana inwestycja, w ramach której zmodernizowano dotychczas zajmowane pomieszczenia, zainstalowano windę oraz przebudowano dawne kino „Marzenie” na salę wielofunkcyjną. Na co dzień działają w niej wypożyczalnia i czytelnia dla dorosłych, a ponadto służy jako miejsce spotkań autorskich, konferencji, koncertów, przedstawień teatralnych i projekcji filmowych. Podczas uroczystego otwarcia na bibliotecznej scenie wystąpił Grzegorz Turnau z Jackiem Królikiem, a dzień później zespół wokalny Silesian Singers. Odbyła się również promocja tomiku poetyckiego autorstwa prof. Włodzimierza Szturca pt. *Żywocy*. Młodzieńcze wiersze Profesora napisane gwarą wiślańską wydała biblioteka specjalnie na swoje wielkie otwarcie po remonicznym.

Ograniczona dawniej przez warunki lokalowe działalność rozwija się w szybkim tempie. Oprócz wypożyczalni i czytelnia dla dorosłych biblioteka dysponuje wypożyczalnią dla dzieci i młodzieży wyposażoną w meble dostosowane do wieku użytkowników. W pokoju malucha jest bardzo kolorowo, a dzieci mają dostęp do zabawek, gier, rysowanek i mnóstwa książek. Rodzice znajdują tu regał z literaturą fachową związaną z wychowaniem, a także prasę dla siebie i dzieci. Pokazny jest również wybór audiobooków dla wszystkich grup wiekowych. Korzystać z nich można w domu, ale też w pracowni komputerowej wyposażonej w 20 stanowisk z dostępem do Internetu. Przy użyciu projektorów i ekranów przeprowadzane są tu ciekawe lekcje biblioteczne, wprowadzające nie tylko w świat biblioteki i książek, ale także w tematykę kosmiczną za sprawą map dostępnych on-line. To część nowej oferty biblioteki skierowanej

**B**  
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA  
BIBLIOTEK



Wypożyczalnia i czytelnia w budynku dawnego kina „Marzenie”.

Foto: z archiwum MBP w Wiśle

Gminna Biblioteka Publiczna  
im. Jana Śniegonia w Wiśle

## Nowa odłona

do dzieci i młodzieży, dla których organizowane są również zajęcia warsztatowe podczas ferii zimowych. W tym roku to regionalne warsztaty literacko-plastyczne oparte o wiślańskie podania i legendy o początkach rzeki Wisły, rycerzach śpiących w Czantorii, o Malince i pierwszym mieszkańcu – Imko Wiselce. W czasie ferii wolontariusze czytają dzieciom bajki, „Czytanie na śniadanie” uzupełniają projekcje filmowe. W tym roku Bolek i Lolek zabierają słuchaczy w swój świat przygód. Towarzyszy im Królowa Śniegu spoglądająca ze ścian wypożyczalni dla młodych czytelników. To efekt przedstawienia teatralnego i konkursu plastycznego dla przedszkolaków. Wystawa złożona z ich prac przyciąga do biblioteki małych artystów oraz rodziców i dziadków.

Nowością w wiślańskiej bibliotece są projekcje filmowe. Na dużym ekranie można zobaczyć przede wszystkim filmy dokumentalne, związane z regionem Śląska Cieszyńskiego, ale nie tylko. Biblioteczne kino w grudniu 2015 roku pokazało film o Bolko Kantorze (1910–1992), bokserze i działaczu sportu i turystyki z Cieszyna, który walczył pod Monte Cassino. Jako drugi zaprezentowano film TVP Katowice z cyklu „A życie toczy się dalej”, za który autorka Ewa Kozik otrzymała nagrodę Silesia Press. Odcinek poświęcony rodowi Niedobów zgromadził przed ekranem 120 osób, które miały okazję spotkać się również z Andrzejem Niedobą, pisarzem i dramaturgiem, autorem wielu reportaży i sztuk teatralnych. W najbliższych planach jest pokaz filmu biograficznego pt. „Niezależna republika Samosiuk”, poświęconego wybitnemu operatorowi filmowemu Zygmuntovi Samosiukowi, a także spotkanie z jego re-

żyserem Adamem Lewandowskim. Interesujące dokumenty znajdują publiczność, która chętnie korzysta z tej nowej oferty biblioteki.

Coraz więcej osób starszych uczestniczy w spotkaniach grupy dyskusyjnej i uczęszcza na zajęcia komputerowe. Miła atmosfera tych spotkań nie wywołuje stresu – są one ciekawą formą spędzania wolnego czasu, która służy edukacji i rozwijaniu życia towarzyskiego. Nauka obsługi komputera zapobiega cyfrowemu wykluczeniu seniorów, a dyskusje wokół tematów wybranych przez uczestników inspirowały do odkrywania nieznanymi kart z dziejów Wisły. W pomieszczeniach biblioteki dobrze czują się organizacje społeczne, które odbywają tu swoje zebrania, próby i występy, szkolne grupy zorganizowane, zuchy i harcerze, a nawet podopieczni Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Biblioteka współpracuje ze szkołami wszystkich szczebli, a także innymi jednostkami oświatowymi oraz instytucjami kultury.

Nowoczesna placówka nie może obejść się bez e-usług. Nie wychodząc z domu, można przeglądać katalog zbiorów biblioteki, samodzielnie przenieść i zamawiać książki czy audiobooki, a także korzystać z bibliografii regionalnych dostępnych na stronie internetowej. Jeśli czytelnika interesuje oferta e-booków, to za pośrednictwem wiślańskiej biblioteki otrzyma dostęp do platformy IBUK i ponad 2400 książek elektronicznych, może także skorzystać na miejscu z e-prasy. Jeśli jakiejś pozycji brakuje w zbiorach, zawsze można złożyć propozycję zakupu poprzez zakładkę „Zaproponuj książkę”. Biblioteka oprócz zapewnienia dostępu do wiedzy i kultury wspiera edukację, umożliwiając swym użytkownikom korzystanie z pięciu językowych i specjalistycznych kursów e-learningowych. Tradycyjnie oferuje także usługi reprograficzne: skanowanie, drukowanie i kopiowanie.

Od kilku lat biblioteka prowadzi działalność wydawniczą i ma już na koncie siedem publikacji. Wydanie trzech książek wsparła merytorycznie, a dwie przygotowała samodzielnie. Były to: *Imko Wiselka* Bogumiła Hoffa i tomik *Żywocy* prof. Włodzimierza Szturca. Ponadto biblioteka wykonała dwa druczki bibliofilskie: bibliografię prac Jana Kropa oraz opracowanie poświęcone wsi Ostojicevo (Banat, Serbia), w której żyją potomkowie mieszkańców Wisły. W XIX wieku powędrowali za pracą na drugi koniec monarchii Habsburgów, ale nadal utrzymują kontakt z krajem przodków. W planach są już kolejne publikacje. Zachęcamy do odwiedzenia siedziby biblioteki w Wiśle. Zapraszamy!

RENATA CZYŻ

Tak po prostu, to co ja mogę wiedzieć o starożytnych? W moim miasteczku na Opolszczyźnie nie było ich widać w okresie powojennym, a i przedtem było ich niewiele.

Z przedwojennych wspomnień mej Starki wiem, że koło kapliczki był sklep Żyda, a ten na Gody swoim klientom dawał czekoladę.

Nieco więcej wiedziałem z starej Biblii, którą chociażby z powodu ilustracji miedziorytnicznych często wertowałem a także z „Pana Tadeusza”.

Dużo później z zainteresowaniem czytałem dostępną literaturę, i bawiłem się „Przy szabasowych świecach” Horacego Safrina, ech to specyficzne myślenie Talmudystów...

Żydów ubranych jak ze starej fotografii zobaczyłem dopiero dużo później, w czasie swych wędrówek po Europie.

Że niewiedzę tą można przypisać szerszym warstwom naszego narodu, wnioskuję na podstawie barwnej anegdoty, opowiedzianej mi przez mego przyjaciela, Piotra Szalszę wybitnego reżysera, pisarza, muzyka i wielu jeszcze innych specjalności.

W 1993 roku na zlecenie ORF – telewizji austriackiej – przystąpiłem do realizacji filmu „Dzień powszedni Warszawskiego getta”, który powstawał z okazji 50. rocznicy Powstania w Getcie.

Ze współpracującym ze mną kierownikiem produkcji filmu Jerzym Brize ze stolicy, udaliśmy się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie w ce-

# Anegdoty

HENRYK BZDOK



lu zainteresowania ich projektem. Wydziałem Współpracy Kulturalnej MSZ kierował wówczas – Rafał Marszałek.

Chcieliśmy omówić koprodukcyjny udział strony polskiej.

Termin wizyty uzgodniłem oczywiście wcześniej telefonicznie z Wiednia, gdzie mieszkam.

Było to zimą 1992 roku.

Ubrani elegancko, jak przystoi w takich okolicznościach, garnitury, czarne płaszcze i czarne kapelusze.

Wyglądaliśmy bardzo poważnie.

Dokładnie o godz. 10.00 wkroczyliśmy do sekretariatu dyrektora.

Sekretarka uprzedziła nas, że dyrektor będzie wkrótce do naszej dyspozycji, ale musimy jeszcze chwilę poczekać, bo ma jeszcze gości.

No i rzeczywiście, po kilku minutach wyszli.

Sekretarka uśmiechając się do nas, weszła do dyr. Marszałka i poinformowała go o naszym przybyciu, przez uchylone drzwi usłyszeliśmy:

„Panie dyrektorze, przyszli ci dwaj Żydzi z Wiednia, ale mówią po polsku”...

Spojrzeliśmy na siebie wymownie.

Potem weszliśmy do dyrektora, omówiliśmy sprawę i opuściliśmy ministerstwo.

Jerzy Brize (nota bene, wieloletni, zasłużony działacz Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego) powiedział do mnie na ulicy:

„Wiesz ja tego dyrektora skądś znam. On mi się zresztą cały czas jakoś tak dziwnie przyglądał.

Po chwili Jerzy przypomniał sobie – „no tak, Rafał Marszałek, znany krytyk filmowy.

Jego małżonka i moja żona znają się dobrze i spotykają się często.

Cały czas zachodziłem w głowę, skąd go znam. Teraz już wiem”.

Jerzy Brize wrócił do domu i opowiedział o wszystkim żonie – Zosi.

Ta zaś zatelefonowała do żony Rafała Marszałka.

Pani Marszałek stwierdziła z kolei: „Rafał wrócił do domu i opowiedział, że dzisiaj odwiedziło go dwóch Żydów z Wiednia, że jednego zna, ale nie może sobie przypomnieć skąd”.

Pani Marszałek pomogła małżonkowi i opowiedziała o telefonie Zosi Brize. Marszałkowi ulżyło wyraźnie.

**m:k**

*W muzeach nie wszystkie eksponaty można zawsze oglądać. Postanowiliśmy pokazywać niektóre na naszych łamach. Dziś pocztówka ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.*



*W zbiorach Muzeum Historii Katowic poza pocztówkami oraz fotografiami architektury, reporterskimi zapisami wydarzeń pełno jest także zdjęć ludzi, często anonimowych. Dziś prezentujemy portret zbiorowy kucharzy, kelnerów i obsługi z hotelu „Monopol” w okresie międzywojennym.*



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Rozmowa z prof. dr. hab. **PIOTREM SKUBAŁĄ**,  
biologiem, ekologiem, etykiem środowiskowym i nauczycielem  
akademickim z Katedry Ekologii Uniwersytetu Śląskiego

Foto. Dawid Chaimonituk



Prof. dr hab. Piotr Skubala

# Ostrzeżenie dla świata

– Po Szczycie Ziemi w Rio w 1992 roku opublikowano dokument pn. „Ostrzeżenie naukowców świata dla ludzkości”, podpisany przez 1600 ludzi nauki, wśród nich połowę żyjących noblistów. Napisali w nim m.in.: „potrzebna jest całkowita przemiana naszego sposobu traktowania Ziemi oraz wszelkiego życia, jeśli chcemy uniknąć wielkiej katastrofy i jeśli nasz dom na tej planecie ma być ocalony”.

– Dotąd nie zdarzył się moment, by pogarszanie stanu środowiska, zapoczątkowane wraz z nastaniem epoki przemysłowej, zostało przyhamowane. Jego destrukcja ciągle postępuje. Coraz szybciej. „Twardych” dowodów naukowych, ilustrujących zły stan ekologiczny naszej planety, przybywa. Mówią o tym cykliczne, globalne raporty środowiskowe. Wśród nich jeden z czołowych na świecie, wydawany co dwa lata Living Planet Report, przygotowywany przez WWF (Światowy Fundusz na Rzecz Dzikich Zwierząt), Global Footprint Network i Londyńskie Towarzystwo Zoologiczne.

W eksploatacji przyrodniczych zasobów Ziemi przekroczyliśmy już, w odniesieniu

do niektórych z kluczowych czynników środowiskowych, wszelkie granice bezpieczeństwa. Zbliżamy się do punktu krytycznego. Żyjemy na ekologiczny kredyt, pozostawiając niewyobrażalny dług przyszłym pokoleniom. Sami też płacimy coraz wyższą cenę za życie w skażonym, wyeksploatowanym ponad wszelkie normy i miary – środowisku naturalnym. Nasza życiodajna biosfera jest już niemal śmiertelnie chora!

– **Można to wiarygodnie zmierzyć?**

– Historia naszej planety odnotowuje co najmniej pięciokrotne okresy wymierania na niej życia. Świadczą o tym gwałtowne zmiany różnorodności biologicznej w minionych epokach geologicznych. Niektóre z nich były najprawdopodobniej skutkiem zderzenia Ziemi z ciałami kosmicznymi.

Dzisiaj historia zdaje się powtarzać. Z przestrzeni Ziemi znikają masowo cenne gatunki roślin, zwierząt i różnych grup organizmów z sobą powiązanych. W tempie, jakiego nasza cywilizacja dotąd nie odnotowywała. Tym razem sprawcą zapoczątkowanego szóstego w dziejach Ziemi wymierania jest człowiek.

Bioróżnorodność jest wyznacznikiem życia. Jej zanikanie największym dla niego zagrożeniem. Wskaźnik żyjącej planety (ocenia bioróżnorodność opierając się na trendach w ponad 3600 publikacjach 1300 gatunków kręgowców na całym świecie) od 1970 roku zmniejszył się o 40 procent. Living Planet Report z 2014 roku podaje, że globalna liczba ssaków, ptaków, płazów i ryb jest dwukrotnie mniejsza niż jeszcze 40 lat temu. Według programu ONZ pn. Milenijna Ocena Ekosystemu, obecne tempo wymierania gatunków jest tysiąckrotnie wyższe niż w czasach zanim pojawił się człowiek. Z przestrzeni naszej planety znika nawet do stu kilkudziesięciu tysięcy gatunków w ciągu jednego tylko roku. Prawdopodobnie tracimy od kilku do kilkunastu gatunków co godzinę.

– **To nie jedyny wskaźnik oceny bioróżnorodności Ziemi...**

– Kolejny to tzw. „ślad ekologiczny”. Pokazuje on stopień konsumpcji zasobów naturalnych czyli w praktyce skalę ich nadużywania.

Zasoby przyrody pozyskujemy bez umiaru. Niszczymy je, często nieodwracalnie. Więcej i szybciej niż natura jest je w stanie odtworzyć. Tniemy drzewa bez opamiętania, zanim zdążą wyrosnąć młode ich pokolenia. Zaśmiecamy oceany. Trzebimy w nich łowiska ryb ponad możliwości odtwarzania ich populacji; czerpiemy bez umiaru wodę z rzek i tę podziemną, zanim jej zasoby zostaną przez naturę uzupełnione. Wreszcie trujemy atmosferę ziemską dwutlenkiem węgla (w ilości ponad 35 mld ton rocznie) i innymi zanieczyszczeniami w takiej ilości, której nie są w stanie wchłonąć coraz słabsze i mniejsze lasy, ani zanieczyszczone morza.

Skalę zużywania zasobów przyrody wyraźnie pokazuje właśnie „ślad ekologiczny”, jaki pozostawia człowiek korzystając z zasobów środowiska naturalnego na określonej, produktywnej powierzchni lądów i mórz. Z tego rachunku wynika, że apetyt konsumpcyjny świata niebezpiecznie rośnie, kosztem coraz mniej wydolnych i wciąż niszczonej ekosystemów.

Według organizacji Global Footprint Network od dawna żyjemy na ekologiczny kredyt. Dla zaspokojenia naszych potrzeb potrzebujemy już nie jednej, a ponad półtora życiodajnej planety. Ziemska przyroda potrzebuje ponad 18 miesięcy, aby odtworzyć to, co zużyliśmy w ciągu jednego roku. Tempo, w jakim konsumujemy obecnie zasoby przyrody gwarantuje nam, że jeszcze przed rokiem 2030 na zaspokojenie naszych potrzeb będziemy potrzebowali dwu planet.

Największy ślad ekologiczny odciskają na Ziemi kraje najbogatsze. Gdyby np. cała ludzkość mogła żyć na poziomie Kataru, potrzebowałaby bez mała pięćdziesiąt naszych planet. Ale i poziom konsumpcji Polaków dwukrotnie przewyższa możliwości środowiska naturalnego. Za ten niesprawiedliwy podział dóbr, konsumpcyjną pazerność płacą kraje najbiedniejsze i przyszłe pokolenia.

Model rozwoju gospodarczego, cechujący się bezwzględną eksploatacją zasobów Ziemi, dalszy wzrost śladu ekologicznego



ma oczywiście swój kres. Kenneth Boulding – ekonomista filozof, doradca prezydenta Kennedy’ego – powiedział: „każdy, kto wierzy w nieograniczony rozwój cze-  
gokolwiek fizycznego na fizycznie skoń-  
czonej planecie jest albo szaleńcem, albo  
ekonomistą.”

### – Już płacimy za rozbuchaną konsumpcję i ekologiczną bez troskę...

– Niestety. W raporcie ONZ pn. Milenij-  
na Ocena Ekosystemu, eksperci i naukow-  
cy z 95 krajów świata ocenili, iż 60 procent  
usług (15 z 25), świadczonych przez eko-  
systemy zostało zniszczonych albo jest wy-  
korzystywanych w sposób niezrównowa-  
żony. A to właśnie od nich zależy nasza  
przyszłość, zdrowie i bezpieczeństwo.

To, co mnie osobiście najbardziej niepo-  
koi, to brak właściwej reakcji świata po-  
lityki na narastające zagrożenia. Tylko  
część polityków dostrzega je i chce o nich  
rozmawiać. Kiedyś zobaczyłem humor ry-  
sunkowy w Detroit Free Press, który  
świetnie odzwierciedlał tego rodzaju reak-  
cje polityków.

Jeden z naukowców odczytuje treść  
apelu: „Wielki problem! Szybka degrada-  
cja ziemskiego ekosystemu będzie miała  
ogromny wpływ na los młodych genera-  
cji!” Polityk odpowiada: „W czym pro-  
blem?”

Dowcipny i zasmucający zarazem humor  
rysunkowy opublikowano kiedyś na łamach  
„Melbourne”. Liczna grupa naukowców  
odczytuje kwestię: „1360 naukowców z  
95 krajów mówi światu, że  
jesteśmy na krawędzi zagłady”. Polityk od-  
powiada: „Poproszę drugą opinię”.

### – Są jeszcze gdzieś na świecie miejsca dziewicze, czyste, naturalne?

Peter Kareiva z amerykańskiego Instytu-  
tu Studiów Środowiskowych Uniwersy-  
tetu Santa Klara wspólnie z innymi eko-  
logami ocenili globalny wpływ człowieka  
na ekosystemy lądowe. Wnioski są smut-  
ne. Ponad 83 proc. łądów jest pod bezpo-  
średnim wpływem ludzi. W praktyce nie  
ma już miejsc nietkniętych przez człowie-  
ka. I przemysł i rolnictwo stało się global-  
ne, skutki ocieplenia klimatu sięgają wszę-  
dzie. Tylko 14 procent łądów jest  
chronionych. Co nie znaczy pozbawionych  
presji cywilizacji. Tylko 1 procent łądów  
można uznać za ostoję dzięki przyrody.  
W tej kategorii mieści się m.in. arktycz-  
na tundra, północne lasy Syberii i Kana-  
dy, pustynie Afryki i Australii czy dorze-  
cze Amazonki.

Inni badacze przygotowali globalną  
mapę wszechoceanu, ilustrującą wpływ  
człowieka na każdy kilometr kwadratowy  
jego powierzchni. Ponad 41 proc. mórz jest  
silnie eksploatowanych i zanieczyszcz-  
anych miliardami ton odpadów. To zabija  
w nich życie. Przelowienia ryb zagrażają  
przetrwaniu rybołówstwa. Oceany w ocie-  
plającym się klimacie pochłaniają dwutle-  
nek węgla, kumulując coraz więcej ciepła.  
Nawet w głębinach.

Trzeba zapytać co się stanie, gdy zaczną  
to ciepło oddawać? Czy uda się powstrzy-  
mać wzrost temperatury na Ziemi tylko  
o dwa stopnie Celsjusza do 2050 roku? Jak  
w coraz gorętszym klimacie zachowa się  
biosfera, gdy np. topniejący lód tajgi za-  
cznie uwalniać do atmosfery ogromne  
ilości metanu?



Przedpole lodowca Jostedal w Norwegii

### – Społeczność globalna nie czuje jeszcze katastrofalnego zagrożenia...

– Przyczyn jest bardzo wiele. Na czele  
postawiłbym nierozumienie przyrody. Po-  
winniśmy przemyśleć przyrodę na nowo!  
Wielu z nas się wydaje, że bez przyrody  
można się obyć. Brakuje nam pogłębionej  
świadomości, że świat, w którym żyjemy  
jest całością, my zaledwie jej częścią.  
Od przyrody, jej powiązań i współzależ-  
ności, usług spełnianych przez ekosys-  
tem – jesteśmy całkowicie zależni. Przy-  
roda jest doskonała. Każdy żywy gatunek  
jest w niej po coś. Ma swoje znaczenie  
i odgrywa ważną, przypisaną mu rolę.  
Wszystko, co żyje w środowisku przyrod-  
niczym jest ze sobą powiązane. Jeśli jakiś  
jego element zostanie naruszony, prędzej  
lub później odczujemy to boleśnie.

Ta wiedza o funkcjonowaniu przyrody  
powinna nas doprowadzić do określone-  
go systemu wartości. Pragnąc zachować  
świat, pragnąc być zdrowym i szczęśli-  
wym, musimy dbać o innych, o inne for-  
my życia. Szacunek dla życia powinien być  
wartością, która określa nasze życie.

Jak ważnym jest każdy gatunek dla funk-  
cjonowania przyrody, co może się stać, gdy  
tracimy kolejne gatunki doskonale obra-  
zuje jedna z ekologicznych koncepcji nau-  
kowych, tłumacząca zależność między  
dobrze funkcjonującym ekosystemem a  
różnorodnością biologiczną. Jej autorzy  
przyporównali zmniejszenie się liczby gatu-  
ków w ekosystemach do wypadania kolej-  
nych nitów z konstrukcji samolotu. Z sa-  
molotu może wypaść jeden, kilka czy  
kilkadziesiąt nitów i nic się nie stanie, ma-  
szynę uzna się za sprawną. Jednak wszy-  
scy doskonale zdajemy sobie sprawę, że  
wypadnięcie któregoś z kolejnych nitów

(nie jesteśmy w stanie określić – którego?)  
spowoduje katastrofę... Tak może się stać  
z naszym światem.

– Co musi się zdarzyć, by świat zaczął  
odpowiedzialnie reagować na zagrożenia,  
nie ludzi nieograniczonym wzrostem  
gospodarczym, nieustającym dobroby-  
tem...? Miał rację amerykański pisarz i fi-  
lozof Ralph Waldo Emerson, który już  
w XIX wieku pisał, że rasa ludzka umrze  
na cywilizację?

– Nie każdy musi być biologiem czy  
ekologiem. Natomiast każdy musi być  
świadomy, że jego życie, zdrowie, szczę-  
ście, bezpieczeństwo zależą od usług  
świadczonych przez ekosystemy. Ludzie  
coraz głośniejsze domagają się czystego po-  
wietrza, czystej wody i zdrowej żywności.  
Zaczynają akceptować filozofię: lepiej  
„być niż mieć”. I szybko się uczą, jak zmie-  
niać świat, także technologicznie, na bar-  
dziej przyjazny. To daje nadzieję.

Wiemy jak się uratować. Znamy rozwią-  
zania technologiczne, które pozwolą nam  
utrzymać w miarę komfortowe życie.  
Niestety na razie niewiele robimy. Na ra-  
zie, mimo wysiłku ludzi na całym świecie,  
ponosimy porażkę.

Może najlepiej spuentować ten pro-  
blem słowami Paula Gildinga, australijskie-  
go działacza na polu ochrony środowiska  
i przedsiębiorcy. Pochodzą one z książki  
„The Great Disruption” (Wielkie zaburze-  
nie): „albo pozwolimy, żeby załamanie sta-  
rego systemu nas sparaliżowało, albo  
stworzymy nowy, zrównoważony model  
ekonomiczny... Być może nie jesteśmy zbyt  
bystrzy, ale nie jesteśmy też aż tak głupi”.

Rozmawiała:  
JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Grudniowa premiera Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie była kolejną opowieścią André Hübnera-Ochodli o współczesności. Wybór padł na *Procę* Nikołaja Kolady. Wcześniej reżyser zrealizował w naszym teatrze kilka spektakli m. in. *Do dna* na podstawie tekstów Ludmiły Pietruszewskiej, który z *Procą* łączy rosyjska rzeczywistość, gdy alkohol okazuje się najprostszym sposobem rozwiązywania problemów. Tym razem jednak świat nie jest tak jednorodnie beznadziejny, a biografia kaleki Ilji zdaje się powiełać model powstawania z martwych, o czym zaświadcza nie tylko zmiana jego wyglądu, przede wszystkim koloru koszuli, ale także zachowania. Realizatorzy przekonują, że przesunięcia między dwoma biegunami: nieszczęście – szczęście, zależą przede wszystkim od relacji z innymi i samoakceptacji, choć dynamika tych zmian przypomina, jak krótkie i kruche są chwile radości. Bo szczęście to bliskość z drugim człowiekiem, bezgraniczne zaufanie, całkowite odślonienie mimo niebezpieczeństwa kompromitacji i śmieszności.

*Proca* w przekładzie Jerzego Czecha w częstochowskim teatrze to piękne przedstawienie, dopracowane scenograficznie oraz aktorsko, choć nie każdy widz utożsamia się z pokazaną na scenie relacją. Inszenizacja zyskała akceptację Nikołaja Kolady, obecnego na jednej z prób (w tym czasie przygotowywał *Ożenek* Mikołaja Gogola w Teatrze Śląskim w Katowicach), który wyraził zdziwienie wyborem sztuki, w Rosji nadal uchodzącej za skandaliczną ze względu na temat i sposób pokazania rzeczywistości. W Polsce zrealizowano ją na Scenie Prezentacji w Warszawie (2008), potem prezentowano na IX Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” w Zabru. Kilka lat później sztukę zradiofonizował Paweł Szkotak (2012). Jeśli w Rosji dramat zachował siłę wywołania skandalu, to raczej trudno spodziewać się tego w Polsce, choć oczywiście reakcje mogą ujawniać społeczny poziom tolerancji. Jednak skandal nie jest celem realizatorów.

Częstochowska inscenizacja nie epatuje widza homoseksualną relacją, która wprawdzie tkwi u podstaw przedstawionego świata, ale na scenie ogranicza się niemal do podbarwionej erotycznie przyjaźni. W przypadku samotnego Ilji fascynacja Antonem jest do przewidzenia. Kaleka musi zachwycić się radością, żywotnością, ale również fizycznością studenta. Trudno jednak rozstrzygnąć, na ile jest to skutek orientacji seksualnej, a na ile uosobienie jego marzeń.

Krótki opis spektaklu – opowieść o homoseksualnej miłości, byłby więc ogromnym nadużyciem. To może nawet zaskakujący obu mężczyzn epizod, który po prostu się zdarza, wyznaczając punkt kulminacyjny ich znajomości. Widzowie obserwują narodziny ich obopólnej fascynacji i późniejsze próby oswojenia tego, co się stało. Anton, młody i przystojny student, pewnie bożyszczko kobiet, postanawia to odrzucić, Ilja natomiast przyjmuje jako cud bliskości drugiego człowieka.

Zarówno kaleka, poruszający się na wózku, jak i student Anton od początku mają kłopoty z seksualnością, ale przede wszystkim



Ilja (Adam Hutyrka) nie mieści się w stereotypie kaleki-żebraka.

Foto: Piotr Dłubak/mat. teatru

## Słodko-gorzki epizod

TEATR

kim z budowaniem międzyludzkich relacji. Anton, piękny i jasny jak anioł, istnieje w życiu Ilji jak dobry sen, jak bożonarodzeniowa opowieść, zapowiadająca cud przemiany. Jest niejednoznaczny i niedookreślony pod względem społecznym i płciowym, wprowadzając w życie Ilji światło, zaczyna go socjalizować, uczy innego sposobu mówienia i zachowania. Przywraca go życiu, nie tylko dosłownie, wyciągając pijanego spod nadjeżdżającej ciężarówki, ale przede wszystkim dostrzegając w nim człowieka. To on przekonuje Ilję, że jego ułomna cielesność może być intrygująca, zwłaszcza jego długie palce typowe dla pianistów czy oczy wyrażające niechęć wobec ludzi. Ilja nie mieści się bowiem w stereotypie kaleki-żebraka. Już możliwość bycia interesującym dla kogoś takiego jak Anton przesuwają Ilję w centrum życia, a może raczej pozwala dostrzec, że na marginesie również toczy się życie, a stawką jest szczęście.

Spektakl André Hübnera-Ochodli niemal przekształca się w przypowieść także dzięki zastosowaniu dwóch odmiennych poetyk – realistycznej i onirycznej, a wszystko odbywa się w mieszkaniu Ilji, wyposażonym w piękne drewniane meble, choć oklejone gazetami, futurystyczną choinkę (scenografię opracował reżyser we współpracy ze Stanisławem Kulczykiem). To pokoik, w którym przyjmuje się gości, z szafami, regałem, stolikiem i krzesłami. Jednocześnie widz może obserwować to, co dzieje się na korytarzu oraz w kuchni sąsiadów, gdzie mieszka Laryssa, kobieta niemal ograniczona do odruchów zwierzęcych. Poza sceną pozostaje sypialnia Ilji oraz kuchnia, z ciek-

nącym kranem, a dźwięk ten wytrąca z równowagi Antona. Z tego powodu część wydarzeń odbywa się poza sceną, więc widz przekształca się wówczas w słuchacza. Na środku sceny między aktorami i widzami znajduje się tafla plastiku, która wzmacnia sytuację podglądania i pogłębia wrażenia świetlne, zwłaszcza gdy pokazywana jest rzeczywistość senna albo gdy aktorzy zastygają, by stworzyć nieruchomy obraz.

Podmiotem scen onirycznych pozostaje prawdopodobnie Ilja, widza obserwuje jego przemianę, a może raczej akceptację odmienności, gdy męskie fantazje na temat kobiety-kocicy zastępuje Anton. W tych scenach główną rolę odgrywa światło i projekcje, a także ciemność rozdzielająca poszczególne sekwencje. Ciemność coraz dłuższa i coraz bardziej niepokojąca, gdy z głośników rozbrzmiewa głos postaci i oczywiście muzyka skomponowana przez Adama Żuchowskiego, współpracownika Teatru Atelier im. A. Osieckiej w Sopocie.

Osobny fragment należy się aktorom i ich grze. Adam Hutyrka stworzył postać środkami naturalistycznymi. Po pijanemu belkoce z papierosem w ustach i w sali kameralnej odbywa się to na poziomie zrumiałości. Zresztą, trzeba przyznać, że komplementowany przez reżysera aktor (w wydawanej przez teatr „Gazecie Teatralnej” nazwał go jednym z najlepszych aktorów pokolenia, doceniając przede wszystkim jego Klaudiusza w *Hamlecie*) gra naprawdę doskonale, przede wszystkim nie szarżuje, co czasami zdarza mu się w lżejszym repertuarze. Towarzyszy mu przejmujący Tomasz Włosok, który w tym roku ukończył PWST w Krakowie. W świecie scenicznym Anton jest postacią najważniejszą. To on stworzył ten świat, więc jego odejście skutkuje śmiercią Ilji. Włosok kreuje postać autsjadera, a jego inność pogłębia jeszcze ataki choroby. On chce za wszelką cenę być normalny, dlatego trudno stwierdzić, czy szantaż kaleki odbywa się naprawdę czy może jest jedynie próbą racjonalizowania jego relacji z Ilją. Ale Tomasz Włosok wyraźnie zmienia wówczas swój wyraz twarzy. Doskonała jest również Iwona Choluż w epizodach, prezentując różne oblicza kobiecości.

Tytułowa proca to narzędzie walki Ilji ze szczęściem innych, z otaczającym ich domowym ciepłem, może nawet nie dość przez nich cenionym. Ta agresja jest przecież ostatnim etapem walki o siebie, to bunt wobec niesprawiedliwości, wobec losu, wobec tym, którym się udało, choć może nawet nie musieli się starać. Ilja uważa bowiem, że społeczeństwo powinno się nim zająć, a przy tym nie potrafi albo nie chce zaakceptować tego, co mu pozostało. Swoje zachowanie tłumaczy: „Żeby ludziom nie było za dobrze”. Ale to na początku, po odejściu Antona już nie atakuje...

JOANNA WAROŃSKA

Nikołaj Kolada *Proca*, reżyseria i scenografia: André Hübner-Ochodli, muzyka: Adam Żuchowski, współpraca scenograficzna: Stanisław Kulczyk, ruch sceniczny: Włodzimierz Kuca Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Premiera 18.12.2015.



Foto: M. Matynowska-Klimek / mat. Galerii Extravagance

3 marca zmarła w Krakowie fascynująca wiele pokoleń kapłanka sztuki – legendarna malarka i graficzka Janina Kraupe-Świderska (ur. 27 stycznia 1921 w Sosnowcu). Jej niezwykła twórczość przepełniona tajemnicą, ale przede wszystkim wielką radością życia, pozostanie na zawsze w historii sztuki. Jej dzieła surrealistyczne i abstrakcyjne odwołują się do astrologii, czy wręcz magii, hipnotyzują odbiorcę i wciągają w świat czarowany, ale nie złowrogi. Doskonała warsztat, genialne operowanie barwą stawiają artystkę wśród tuzów sztuki polskiej. Cieszyła się opinią wielkiej znawczyni kultury Dalekiego Wschodu i filozofii zen. „Jej malarstwo jest wyrazem głębokiego odczucia jedności i harmonijnego współbrzmienia wszystkich elementów wszechświata: duchowości i materialności, trwania i przemijania, życia i śmierci” – przypomniano w komunikacie na stronie Muzeum Narodowego w Krakowie.

Studia na Wydziale Malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni Pawła Dadleza – wspaniałego malarza, zmarłego w młodym wieku podczas wojny z wycieńczenia w pociągu (piękna i tragiczna postać) – rozpoczęła w 1938 r. Po wybuchu II wojny światowej była uczennicą Fryderyka Pautscha w Staatliche Kunstgewerbeschule Krakau, którą ukończyła w 1941 roku. Znalazła swoje miejsce w środowisku tzw. „nowoczesnych”, poznając m.in. Tadeusza Brzozowskiego, Tadeusza Kantora i Kazimierza Mikulskiego. W tym czasie należała również do Teatru Podziemnego Kantora (grała „konstruktywistyczną” *Goplanę* w Balladynie przygotowanej w 1942 r.). Janina Kraupe-Świderska tak to wspomina po latach w wywiadzie dla Tygodnika Powszechnego: *Gdy trwały próby do „Balladyny”, drzwi pilnował ksiądz Marcin Siedlecki. Trwała okupacja, do mieszkania trzeba było przychodzić pojedynczo, aby nie wzbudzać podejrzeń. Aktorzy mieli niewiele miejsca do grania, ubrani byli w stroje z worków konopnych. Postać często była upodobniona do figury geometrycznej, ruch aktorów miał być nienaturalny, Kantor chciał odejść od metod realistycznego grania. Umiał tak ustawić aktorów i dekoracje, że każda część spektaklu upodobniała się do obrazu malarzkiego. Ja nie chciałam być pokazywać publiczności jako aktorka, ale Kantor trzymał dla mnie rolę Goplany. Powiedział: Jakoś to załatwimy. Będziesz siedziała za formą, nie będzie cię widać. Nie dość, że siedziałam w kucki za formą (można ją zobaczyć na zdjęciach ze spektaklu), to jeszcze mówiłam przez tubę do miednicy, co niezmiernie mnie irytowało. Tak miało być – głos niezmiernie, nadnaturalny. Rola była niewielka, więc często mogłam przypatrywać się kolegom, koleżankom i ich szkicować. Na przedstawieniu gromadziło się do czterdziestu osób. Był wśród nich np. późniejszy filmowiec Wojciech Has. Karola Wojtyła nie było, bo coś byśmy o tym później wiedzeli. Po spektaklu nie klaskano.*

Po wojnie Janina Kraupe-Świderska powróciła na krakowską ASP, jej nauczycielami byli tacy mistrzowie jak Eugeniusz Eibisch i Waclaw Taranczewski. Studiowała także na wydziale grafiki, gdzie wykładali Andrzej Jurkiewicz i Konrad Szednicki. W 1948 roku ukończyła wydział malarstwa (dyplom otrzymała w 1955 r.), a rok później studia graficzne. Swoje życie zawodowe związała z macierzystą uczelnią, gdzie w 1980 roku została profesorem nadzwyczajnym, a siedem lat później zwyczajnym. Od 1957 roku była związana z Drugą Grupą Krakowską, ponadto należała do kultowej, katowickiej Grupy Oneiron.

## Wielka dama polskiej awangardy

Młodzi artyści towarzyszyli jej niemal do końca. Nasz młody przyjaciel, absolwent i obecnie doktorant krakowskiej Akademii, utalentowany malarz Lech Kolasiński każde odwiedziny w naszym domu zaczynał opowieścią o wizycie u Pani Profesor – o kartach, horoskopach, drobiazgach... Fascynacja absolutna! A ileż sympatii i czułości było zawsze w tych opowieściach. Pani Profesor miała lat... Lat się kobietom nie liczy! Duszą była bardzo młodą osobą! Kiedyś powiedziała: *Studentów uwrażliwiam na to, że coś musimy w tym społeczeństwie zostawić. Nie uważa na to, że lekcważy się widać...* Trzeba więc robić swoje i nie uciekać od przeznaczenia, artystą jest się do końca życia! Talentu zdradzać nie wolno nawet dla największej kasy.

Jej mężem był również wielki artysta malarz, urodzony w Grodźcu (dzisiaj dzielnica Będzina) profesor Jan Świderski. Po jego śmierci w 2004 r. Janina Kraupe spuściznę po nim przekazała do Muzeum Żagłębia w Będzinie, gdzie na stałej wystawie możemy podziwiać jego radosne prace czerpiące z najlepszych tradycji polskiego koloryzmu, a zarazem pozostające niepowtarzalnymi arcydziełami. Profesor był kochanym przez uczniów i wychowawcą kilku pokoleń malarzy. Spod jego ręki wyszło wielu artystów o europejskim i światowym formacie. Miłości do swoich stron rodzinnych pozostał wierny do śmierci. Uczestniczył w plenerach malarskich „Będzińskie pejzaże”, spotykał się z mieszkańcami. W Będzinie, szczególnie zaś w Grodźcu poszukiwał inspiracji artystycznych. W 2000 roku został Honorowym Obywatelom Miasta Będzina. Janina Kraupe-Świderska pochodziła ze znanej rodziny przemysłowców, nigdy nie odcinała się od sosnowieckich korzeni. Nazywano ją

„Dziewczyną z Sosnowca”. Ale Kraków pokochała nade wszystko. Razem z mężem stworzyli najwybitniejszy w dziejach żagłębiowsko-krakowski duet artystów. Ich sława sięgała daleko poza granice kraju. Kiedyś powiedziała: *Bardzo dobre są związki między artystami, szanują czas potrzebny na twórczość. Różnił się, mąż skończył studia przed wojną, ja byłam w awangardzie powojennej. On w kontakcie z przyrodą odczuwał świętość świata...*

W 1997 roku artystka została odznaczona Nagrodą Miasta Krakowa w dziedzinie kultury i sztuki. W 2008 otrzymała Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Reprezentowała Polskę na Biennale Sztuki w Saõ Paulo (1965), Biennale Sztuki w Wenecji (1952, 1978), EXPO w Sewilli (1992). Janinie Kraupe-Świderskiej poświęcono film „Chcę być malarką”, którego premiera miała miejsce w 2012 roku podczas uroczystego benefisu.

– *To dla nas wielka strata. Prace artystki są prezentowane w muzeum w sali dedykowanej Grupie Krakowskiej. W twórczości Janiny Kraupe-Świderskiej interesująca jest indywidualna interpretacja abstrakcji, która w jej wypadku opierała się na relacji z pisaniem i pismem – mówił PAP wicedyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, historyk sztuki Andrzej Szczerski – Ona traktowała abstrakcję w kategoriach semantycznych, w jej pracach można było odnaleźć znaki odnoszące do niezwykłego alfabetu, który sama wymyślała i w to wpisywała formy bliskie surrealizmowi. Potrafiła w abstrakcji, która wydaje się schematyczna, zawrzeć element człowieczeństwa i indywidualizmu.*



# „Eichendorf” czyli „Polonia”

Ze „starym katowiczanie” (tak chciał żeby go przedstawiać w tekstach publikowanych m.in. w naszym miesięczniku) panem doktorem Andrzejem Rożanowiczem rozmawiałem wiele razy o historii miasta, bo był świadkiem najważniejszych wydarzeń. Pewnego dnia, kiedy już wyczerpałem temat i wyłączyłem magnetofon, zapytałem o hotel „Polonia”. Kilkadziesiąt lat mieszkałem naprzeciw tego budynku, nie miałem natomiast pojęcia o tym, kiedy powstał. Pan Andrzej opowiedział mi, że w Katowicach mieszkał bogaty rzeźnik nazwiskiem Skwara („to był wielki *hakata*”). On to przed wojną zaczął budować kamienicę czynszową, na której miał nadzieję zarabiać jeszcze więcej. Ale też przygotowywał się do wojny – robił i magazynował przetwory dla niemieckiego wojska, które tu przecież przyjdzie. Polski wywiad to wykrył i rzeźnika posłano do Berezki Kartuskiej. Niemcy rzeczywiście przyszli, uwolnili z obozu „bohatera” i w nagrodę pozwolili mu wybudować hotel „Eichendorf”. Tam, u „wielkiego *hakaty*” pracował portier, Niemiec, o nazwisku absolutnie germańskim (niestety – nie zapamiętałem), który jako boyów zatrudniał polskich harcerzy, a między nimi młodziutkiego Andrzejska Rożanowicza.

Przypomniała mi się ta historia, kiedy w moje ręce trafiła książka Jadwigi Lipońskiej-Sajdak *Pod złotą gwiazdą. Karczmy, hotele, restauracje, kawiarnie dawnych Katowic*. Poszukałem „Polonii”, ale znalazłem tylko suchą, kilkulinijkową informację. Ale przyznać muszę, że książka emerytowanej dyrektorki Muzeum Historii Katowic jest fascynująca. Zawiera wiado-

mości o obiektach otwartych w Katowicach od czasów najdawniejszych do lat całkiem nieodległych. Poza informacjami o właścicielach, adresach, nazwach, specjalnościach w części opisowej znalazły się jeszcze anegdoty. Choćby o tym, jak Wojciech Korfanty wdał się w hotelu „Savoy” w bijatykę z mężem pewnej posłanki. Najważniejsze jest jednak to, że o dawnych lokalach i hotelach możemy nie tylko poczytać, ale również je zobaczyć na archiwalnych zdjęciach i pocztówkach ze zbiorów Muzeum Historii Katowic. Dla mnie ta książka miała dodatkowo wymiar sentymentalny. Opowiadała o miejscach pamiętanych z czasów młodości, nawet dzieciństwa. Z tych wszystkich przyczyn zaprosiliśmy autorkę do audycji Polskiego Radia Katowice, w której Beata Tomanek wraz ze mną przypomina historię regionu, usiłując odpowiedzieć na pytanie tytułowe: *Czy to prawda, że...* Zasugerowałem wtedy, że pani Jadwiga powinna przygotować wydanie drugie, znacznie poszerzone i uzupełnione. Tyle bowiem rzeczy mogłoby się jeszcze w tej książce znaleźć. Ponieważ robiliśmy już kiedyś audycję o katowickich knajpach, nieocenionym konsultantem mógłby być Henryk Bzdok. Może i Henryk Waniek. Ale wyszło na to, że trzeba by było zaangażować w to przedsięwzięcie cały sztab ludzi. Nie mieliśmy w Katowicach takich kronikarzy „życia gastronomicznego” jak Zaruba, Stonimski i inni, którzy potrafili opisać słynne lokale warszawskie, takie jak choćby „Ziemiańska”. U nas byłoby trzeba w publikacjach pisarzy szukać ułamków (znalazłoby się coś chyba u Bolesława Surówki, Stanisława Broszkiewicza,

może nawet Wilhelma Szewczyka). Ponadto autorka stwierdziła, że po wojnie znikła właściwie tradycja fotografowania tych obiektów – fasad hoteli, restauracyjnych wnętrz, zdjęć personelu... Dlaczego? Bo w PRL nie uznawano reklamy? Bo lokale miały się stać na wzór radziecki „punktami zbiorowego żywienia”? Bo w miejscach publicznych obowiązywał często paranoiczny zakaz robienia zdjęć? Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że jakies zdjęcia mogą spoczywać w archiwach domowych. Wprawdzie w PRL rzadko urządzano imprezy rodzinne w restauracjach, ale były przecież jakieś zjazdy koleżeńskie, konferencje zawodowe, wycieczki organizacji i stowarzyszeń, więc pewnie ich uczestnicy fotografowali się w eleganckich wnętrzach podczas posiłków, wznoszenia toastów itd.

Wróć jeszcze na moment do „Polonii”. Przez długi czas kierownikiem tego ekskluzywnego lokalu był pan Kwolek. Niewysoki, łysy, zawsze wyprostowany jakby połknął kij. Żelazną ręką trzymał kelnerów, dbał o wysoki poziom kuchni – efektem były „Srebrne Patelnie” przyznawane najlepszym restauracjom w Polsce. W dzieciństwie mogłem z balkonu obserwować go jak wyprostowany pojawiał się czasami przed drzwiami swojego królestwa. Regularnie jednak mogłem wczesnym popołudniem oglądać wychodzącego z „Polonii” kelnera w eleganckim smokingu, z idealnie białą serwetą na przedramieniu, który z tacą z dwoma zimnymi piwami marki niedostępnej w ówczesnych sklepach przechodził przez jezdnię i wchodził do bramy naszego domu. Znaczyło to, że legendarny katowicki psychiatra, doktor Kazimierz Golonka rozpoczyna przerwę obiadową. Opowiedziałem o tym panu Andrzejowi Rożanowiczowi, który zapytał mnie, czy wiem, że w „Polonii” jadł obiad sam generał de Gaulle. Nie dlatego, że tam była najlepsza kuchnia w mieście. Po prostu kierownik Kwolek był kolegą generała z francuskiego ruchu oporu. Myślę, że z tego spotkania gdzieś tam jakies zdjęcia powinny istnieć.

W czasie naszej radiowej rozmowy z autorką książki *Pod złotą gwiazdą* doszliśmy do smutnego wniosku, że Katowice to „miasto tymczasowe”. Z opisanych w tej publikacji obiektów do dziś zachowało się zaledwie kilka i to w formie całkowicie zmienionej. Dzisiejsza „Krysztalowa” nie przypomina „Liboriusa Otto” – wykwiłtnej kawiarni dla pań z towarzystwa, ale przynajmniej jest i ma od lat tę samą nazwę. A wystarczy pojechać do Wiednia, Paryża, nawet do Czech, żeby zatrzymać się w szacownym hotelu i napić kawy w kawiarni, które istnieją w tym samym miejscu od wieku a czasem i dłużej. Dlaczego nasze lokale zmieniają nazwy co jakiś czas? Podobno dzieje się to ze względu na podatkowych. Więc firma przestaje istnieć. Pomaluje się to samo wnętrze, trochę zmieni wystrój i już jest coś nowego, zasługującego na fiskalne ulgi. Tak mi to dość mętnie tłumaczył znajomy, „który się zna”.

Smutnym symbolem upadku jest pusty, niszczący, niegdyś najbardziej ekskluzywny hotel „Silesia”. A zmianę widac też w mnożeniu się tandetnych, jednorazowych punktów serwowania kebabów i burgerów.



Hotel „Pod złotą gwiazdą” dziś przy ul. Starowiejskiej



Budynek hotelu „Savoy”, ul. Mariacka

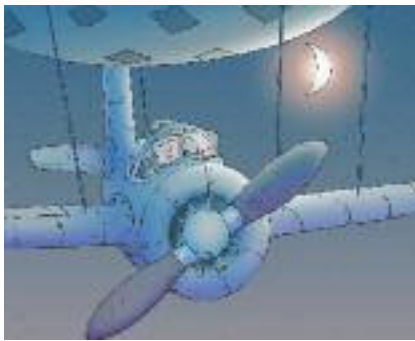


Restauracja i strzelnica w Parku Kościuszki



Ogłoszenia kawiarni „Liborius Otto”





„Lot przez sen”



„Romeo i żul Jan”



„Survival”



„Najtrudniej jest o zachwyt”



„Przeptyw”



„Śniadanie na dywanie”



„Sfera doświadczeń”



„Super bohater”



„Królik”



## Grafika ANDRZEJA SZNEJWEISA

Artysta urodził się w 1960 roku w Zabrzu. Studia w dziedzinie projektowania graficznego i grafiki artystycznej odbył na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach i w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Zajmuje się grafiką artystyczną, malarstwem, ilustracją książkową i prasową oraz projektowaniem publikacji. Jego prace prezentowano na wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i zagranicą (Czechy, Niemcy, Francja, Włochy, USA, Chiny). Obecnie pełniąc funkcję wiceprezesa opolskiego oddziału ZPAP, organizuje wiele regionalnych przedsięwzięć artystycznych oraz międzynarodowe plenery malarskie i wystawy. W swojej autorskiej galerii „Ramiarnia” w Opolu promuje również dokonania innych twórców. Andrzej Sznejweis ukazuje na swoich obrazach świat oryginalnej poetyki. W ogrodzie jego wyobraźni spotykamy szereg tajemniczych postaci, które zapraszają nas do onirycznej wędrówki w poszukiwaniu krainy wrażliwości, krainy intymnych uczuć, o których zapominamy albo boimy się do nich przyznać, aby nie narażać się na ośmieszenie w coraz bardziej zmaterializowanym i agresywnym świecie, jaki otacza nas na co dzień. Do scen malarskich Sznejweisa możemy wielokrotnie powracać, wciąż poszukując ukrytych znaczeń w relacjach pomiędzy postaciami, rekwizytami i scenografią, które przywołują odwieczne pytania – kim jesteśmy, dokąd podążamy? Ale Artysta nie pozostaje jedynie w filozoficznym kręgu bajkowo-archaicznego świata, mruga również do nas okiem, subtelnej satyry i autoironii. Andrzej Sznejweis w swojej twórczości zdołał osiągnąć stan harmonii pomiędzy formą i treścią obrazów, pomiędzy narracją ilustratora i kreatora niepowtarzalnego dzieła. (jw)





ŚLĄSKA  
OJCZYŻNA  
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# O gwarowych wierszach dla dzieci Wiktora Bugli

**R**adlinianin z urodzenia, a mieszkający w Raciborzu Wiktor Bugla (rocznik 1930) obdarzył swych czytelników nową pozycją książkową – gwarowymi wierszami dla dzieci „O czym szeptał zegłówek?”. „Któż nie zna bajek opowiadanych wieczorami albo czytanych dzieciom przed zaśnięciem? – pisze w słowie wstępnym Autor. Były zawsze i będą nadal, bo nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z czytającym czy gawędziarzem, którego można w każdej chwili dotknąć, żeby się upewnić, że to, co słyhać, nie jest jeszcze snem. Wiersze, jakie proponuję w tym zbioru, przeznaczone są przede wszystkim dla dzieci, choć i starsi czytelnicy znajdą w nich pewnie wspomnienia i krajobrazy dzieciństwa i młodości”. Miłośnicy gwar śląskich natomiast – dopowiadam od razu – znajdą w tomie bogactwo leksykalne i urodę języka, jaki Wiktor Bugla wydobyl z pokładów swego serca i z pamięci.

Gwarową serię zaczyna tytułowy *zeglówek*, popularny na Śląsku odpowiednik *poduszki*, mający rozliczne postacie wariantywne *zegówek*, *zegówek*, *zagówek*, *zoglówek*, *zygówek*, utworzony przrrostkiem –*ek* od podstawy słowotwórczej-wyrażenia przyimkowego *za głową*. W pierwszym wierszu zbioru ów zegłówek jest *fajnacki*, czyli „fajny, ładny”, a do ucha dziewczynki Emilki szepcze *logromnie piykne*, *sztjyc nowe bojki*. *Logromnie piykne* to połączenie wyrazowe z najbardziej chyba typowym substytutem neutralnego uczuciowo *bardzo*, jakim jest w gwarach śląskich przysłówek *ogromnie*, a *sztjyc* – „stałe, ciągle” – to też często używany germanizm (por. niem. *stets* „stałe”). Mamy w tym wierszu również dialektalne brzmienia *hocio* „choć, chociaż”, *krowski* „krowi”, *kiery* „który”, *uzaś* „znów, znowu”, *ciyngiem* „ciągle, cały czas”, *choby* „jakby, jak gdyby” oraz *manteloki* „motyle”.

*Robota rechtora* – „pracę (robotę) nauczyciela” – miał u ptaków z kolejnego wiersza kos, *beztóz*, *co śpiywoł od rana aż do wieczora* – „dlatego, że śpiewał od rana aż do wieczora”. W innym wierszu zgromadzone na pastwisku zwierzęta wywołują *haje*, *butel*, *larmo* i *tyjater* – „awanturę, hałas i teatr”, a w jeszcze innym – „O utopcu” – autor informuje, że w *tym Sztokowym stowku*

*dzisiok* (czyli „dziś, dzisiaj”) *go już ni ma*. Utopiec miał *szłapa kaczi* – „nogę kaczi”, a *oczy jak u żaby wyblyszczone* – „oczy jak u żaby wytrzeszczone”. *Przeważnie był mały, czasami wielnoski* („wielki, duży”), *matłoł reż* („płatał żyto”; od archaicznego rzeczownika *reż* pochodzi *rżysko*), a *bergmona Gustlika kompoł w gutalinie* – „górnika Gustlika kąpał w mule węglowym” (por. *gutalin* „pasta do obuwia”). Do chałup przychodził *ufifrany cały* – „cały ubrudzony”, atakował ludzi *z krzikopy* – „z rowu, z przykopy”, a przywłaszczonymi grabiami goił *kapry w stawie* – „karpie w stawie”.

A jakich form używają grzyby – bohaterzy następnego utworu? – *Prawok* „prawdziwek” chwali się ubarwionym kapeluszem i zapewnia, że *tak dycki je co roku* – „tak zawsze jest co roku”, kania – *paryzolem* „parasolem” i tym, że się jej w pas kłaniają *stromy* – „drzewa” (charakterystyczny bohemizm – *czechizm* – zwłaszcza w gwarach południowego Śląska). Maślak mówi: *szef bydzie sy mnie jak lala* i mamy tu wyrażenie *sy mnie* „ze mnie” z prymarnym w polszczyźnie i utrzymującym się w dialekcie śląskim bezdźwięcznym przyimkiem-przedrostkiem *s-* (por. typowo śląskie brzmienia *sjechać*, *slecieć* „zjechać, zlecieć”). Dodajmy, że surowjadki są śląskimi *surowiotkami*.

Szpak z wiersza „O szpoku-cudoku” mieszka, oczywiście, w *kadubku* „w kadłubku – w karmniku, w domku dla ptaków”, *naprociw gminy* – „naprzeciw gminy”. Jest także w tym wierszu charakterystyczna forma *mono* „może” i fonetyczny bohemizm *gdo* „kto”. Tytułowy szpak raz się *fest wylynkoł* – „bardzo się zląkł, przestraszył”. Sroka jest *stroką* – z wstawnym „t”, a odpowiednikiem popularnego na Śląsku bohemizmu *skuli tego* „z powodu czegoś, dlatego że” jest u Wiktora Bugli forma *skyrś tego*. Zwierzęta – zawstydzone, że się złąkły gwizdania szpaka – *rzały się aż do cimoka*, czyli „śmiały się aż do wieczora”.

Z kolei *cwergi spod bergi* – „krasnoludki spod hałdy” (niem. *Zwerg* – „karczyl”) – miały *czerwione kabotki*, *czerwone galoty* i *czerwione szewiki* – „czerwone marynarki, czerwone spodnie i czerwone buciki” (zwracam tu uwagę na charakterystycz-

ne dla wielu śląskich gwar miękkie „w” w formie *czerwony*). *Frycek*, *Mycek po cimoku rajtowali na hazoku*, czyli „Frycek, Mycek o zmierzchu jeździli konno na zającu” (por. niem. *reiten* „jeździć konno”, *der Hase* „zając”), ale tak w ogóle to cwergi pomagały ludziom *i po cimoku, i za widnioka*. Mamy tu piękną antyetyczną parę leksykalną *cimok* „ciemność, zmierzch” – *widniok* „jasność, przed zmrokiem”.

Dobry pies starego Alojza *ludziom przol*, czyli „lubił, kochał ludzi”, *zły* – gdy był smutny, *wył do miesionczka* „wył do księżycy”. Koty Ignaca natomiast były *przepadzite* „łakome”: *jak widziały mysz, jeden chytoł, drugi chytoł, a tyn trzeci tyż* (z połączenia żywej do dziś w gwarach czasownikowej postaci *chytac* i kiedyś wariantywnej wobec niej formy *chwatac* powstała trzecia – dziś jedyna w języku ogólnym – *chwytac*). Alojz miał *mocka książek* „dużo książek”, a gdy je czytał, koty siedziały mu *na klinie* „na kolanach”, w ten sposób wyciągając z niego *rajmatyka* „reumatyzm”.

W wierszu „O krecich marzeniach” pojawia się *cima* – wariant *ćmoka*, *cimoka* oraz *konek pola* „kawałek pola”, ziemia zaś jest *puklato* „garbata” (por. niem. *der Buckel* „garb”). Z kolei w wierszu „Ło Skarbniku” jego bohater *szczybnym kilofkiym kłupoł po ścianie* – „srebrnym kilofkiem pukał po ścianie”, ale i wyjeżdżał na powierzchnię, by zobaczyć, co ludzie robią *po grubskim trudzie* – „po kopalnianym trudzie, po pracy w kopalni”. A gdy wszystkim było już zimno, *cwergi skoczyły szprytnie i zgodnie rożygnyc wartko na berdze ognie*, *by teroz sie mogli ogrzoć przy ogniach*, *a z hycu kamiynie głośno pynkaly* – „krasnoludki skoczyły sprytnie i zgodnie rozpałiły szybko na hałdzie ogień, by teraz mogli się przy nim ogrzać, a z gorąca (por. niem. *die Hitze* „gorąco, upał, skwar”) kamienie głośno pękały”.

Wszystkie te fragmenty dowodnie pokazują, jak wielka siła liryki, uczuciowości, fantazji może tkwić w tekstach poetyckich napisanych gwarą. Ale potrzebny jest do tego talent i językowy słuch, który od tyłu lat uruchamia z pozytywkiem dla czytelników Wiktor Bugla.



## W pismach, podobno, jest wszystko

KSIĄŻKI

ANITA JASIŃSKA

Czy trudno opowiada się historię głęboko osadzoną w judaizmie w kraju niepozbawionym antysemickich przekonań? Czy można bezkarnie uprawiać literacką grę z mocno zakorzenionymi stereotypami na temat religijnych praktyk Żydów? I w końcu – czy ktoś, kto tak wiele uwagi poświęca osobom stereotypowo uważanym za „zabójców” Jezusa Chrystusa, może być szanowany i poważany? I tak, i nie. W internecie szerzą się dyskusje o antypolskim nastawieniu Tokarczuk, o jej uczestnictwie w spisku żydowskim i niechęci do rodaków. Niektórzy wypowiadają się w sposób tak ostry, że pewnie podlegają pod niejeden paragraf kodeksu karnego. Na szczęście to nie jedyne głosy w sporze o interpretację najnowszej powieści Tokarczuk, choć nie można ich lekceważyć. Pokazują pewną świadomość naszego społeczeństwa i pozwalają dostrzec jądro trudnych relacji polsko-żydowskich. Historia z 1752 roku pozostaje więc aktualna do dziś.

To niezwykła, mityczna opowieść o dziejach Jakuba Franka i losie jego wyznawców. Historyczne źródła stają się pretekstem do napisania dzieła, które porównywane jest z Sienkiewiczowską trylogią. Opracowania m.in. Jana Doktora i Gershoma Scholema, historyka i filozofa, okazują się przyczynkiem do rozbudowanej refleksji o tym, co mogłoby się zdarzyć. Na tym historycznym potencjale zbudowane zostały *Księgi Jakubowe*. To niebywałe studium narodzin, rozwoju i śmierci antyaltmudycznej sekty. To ona i jej niezwykły przywódca staną się pierwszoplanowymi bohaterami wielowątkowej opowieści. Ona – najpierw niewinna, występująca przeciw tradycji i odważna w postanowieniach oraz On – zdeterminowany, intrygujący, nieustająco pociągający i noszący w sobie iskrę bożą, która uobecnia się czasem w postaci nieziemskiej aury. Solidarnie przekonują swój lud o sile wiary i nieuchronnym nadejściu nowego porządku. Frank, zgodnie z przepowiednią, zmienia wyznania, by odbyć wędrówkę przez „trzy

wielkie religie” (judaizm, islam i chrześcijaństwo) i wyzwoić wiernych spod jarzma panujących ustrojów oraz zasad i nauk zawartych w najważniejszych księgach – Talmudzie i Zoharze.

Krystyna Pietrych zwraca uwagę na obraz Kresów XVIII wieku, który obrósł w mit o wielokulturowej mieszance narodowościowej i religijnej, żyjącej w zgodzie oraz szacunku w granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Olga Tokarczuk dyskredytuje i obnaża ten ładny, wygodny mit – ukazuje sztywną hierarchizację, której podlega społeczeństwo. Warstwy i stany decydują o życiu i godności jednostki. Katarzyna Kossakowska, jedna z postaci, napisze nawet w liście do Antoniego Moliwdy, że nie dla niej sytuacja, w której „panów (...) nie ma i wszyscy wobec Boga, tak i w posiadaniu równi”.

Niektórzy przewidują, że opowieść o nowym „mesjaszu”, Jakubie Franku, to *opus magnum* autorki, dzieło wybitne i najważniejsze w karierze pisarskiej, takie, które usuwa w cień pozostałe teksty i pozwala zamienić nieszlachetny metal w złoto, krwawą historię w literacki majstersztyk. To jednocześnie wielkie wyróżnienie i potężne przeżycie.

Rozemocjonowane dyskusje grzeją serca wydawców, ponieważ książka sprzedaje się świetnie i tłumaczona jest na wiele języków. To duży sukces. Pozycja rodzimej pisarki jest tak silna, że ukraińskie wydawnictwa, które słyną ze sceptycyzmu i niechętnie odnoszą się do propozycji przekładów autorów zagranicznych (teraz także ze względu na niełatwą sytuację ekonomiczną), zazwyczaj chętnie zgadzają się na publikację powieści Tokarczuk. Wiedzą, że czytelnicy się znajdą, bo pisarka jest dobra, a jej historie porównywane.

Powiedzieć o bohaterach *Ksiąg Jakubowych*, że są barwni i interesujący, to zbyt mało. Świat, który pisarka wykreowała i opisała i do którego pozwoliła następnie nam, czytelnikom, zajrzeć, jest niezwykły i cudowny: głośny, kolorowy i przesiąknięty zapachami narodowych przysmaków oraz egzotycznych pomarańczy. Głosy zdają się przekrzykiwać, a różnorodne akcenty i zaśpiewy układać w dziwną, ponadnarodową pieśń o wolności, nieufności i obawie przed tym, co obce i nieznanne. Turkot kół i wesoły gwar nie cichnie. Wszystko wokół jest wypełnione atmosferą mistycznej tajemnicy i duchowej ekstazy. Nic nie jest oczywiste, a prawda rozumiana jest zawsze inaczej. Ma się wrażenie, że opowieść snuta przez laureatkę Nagrody Nike nie do końca jest jej autorstwa. Zdaje się występować w roli medium, które pozwala nam dotknąć rzeczywistości, istniejącej poza ramami ogromnej powieści i wylewającej się poza jej granice. Granice, jak udowadnia autorka *E.E.*, są przecież płynne, a między tym, co nasze, oswojone i dobre, a tym co nietutejsze, dzikie i przekłete, słychać wyraźnie pobrzękiwanie złotych monet.

To powieść pisana z wielkim rozmachem, niebojąca się kontrowersji. Przeciwnie, powstaje z nich i w nich tonie. Zaprasza do dyskusji i lekceważy nasze zdanie. Rozbija sądy, wykipiwa stereotypy, miazdzy autorytety. Wije się jak rzeka, choć sama bywa oceanem. Nic tu nie jest powiedziane raz na zawsze, bo słowo przecież nie ocala, choć Frank nieustannie przekonuje, że „w pismach jest wszystko”.

*Olga Tokarczuk: Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc tych małych opowiadana przez zmarłych, a przez autorkę dopełniona metodą koniektury, z wielu rozmaitych ksiąg zaczerpnięta, a także wspomóżona imaginacją, która to jest największym naturalnym darem człowieka. Kraków 2014, ss. 912.*





# Uśmierceni przez Twardocha

KSIĄŻKI

KATARZYNA BERETA

„Domy nie zmieniają miejsca” – pisze Szczepan Twardoch – dlatego możliwa jest pamięć i odtwarzanie wspomnień, nawet jeśli ktoś wcześniej przez kilkanaście lat próbował je zatrzeć metodą leczenia za pomocą snu. *Drach* to próba rekonstrukcji wydarzeń, które czas rozwlekł na przestrzeni ponad stu lat, próba zebrania w jeden logiczny ciąg wspomnień, historii, przeżyć, wypadków dwóch rodzin – Magnorów i Czoików, których losy splatają się kodem genetycznym wspólnych potomków. To wreszcie próba ukazania ich prywatnej opowieści na tle historycznych wydarzeń głównie XX wieku na Górnym Śląsku. Jednak pióro Twardocha kreśli znacznie szerszy kontekst temporalny. Najdalej w przeszłość cofamy się do roku 1241, wycieczka w przyszłość doprowadza nas z kolei do 2016 roku. Narrator wyprowadza nas także poza Górny Śląsk, szczególnie podczas opisów wojennych batalii.

Narrator, czyli kto? To pierwsza godna uwagi kwestia. Czytelnik *Morfiny* pamięta zapewne, jak trudna do rozpoznania była narratorka, towarzysząca Konstantemu Willemannowi w każdej chwili, siedząca niejako w jego głowie. Wnikliwa lektura pozwala ostatecznie odnaleźć w niej nie kogo innego, jak samą Fortunę, rzymską boginię kierującą ludzkimi losami, która była odpowiednikiem greckiej Tyche. W *Drachu* narrator obnaża sam siebie, ułatwiając nam zadanie rozpoznania go. Tym razem jest nim ziemia, po której chodzą wszyscy bohaterowie powieści, do której trafiają po swej śmierci, która nosi wszystkie ich smutki i radości, jest milczącą obserwatorką zawitych kolei losu Josefa, Valeski, Wojciecha, Ernsta, Geli, Joachima, Stanisława, Nikodema, Weroniki i wielu innych, pozwala drażyć swe ciało w środku w poszukiwaniu czarnego słońca, chroni żołnierzy w okopach, a nawet staje się kryjówką dla Josefa, który ma na rękach krew kochanki oraz swego rywala.

Autor *Wiecznego Grunwaldu* posuwa się jednak o wiele dalej i nie poprzestaje na prostym uczynieniu ziemi wszechwiedzącym narratorem, co samo w sobie wydaje się oczywiste. Ziemia trwa, jest wieczna w porównaniu z krótkim losem człowieka. Czasami tak dramatycznie krótkim, jak życie kilkulatniej Weroniki zakończone upadkiem z dziesiątego piętra bloku na katowickim Tauzeniu czy życie anonimowego dziecka w New Jersey, wrzuconego do kubła na śmieci tuż po narodzinach. Twardoch w usta jednego z bohaterów – starego

Pindura, którego wszyscy traktują jak wariata – wkłada bardzo ważne słowa, powracające na zasadzie leitmotiwu w różnych miejscach powieści. „Põnbõczek je słońko. Põnbõczek je drzewo, człek, sòmnik, szczur i żyto a kartofle na polu”. To nawracające niczym refren wyznanie wiary solarnej pozwala spojrzeć ostatecznie na ziemię jak na czarnego boga. Logiczny ciąg, który można odnaleźć na kartach książki, jest następujący: Bóg jest słońcem, a słońce jest we wszystkim (jego energia krąży bowiem w przyrodzie), a zatem wszystko jest Bogiem.

Ziemia jest więc w powieści narratorem, Bogiem i czarnym słońcem. Można nawet powiedzieć, że jest bóstwem wynicowanym, bo z jednej strony przejmując atrybuty boskości, jak wszechwiedza, wszechobecność, panowanie nad ludzkim losem, a z drugiej – staje się zaprzeczeniem, antytezą, antyobrazem tego, co kultura utożsamia z boskością. Twardoch najdosadniej wyraża to strawestowanym wersem z Ewangelii św. Jana, który nawraca wielokrotnie w narracji. „Światłość w ciemności świeci i ciemność ją ogarnia”. W tekście Janowym to światłość zwycięża, a więc Chrystus, który przychodzi na świat, by go wydobyć z mroku grzechu, spod panowania księcia ciemności – szatana. W *Drachu* ciemność jest silniejsza, to ona zwycięża, staje się bóstwem, przejmując jego rolę. Diabeł staje się Bogiem, a zatem i ziemia staje się diabłem. Ten ostatni zaś bywa określany w *Biblii* smokiem, *drachem*, dlatego autor wkłada w usta Pindura taką oto refleksję: „Ziemia to je taki srogi drach, łączymy po jego ciele, a na grubach kopiemy jego ciało, kere je czystym słońcem”.

I ten bosko-szatański pierwiastek krąży nieustannie we Wszechświecie, wciągając w swoisty *dance macabre* kolejnego pokolenia nie tylko ludzi, ale i zwierząt. Zarówno dobro, jak i zło uczynione setki, dziesiątki czy kilka lat temu nawraca i wciąż wydarza się od nowa, trwa nieustannie we wszystkich chwilach naraz. Cała zawila fabuła powieści Twardocha służy ukazaniu właśnie owej ciągłości i ustawiczności. Wszelkie opisane zaś szczegółowo akty okrucieństwa oraz seksualnych perwersji mają za zadanie podkreślenie dominacji zła w ludzkiej historii, pewnego ślepego przymusu czynienia go.

Równocześnie trzeba powiedzieć, że pisarz niestety przekroczył granicę literatury pięknej. Bardzo plastyczne i wykazujące ogromne odczytanie i erudycję autora deskrypcje stopniowo zaczynają jednak męczyć, a w miarę postępu lektury zmęczenie i niesmak sięgają zenitu. Charakterystyczna dla pisarstwa Twardocha maniera mieszania szczegółowych opisów budowy i funkcjonowania wprost niezliczonych rodzajów broni z niemalże protokołami aktów seksualnych oraz rozmaitych procesów biologicznych zachodzących w organizmie, z procesami gnilnymi następującymi po śmierci włącznie, rodzi w czytelniku szereg pytań. Po co to wszystko? Czemu służą kolejne charakterystyki broni oraz raporty rodem z kryminalnych kronik opisujące drogę pocisku w ciele jakiejś ofiary? Ile razy można podglądać mniej lub bardziej brutalne sceny erotyczne? Czy to wszystko pełni w ogóle jakąś funkcję estetyczną? Czy dzięki temu autor mówi nam coś więcej o życiu, człowieku, historii, Górnym Śląsku, o czymkolwiek? A może tylko chwali się rozległą wiedzą? A może tylko gra *dracha*?

Jedno jest pewne, że w efekcie powstała narracja przeladowana szczegółami, zdania uległy sprasowaniu, brakuje im oddechu, który można odnaleźć chociażby w prozie Wiesława Myśliwskiego, a przecież pisze on zdania o wiele bardziej rozbudowane, ciągnące się przez kilka stron, ale mające w sobie jakąś przestrzeń, w której czytelnik może snuć własną niezależną myśl. Twardoch nie daje autonomii czytelnika żadnych szans, strzelając do niej bez pardonowo z karabinu maszynowego.



# Między drukiem a ekranem

KSIĄŻKI

ALEKSANDER TABOR

Nikogo chyba nie dziwi fakt, że dzieci w szkole uczą się czytać. Nikogo nie zaskakuje również to, że tak nabytą umiejętność wykorzystują następnie do zapoznawania się ze szkolnymi lekturami. Jednakże czytanie to nie tylko zdolność rozróżniania liter, składania z owych liter słów, a ze słów zdań. Do zrozumienia tekstu niezbędne jest przecież nie tylko jego literalne odczytanie, ale także znajomość kodu czy kontekstu. Uczeń klasy pierwszej szkoły podstawowej dowiadując się, że Wojtek został strażakiem, musi przecież wiedzieć, kim jest ów strażak i czym się tak w ogóle zajmuje. Ten sam uczeń dwa lata później musi wiedzieć, że pies jeżdżący koleją to wyjątek, a nie reguła. I kiedy wreszcie nasz przykładowy bohater kończy będzie swoją edukację, to do lektury Gombrowicza czy Różewicza także będzie potrzebował „czegoś więcej” niż samego tekstu.

A gdyby tak zapytać, czy dzieci w szkole powinny się uczyć oglądania filmów? Tutaj odpowiedź już niekoniecznie wydaje się być taka oczywista... Tymczasem tekst kultury w postaci wizualnej tak samo wymaga umiejętności odczytania jak tekst kultury w formie literackiej. Książka Tomasza Gruszczyka *Czytanie filmu – oglądanie literatury* właśnie na ten problem stara się zwrócić uwagę. Co więcej, autor udowadnia, że umiejętność rozumnego „czytania filmu” to nie tylko zagadnienie równorzędne do „czytania literatury”. Te sfery wzajemnie się przenikają, zresztą to specyfika nie tylko relacji na linii film-literatura.

Niedawno na ekranach kin całego świata po raz kolejny zagościł najsylniejszy agent Jej Królewskiej Mości, nieśmiertelny (choć sam z licencją na zabijanie) Agent 007. Nie byłoby jednakże aktorskiej kreacji Daniela Craiga, gdyby nie Ian Fleming wprowadzający na kartach *Casino Royale* postać Jamesa Bonda. Także *Harry Potter* czy *Igrzyska Śmierci* po komercyjnym sukcesie na rynku literackim w szybkim tempie trafiają do świata filmu. Najchętniej oglądaną pozycją w historii amerykańskiej telewizji kablowej wciąż pozostaje *The Walking Dead*, ekranizacja komiksu pod tym samym tytułem. Popularność serialu przełożyła się z kolei na powstanie sześciu jak do tej pory powieści. Od powieści graficznej, poprzez serial, do powieści! A kiedy uświadomimy sobie, że filmowy cykl *Piraci z Karaibów* inspiro-

wany jest tak właściwie jedną z atrakcji Disneylandu...? Powiedzieć, że żyjemy w erze multimedialnej, to tak jakby nic nie powiedzieć.

*Czytanie filmu – oglądanie literatury* to pozycja sygnalizująca konieczność poszerzenia procesu edukacji także o zagadnienia dotyczące sztuki wizualnej, to również propozycja, w jaki sposób można tego dokonać. Każdy rozdział zakończony jest sugestiami dydaktycznymi, wskazaniem lektury, która pozwoli na szersze poznanie zaprezentowanego zagadnienia. Docelowym odbiorcą jest tutaj uczeń szkoły średniej, ale może nim być właściwie każdy, kto chciałby dowiedzieć się więcej o tym, „jak czytać filmy”. Przy okazji kolejnych rozważań autor zapoznaje czytelnika także z podstawową wiedzą z zakresu filmoznawstwa, w końcu jeżeli chcemy poznać relacje zachodzące pomiędzy filmem a innymi formami sztuki, to należałoby coś wiedzieć na temat samego filmu.

Tomasz Gruszczyk prezentuje w swojej książce kilka kanonicznych wręcz kręgów tematycznych z zakresu historii filmu. Nie jest to jednak chronologiczny przegląd, mamy tutaj do czynienia bardziej z autorskim wyborem tych sfer, gdzie film wchodzi w relacje z innymi dziedzinami sztuki, zwłaszcza z literaturą. *Czytanie filmu – oglądanie literatury* pokazuje, że odbiór sztuki filmowej bez odpowiedniego przygotowania merytorycznego jest możliwy, ale nie tak wartościowy, jak mógłby być. Na wstępie autor przypomina, że to już George Méliès ponad sto lat temu położył nacisk na fikcję, na tworzenie świata przedstawionego w filmie, a nie tylko na wizualny zapis świata rzeczywistego. Chcąc w pełni zrozumieć zamysł twórcy, odbiorca musi chociaż w podstawowym stopniu zapoznać się z regułami artystycznej wizji, która jest prezentowana.

Oczywiście, że możemy przytoczone w książce *Perły na dnie* potraktować jako film, zupełnie zapominając o jego hrabalowskich korzeniach. Nie zmienia to jednak faktu, że wybór właśnie takiej literackiej podstawy miał dla filmowców ogromne znaczenie. Poza tym o ile ciekawsza będzie konstatacja, że na bazie twórczości tego samego pisarza można stworzyć pięć odmiennych filmowych nowel, operujących różną przeciwieństwami stylistyką. Także popularność grupy *Monty Pythona* daje się lepiej zrozumieć dopiero po spojrzeniu na rzeczywistość, w której rozpoczynali oni swoją działalność. Trzeba sobie wyobrazić, jaki szok musiała wywołać na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych emisja *Latającego Cyrku Monty Pythona*, która miała miejsce na antenie bardzo konserwatywnej wówczas BBC. Ponadto wyjątkowość *Monty Pythona* uwypuklona zostaje w sytuacji, gdy dysponujemy materiałem porównawczym z zakresu komizmu, groteski i ironii. Twórczość Larsa von Triera, czy ogólniej twórczość spod znaku *Dogma 95*, również powinna być analizowana w szerszym aspekcie. Przecież ów manifest był wyrazem swoistego buntu wobec tego, co sztuka filmowa proponowała wcześniej. Jeżeli dowolny nurt, w dowolnej formie sztuki istnieje w opozycji do czegoś, to siłą rzeczy musimy poznać to, co stoi po drugiej stronie. Poza tym istotą *Dogmy* było wprowadzenie licznych sztywnych reguł, wręcz samoograniczeń, jakim podlegać miał twórca. Zupełnie inaczej patrzymy na dzieło sztuki, które jest ubogie w środki wyrazu ze względu na ograniczony talent artysty, a zupełnie inaczej na skromność ekspresji, stanowiącą celowy zabieg.

Książka Tomasza Gruszczyka z pewnością zachęca nas do zastanowienia się nad tym, w jaki sposób oglądamy filmy. Niewątpliwie umożliwi czytelnikowi poszerzenie wiedzy, która pozwoli wzbogacić oglądanie. Przede wszystkim jednak sugeruje nam, że niektóre filmy zamiast tylko oglądać, powinnyśmy również od czasu do czasu przeczytać...

Tomasz Gruszczyk: *Czytanie filmu – oglądanie literatury. Propozycje do spotkań edukacyjnych*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice, 2015, ss. 184.



# Jedna rodzina, a cztery narracje

KSIAŻKI

RYSZARD BEDNARCYK

**P**owieść Piotra Guzgo *Stan wyjątkowy* uznana została w 1968 roku przez londyńskie „Wiadomości” za najwybitniejszą książkę polskiego pisarza wydaną na emigracji. Otrzymanie tak zaszczytnego wyróżnienia w czasach, gdy poza Ojczyzną pisali i wydawali twórcy tej miary, co Gombrowicz, Miłosz, Herling-Grudziński, nobilitowało mało znanego – choć mającego już w dorobku kilka książek prozatorskich – pisarza. Oczywiście ze względu na cenzurę i poruszaną przez Guzgo tematykę jego twórczość mogli wówczas poznać tylko czytelnicy po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Obecnie dzięki opolskiemu Wydawnictwu Nowik ze *Stanem wyjątkowym* mogą po latach obcować także krajowi czytelnicy. Jednak o tym, że proza ta może i dziś przyciągnąć uwagę, decydują nie tylko zakazane w czasach Polski Ludowej rozrachunki z szeroko pojętym stalinizmem. Na siłę jej literackiego oddziaływania wpływ ma także – wzbudzająca i dziś podziw – nowatorska narracja, zrywająca z tradycyjnym traktowaniem czasu akcji.

Książkę Guzgo tworzą bowiem cztery osobne narracje. Każda ulokowana jest w innym czasie i stanowi monolog wewnętrzny innej postaci, pozornie niepołączonej z pozostałymi trzema. Narratorzy snują fragmentaryczne opowieści o własnych losach i powiązanych z nimi ludźmi. Bardziej są to myślowe asocjacje, swoisty strumień świadomości, rządzący się prawami przypadku i chaosu. Z jednego niespójnego wątku wynika kolejny. Chaotyczne myśli wyrażane są przez równie nieuporządkowaną mowę, nieliczącą się z gramatycznymi i interpunkcyjnymi regułami, pełną kolokwializmów, emocjonalnych dialogów. Nieważne są następstwo zdarzeń i chronologia. Narrator dzięki swobodzie myśli może dowolnie przemieszczać się w czasie i przestrzeni, z teraźniejszości przenosić się do opisu minionych wydarzeń. A jednak jest coś, co łączy te rozwichrzone narracje i zagubionych w świecie bohaterów. Tym wspólnym mianownikiem jest pokrewieństwo, przynależność do jednej rodziny Niesztorów.

Narratorką i bohaterką pierwszej części powieści, dziejącej się 1 listopada 1947 roku, jest – najstarsza z rodziny – mecnasowa Wisia Niesztorowa. Poruszając się w ciągu jednego dnia w dobrze jej znanej przestrzeni mieszkania i najbliższego otoczenia, ciągle powraca myślami do przeżytych w przeszłości chwil. Niczym w nerwicy natrętny wspomina własny związek małżeński ze Stefanem, analizuje momenty erotycznych spełnień, wspólne niedole i podejrzenia o zdradę. Tym typowo miłosnym rozterkom towarzyszą retrospekcje dotyczące życia rodzinnego i martyrologicznych sytuacji, na które podczas oku-

pacji i tuż po wojnie narażona była rodzina Niesztorów. Za scenami egzekucji i pacyfikacji podążają obawy o życie Stefana przesłuchiwanego przez gestapo. Na te tragiczne obrazy nakładają się lęki o, konspiracyjnego mimo zakończenia wojny, syna Jerzego, o którego dopytują się ubowcy, nazywając go bandytą za przynależność do Armii Krajowej. Jedną z większych rozterek narratorki staje się właśnie taki osąd podziemnego wojska polskiego. „Nie musi pani z takim naciskiem, że w polskim wojsku, my dobrze wiemy, jakie to było wojsko, bandyci!” – monologuje bohaterka. W tej pierwszej narracji znalazły się także dywagacje na temat ciągłego stanu wyjątkowego dla Polaków, wyjaśniające pochodzenie tytułu powieści Piotra Guzgo.

W drugiej narracji, prowadzonej 3 listopada 1945 roku, bohaterem jest Roman Niesztor, dipis poszukujący swojej dawnej ukochanej Oleńki, byłej więźniarki obozu koncentracyjnego. Chodząc po wszelkich tymczasowych instytucjach utworzonych w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec, analizuje własne okupacyjne losy. Jednak najbardziej obsesyjnie powracają do niego zapamiętane sceny romansu z Oleńką. W ten miłosny wątek wplótł się także motyw osobistej zemsty na rywalu Kosteleckim, nie tylko za uwiedzenie ukochanej, ale i za poniżenie, jakiego doznał Roman, gdy stanął w obronie żydowskiego studenta w czasach antysemickich pogromów na polskich uczelniach. Ironia losu sprawiła, że spotkał Kosteleckiego podczas poszukiwań Oleńki i stał się świadkiem jego zabójstwa, którego dokonali z zemsty współwięźniowie z obozu koncentracyjnego.

Monolog Romana na tle innych wątków wyróżnia się egzystencjalnymi rozterkami związanymi z pytaniem o to, jak żyć w Europie i Polsce po doświadczeniach ludobójstwa. Czy tragiczne przeżycia obozowe pozwolą ułożyć ludziom normalne życie, nienaznaczone wiecznym strachem i traumą? Pisarz nie podjął się udzielenia ostatecznej odpowiedzi. Druga narracja powieści posiada otwarte zakończenie, pełne niedopowiedzeń i możliwości: „może się wycofać? może tam jednak nie iść, co? nie, muszę, przecież, no muszę, przecież”.

Zupełnie innego rodzaju rozterki, bardziej moralne niż ideologiczne, nurtują narratora trzeciej części. Jej akcja dzieje się w ciągu jednego wigilijnego dnia 1957 roku, a więc w okresie popaździernikowej odwilży. Niesztorowie spotkali się z okazji Świąt Bożego Narodzenia w majątku rolnym zarządzanym przez Romana, który jednak potrafił ułożyć sobie życie w nowej polskiej i socjalistycznej rzeczywistości. Zgoła inaczej wygląda pełna dylematów i wątpliwości egzystencja Jerzego, wypuszczonego z więzienia, w którym odsiadywał wyrok za uczestnictwo w akcjach dywersyjnych poakowskiego oddziału partyzanckiego. Moralne rozterki nie dają Jerzemu spokoju. Z powodu jego odmowy zastrzelenia pepeerowskich działaczy i ostrzeżenia ich w obławie rozbity został cały oddział, a sam Jerzy aresztowany przez bezpiekę. Nawet po latach narrator nie jest pewny, czy postąpił właściwie, nie przewidując najgorszych konsekwencji własnego zgodnego z moralnością postępowania. Ulgi nie przyniosło mu nawet odsiedzenie wyroku ani zwolnienie dzięki amnestii. Tym bardziej nie może pogodzić się z pozornymi politycznymi zmianami, jakie zaszły w kraju w 1956 roku i pozornym ułaskawieniem, bo nadal dręczy go potężne niezmarywalne poczucie winy. Śpiewane kołędy także nie przynoszą ukojenia.

Powieść kończy się narracją prowadzoną przez Wandę Niesztorównę w ciągu jednego dnia – 23 czerwca 1966 roku. Akcja osnuta wokół procesu zbrodniarza wojennego Wieshofa jest mocno odrealniona. Trudno zorientować się, które dywagacje bohaterki są wytworami jej fantazji, a jakie wydarzyły się naprawdę podczas okupacji. Zwłaszcza wyznania narratorki o tym, że jest córką obozowego oprawcy, przypominają urojenia osoby oszalałej od nadmiaru nieszczęść. W fantazmatycznym monologu bohaterki znalazło się jednak sporo realistycznych wzmianek o losach poszczególnych członków rodziny Niesztorów, co udanie zamyka wcześniej rozpoczęte wątki, czyniąc powieść bardziej spójną.



# To tylko poezja

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

**U**kład scalony Jana Barona wyróżnia bezpośredniość. Ujawnia się ona zwłaszcza w wierszach, w których podmiot liryczny ustawia siebie w roli obserwatora rzeczywistości. Pod sprawozdawcze, czasami jedynie opisowe wiersze, pozbawione uczuć i emocjonalnego zaangażowania, zostały podłożone zwyczajne, ludzkie dramaty. Ostatecznie: tam gdzie „ja” liryczne chce być najbardziej zdystansowane, tam najpełniej i prawdziwie siebie odsłania.

Przez pojawiające się w tych utworach proste, powszednie scenki przeziiera lęk podmiotu. Niepokój wzbudza w nim codzienność, w której życie spotyka się ze śmiercią, szczęście z żalobą, sprawiedliwość z niesprawiedliwością, miłość z nienawiścią, prawda z kłamstwem. Dla poety nie są to pojęcia abstrakcyjne. Przeciwnie: są substancjalne, odnoszą się do rzeczywistości jako bytu. Choć ona rani,

„rozwała”, jest w swej istocie niezrozumiała, człowiek musi w niej żyć i się z nią zmagać.

Słowem-kluczem wierszy *Układu scalonego* jest „ojciec”. Prowadzi ono do prywatnej sfery „ja” lirycznego. Poeta odsłania skomplikowaną relację pomiędzy ojcem a synem: „Szanowny Panie zwany ojcem, proszę / więcej do mnie nie pisać”, przedstawia irytujące natręctwa pierwszego: „prowadził śledztwa w sprawie zaginionych / skarpetek i nożyczek (...) / kręgów po filiżance bez spodka na stole”, jego schematyczność połączoną z zafalszowaną pobożnością: „Życie ojca toczy się w regularnym rytmie. / Odmawianie modlitw: jutrzni po obudzeniu; niesporów w środku dnia; komplety przed snem. (...) Byłby lepszym księdzem / niż mężem”. Okazuje się, że niechęć do ojca ma tu swoje o wiele głębsze podłoże. Wycofując podmiot w cień, umiejscawiając go „na zewnątrz”, poeta pozwala mówić mu najwięcej i najbardziej otwarcie. W ten sposób mamy szansę sięgnąć do początków bolesnej historii „ja” (porzuconego albo odrzuconego): „Syn bacznie obserwował peron, na którym, / gdy konduktor ogłosi odjazd, migną: biała czapka ojca, plecak, jaskrawa flanelka. / Syn zostanie wśród obcych, złych ludzi”. Ale i ten pokoleniowy konflikt nie będzie trwał wiecznie, zapewne przerwie go śmierć. Wymownie wybrzmiewają tu wiersze z utworu *Rozwiązanie*: „(...) Jeśli / istnieje takie miejsce, punkt, pył w przestrzeni, / ojciec, syn ma pewność, to prosta, / która go z nim połączy”.

Śmierć łączy, ale i rozdziela. Niebывale poruszające w tomiku Barona są – wypowiedziane w pierwszej, a nie jak poprzednio w trzeciej osobie – wiersze o chorobie siostry. „Jesteśmy w coraz innym martwym punkcie” – napisze poeta. Jest empatyczny. Swoją sprzeciw wobec umierania może jednakże wyrazić tylko w gestach, czynach, w niczym więcej: „Zwykle strzygłem się krótko; / teraz chcę, by ogolono mi głowę, // nie powinienem mieć więcej włosów // niż ty, siostrze”.

Prostota i klarowność fraz wierszy Barona przekonują. Poeta niez czego w nich nie udaje, bo nie ma też ku temu powodu. „To tylko poezja, która nie ocala autora przed śmiesznością” – napisał. Autor *Układu scalonego* milczy, kiedy nie chce mówić wprost o swoich bolączkach. Tak się jednak złożyło, że wiersze, które mogłyby równie dobrze być osobno zapisanymi notatkami, tworzą nie tylko tytułowy „układ scalony”, ale także eksponują prawdy, o których na co dzień się nie myśli. I chociaż są oczywiste, często się o nich zapomina.

Jan Baran: *Układ scalony*. Szczecinek 2015, ss. 44.

[www.poradniajezykowa.pl](http://www.poradniajezykowa.pl)

## Co zdejmuje zdjęcie?

**D**laczego na fotografię po polsku mówi się *zdejęcie*? Zanurzeni we współczesności z pewnością się tego nie dowiemy, trzeba zanurkować w historii. Wielką pomocą w rozwiązaniu tej zagadki są starsze słowniki języka polskiego.

Rzeczownik *zdejęcie* w znaczeniu ‘fotografia’ odnotowany jest – siłą rzeczy – dopiero w słownikach XX-wiecznych, ale był używany już w wieku XIX, czego dowodzi przykład: *Sami się w różnych pozach zdejmowaliśmy* pochodzący z pamiętnika z lat 1863 – 1870 zamieszczony w „Słowniku języka polskiego PAN” pod red. W. Doroszewskiego (przy definicji *zdejmować się – zdjąć się*: potocznie ‘fotografować jeden drugiego, dać się fotografować’). Znaczenia fotograficznego nie notuje jeszcze ani „Słownik języka polskiego” Samuela Bogumiła Lindego, wydany w latach 1807 – 1814, ani „Słownik języka polskiego” (tzw. wileński) pod red. A. Zdanowicza (i in.), wydany w Wilnie w 1861 roku, który pod hasłem *zdejęcie* zamieszcza definicję ‘sam wizerunek narysowany z czego’. Dopiero w wydanym w 1927 roku VIII tomie „Słownika języka polskiego” (tzw. warszaw-

skiego) pod red. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego umieszczono definicję „rysowniczą” ‘rysunek wprost z osoby, z przedmiotu zrobiony, plan miejscowości w takiż sposób sporządzony’ z przykładem: *Geologiczne [tak!] zdjęcia kraju prowadzone będą dalej*, a obok niej dla czasownika *zdejęcie fotograficzne* z definicją ‘fotografia kogo, czego’. Pod czasownikowym hasłem *zdjąć* w jednym ze znaczeń czytamy natomiast, iż w znaczeniu fotograficznym istniało połączenie *zdjąć fotografię z kogo, z czego* ‘sfotografować kogo, co, sportretować za pomocą fotografii, dokonać zdjęcia fotograficznego, odfotografować kogo, co’ oraz dla czasownika *zdejęcie się* znaczenie fotograficzne ‘odfotografować się’ z przykładem: *U kogoś się zdejmowała?*

Słownik pod red. W. Doroszewskiego traktuje fotograficzne znaczenie *zdjąć* jako użycie potoczne ‘robić zdjęcie, fotografować’, np. *Zostałem zdjęty w dwóch pozach: en face i z profilu* (1908), inne przykłady pochodzą z lat 1900 i 1936; słownik ten notuje także przestarzałe już ówczesne znaczenie ‘robić szkic, plan czego, dokonywać pomiarów; odtwarzać’ z przykładami z listów Sien-

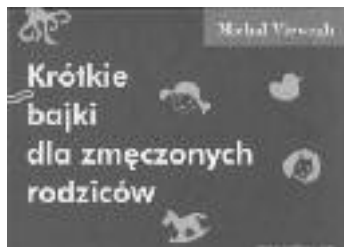
kiewicza: *Chciałby także być malarzem i zdejmować widoki górskie*, Słowackiego: *Goethe najgrzeczniej ich przyjął i prosił Mickiewicza, żeby mu pozwolił kazać zdjąć jego portret*, z prozy Adolfa Dygasińskiego żyjącego w latach 1839 – 1902: *Muszę zdjąć rysunek z tych sklepów na podcieniach i inne*.

Z przytoczonych definicji i przykładów jasno wynika, że *zdejęciem*, *zdejmowaniem* pierwotnie nazywano jedynie wierne odwzorowanie rzeczywistości za pomocą rysunku, następnie zaś – po wynalezieniu i upowszechnieniu fotografii – nazwę tej czynności stopniowo przenoszono na nową technikę utrwalania obrazu świata. Stopniowo, bo najpierw długo w użyciu było połączenie *zdejęcie fotograficzne*, które spotkać można jeszcze w powojennej prozie (np. w powieściach Mariana Brandysa „Śladami Stasia i Nel” z 1961 roku oraz „Z panem Biegankiem w Abisynii” z 1962 roku). Później, zgodnie zresztą z tendencją do skrótu, używano już rzeczownika odczasownikowego *zdejęcie*. Współczesne słowniki odsyłają przy hasle *zdejęcie* do czasownika *zdjąć*, choć pewnie mając obecnie aparaty fotograficzne w smartfonach i tabletach, nie myślimy, że *zdejmujemy* obraz świata, aby zachować go w pamięci. Jak pisał Daniel Kahneman w „Pułapkach myślenia”: *Robiący zdjęcie nie postrzega widoku jako chwili, którą należy smakować, lecz jako przyszłe wspomnienie, które trzeba zapamiętać*.

KATARZYNA WYRWAS

# KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



**Michal Vievegh:**  
*Krótkie bajki dla zmęczonych rodziców.*  
Przeł. Andrzej Babuchowski.  
Wyd. CZUŁY BARBARZYŃCA,  
Warszawa 2015, s. 72.

Przed jakimś czasem dowiedziałem się, że Michal Vievegh jest najczęściej czytany przez swoich rodaków czeskim pisarzem. Poszukałem więc jego książek, aby uzupełnić brak w swojej edukacji. Pierwsza z pozycji, na które trafiłem trochę mnie zirykowało. Taki postmodernizm, niby trochę „wzięty w cudzysłów”, ale jednak. Natomiast *Krótkie bajki*... po prostu mnie zachwyciły, urzekły, oczarowały. Najkrócej mówiąc to literatura „familijna” i o rodzinie. Autor w prześmiesznym wstępie kierowanym „do zmęczonych rodziców” pisze, że w druku innym kolorem zaznaczone są fragmenty, które można w czasie czytania dzieciom pominąć. Historyjki opowiadane przez Vievegha dotyczą czteroosobowej rodziny. Jest tatuś – aktor teatralny i filmowy, występujący także w dwóch telewizyjnych serialach, co oczywiście sprawia, że jest osobą sławną. Mamusia pracuje w aptece i nie cierpi kobiet, które zaczepiają tatusia na ulicy, aby się z nim sfotografować. No i są jeszcze Kasia i Basia, córeczki (4 lata, 2 lata). Poszczególne rozdziały opowiadają czytelnikom, ale i dzieciom bohaterów jak tatuś i mamusia się poznali, jak się pokochali, jak tatuś zwariował, jak wyglądał obiad we włoskiej restauracji (bardzo – ku niezadowoleniu tatusia eleganckiej, czyli drogiej), o tym, jak się pisze listy do Dzieciątka itd. itp. Wszystko to bardzo śmieszne i dla najmłodszych i – na nieco innym poziomie – dla dorosłych. Przy czym „zmęczeni rodzice” mogą potraktować te „krótkie bajki” jako rodzaj poradnika pokazującego np. jak rozmawiać z dziećmi. Książeczkę przetłumaczył świetnie Andrzej Babuchowski, nasz kolega i współpracownik; wyobrażam sobie, że praca musiała go tym razem bardzo cieszyć. Gorąco polecam tę pozycję nawet czytelnikom wypoczętym i bezdzielnym.



**U źródła. Żubry murckowskie.**  
Wyd. Urząd Miasta Katowice  
i Rada Jednostki Pomocniczej 18,  
Katowice 2015, s. 150.

Książka to dość niezwykła. Jest plonem konkursu plastycznego, fotograficznego, literackiego i naukowo-badawczego „Żubry potrzebują Indian” skierowanego głównie do uczniów i nauczycieli. Poza tą częścią – nazwijmy to – artystyczną, zawiera także historię sprowadzenia 150 lat temu żubrów do Murcek. Tam trafiły z Białowieży zanim przeniesiono je do lasów pszczyńskich. I można powiedzieć, że przyczyniły się do ocalenia tego gatunku przed całkowitym wymarciem. Pasjonujący jest tekst dr. Jerzego Parusela *Żubry w Murckach – początki restrykcji gatunku*, z którego dowiadujemy się, że wszystkie żubry na świecie, pochodzą od tych murckowskich, ba! – wszystkie mają w sobie geny jednego byka – Plebejera. Znamy jego imię, bo żubry od końca XIX wieku mają swoje księgi rodowodowe. Książka jest bogato ilustrowana zdjęciami, ale także pracami plastycznymi dzieci. Bardzo ciekawe.



**Agata Dawidko,  
Maria Lipok-Bierwaczek:**  
*Z Tyszkciem i Alą na tyskich ścieżkach.*  
Wyd. Urząd Miasta Tychy,  
Tychy 2016, s. 88.

Ignowu coś dla dzieci. Specjalnie dla nich napisany przewodnik po Tychach i okolicy, ale mówiący też o historii, kulturze i sztuce. Na początku myślałem, że Tyszko będzie jakąś postacią bajkową, skrzatem oprowadzającym Alę po mieście. Okazało się, że to jej rówieśnik, dziesięcioletek imieniem Tymeck. Tyszkciem zaś zgodził się łaskawie zostać po tym, jak dzieci dowiedziały się, że nazwa Tychy pochodzi, według jednej z hipotez profesora Jana Miodka, od osady, w której mieszkali potomkowie Tymoteusza, na którego wołano Tycho (podobnie jak Stanisława Stachem). Książka złożona została z krótkich tekstów odpowiadających na rozmaite pytania. Na przykład: Co płynie w Tychach? Czy Tychy są stare, czy nowe? Czy w Tychach mieszkał kiedyś książę? Co gra w tymskim herbie? Co produkuje się w Tychach? Ponadto znajdziemy tu opowieści o tajemniczych miejscach, kościołach, budowanych po wojnie osiedlach, przyrodniczych osobliwościach, powstaniach śląskich, klubach sportowych itd. itp. Tekstom towarzyszą liczne zdjęcia, ale są też ilustracje Agnieszki Czyżewskiej, którą śmiało można nazwać trzecią autorką tego przewodnika. To jeszcze nie koniec atrakcji. Do książki dołączona została gra planszowa „Dookoła Tychów z przygodami”. Co pewien czas pojawiają się w tym przewodniku dla dzieci także krzyżówki pomagające w utrwaleniu nabytych podczas lektury wiadomości. Książka pożyteczna, bardzo pięknie wydana, przez co przyciągająca młodych czytelników. Nie byłoby źle gdyby inne miasta poszły za przykładem Tychów i opublikowały własne przewodniki adresowane do młodych, w atrakcyjny sposób pokazujące im historię, zabytki i współczesność ich miejsca. Tak pojęta edukacja regionalna z całą pewnością zasługuje na uznanie.



**Zhu Song: Chińczycy.**  
[Seria: Przewodnik ksenofoba]  
Wyd. „finebooks”,  
Warszawa 2011, s. 96.

Ta książeczką trafiła do mnie późno, kilka lat po wydaniu. Trudno było ją wypatrzyć w powodzi kolorowych agresywnych okładek. Zdecydowałem się jednak na jej polecenie, choćby ze względu na fakt, że należy do serii, w której już ukazały się publikacje poświęcone Anglikom, Francuzom, Niemcom, Polakom itd. To książka, która zainteresuje wszystkich, których ciekawia Chiny. Nie jest to reportaż, nie jest to turystyczny poradnik, nie jest to też jakiś leksykon „na temat”. Autorka, Chinka o poetyckim imieniu Bambus zajmuje się pokazywaniem chińskiej mentalności, tradycji, kultury w konfrontacji z barbarzyńcami, czyli ludźmi Zachodu. Dla zachęty dwa cytaty: „Każdy, kto nie miał szczęścia urodzić się Chińczykiem, jest obcym diabłem.” „Chińczycy zjedzą wszystko, co ma nogi, oprócz stołu, i wszystko, co ma skrzydła, prócz samolotu.”

# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Szuka

Jacek Sikora



Fot. Agnieszka Ociepa-Weiss, zbiory MM Tychy

Pomnik z granitu z inskrypcją poświęconą Emilowi Pittermannowi, nadleśniczemu w Murckach oraz inspektorowi leśnemu w służbie księcia Jana Henryka XI Hochberga. Pomnik znajduje się na terenie Leśnictwa Kobiór.

Pod patronatem „Śląska”

## 102 tytuły zgłoszone do Nagrody „Juliusz”

**RYBNIK.** To zaskakujący sukces nowej inicjatywy literackiej! 23 lutego upłynął termin nadsyłania książek do Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”. Książki napływały do Rybnika całymi kartonami z różnych stron Polski – z regionu Raciborza, Pszowa, Katowic, Mikołowa, Tychów; z dużych aglomeracji, takich jak: Warszawa, Wrocław, Kraków, Łódź, Gdynia. Pojawiły się też propozycje z najdalszych zakątków kraju – z Brzegu, Olkusza, czy Świdnicy.

Dominowały tomiki poezji. Nie zabrakło opowiadań, esejów, powieści – szczególnie kryminałów. Nadsyłano również bajki, czy biografie. Zgłoszeń dokonywały głównie wydawnictwa, ale książki nadsyłali również autorzy, biblioteki, stowarzyszenia, galerie. Do konkursu zgłoszono 102 tytuły. Nadesłano m.in. pozycje tak poczytnych autorów, jak: Szczepan Twardoch, Katarzyna Bonda, Anna Janko, Michał Witkowski, Marcin Zagadło, Wojciech Chmielarz, Ziemowit Szczerek.

Pierwsze posiedzenie jurorów odbędzie się od 8 do 10 kwietnia br. Zwycięzca konkursu zostanie wyłoniony 16 października podczas finału Rybnickich Dni Literatury.

Pod patronatem „Śląska”

## Tajemnice Puszczy Pszczyńskiej

**TYCHY.** Do 2 lipca w Muzeum Miejskim w Tychach – Stary Magistrat można oglądać wystawę pt. „Tajemnice Puszczy Pszczyńskiej”. Tak pisze o niej Agnieszka Ociepa-Weiss, autorka ekspozycji: „Wielu mieszkańców Śląska, a także innych części Polski, odwiedziło już i poznało dzieje zamku pszczyńskiego, gościło w Zameczku Myśliwskim Promnie czy też dowiedziało się, jak warzone jest piwo w tymkim browarze, którego początki sięgają XVII wieku. O historii tej części Górnego Śląska przypominają jednak nie tylko zabytkowe budynki, które zajmują ważne miejsce w przestrzeni danej miejscowości. To także Puszcza Pszczyńska bogata w obiekty nierozzerwalnie związane z historią i tradycjami regionu. Są to m.in. dziewiętnastowieczne kamienne pomniki z inskrypcjami i kapliczki, często nawiązujące do ważnych wydarzeń, a także schrony z lat II wojny światowej.

O historii puszczy przypominają pradawne nazwy obszarów leśnych (tzw. mieczysk), którymi nadal posługuje się miejscowa ludność, a które odczytać można na starych mapach. Na wystawie obok obiektów dokumentujących historię Puszczy Pszczyńskiej, zwiedzający będą mieli okazję obejrzeć filmy autorstwa Andrzeja Brandysa, pokazujące życie leśnych zwierząt. Atrakcją wystawy będzie także prezentacja okazów takich jak dzik, daniel czy sowa, co z pewnością zainteresuje nie tylko najmłodszych gości. Ważnym eksponatem będzie róg myśliwski, tzw. plessówka, mający dla tyśzan symboliczne znaczenie. Wystawa bowiem ma również przypomnieć historię Tychów, dziś miasta z rogim myśliwskim w herbie, dawniej starej osady założonej przed wiekami w sercu Puszczy Pszczyńskiej”.

Prócz Agnieszki Ociepy-Weiss, autorami wystawy są Andrzej Brandys i Jan Gąsior.

## Katowice JazzArt Festival

**KATOWICE.** Festiwal (25.04 – 30.04) osnuty wokół obchodów Międzynarodowego Dnia Jazzu UNESCO, inspirację dla programu czerpie z idei, którą głosi kurator wydarzenia, Herbie Hancock. „Duch jazzu to duch otwartości” – te słowa pianisty stały się mottem zeszłorocznej edycji. W tym roku mottem są słowa Louisa Armstronga, które nawiązują do hamletowskiego pytania i są zarazem bezwarunkowym podsumowaniem: „To jazz or not to jazz, there is no question”.

Festiwal, jak mało innych wydarzeń jazzowych, wchodzi w częste relacje nie tylko z innymi gatunkami (world music, elektronika czy muzyka klasyczna), ale i formami artystycznymi. Po raz pierwszy zorganizowano wystawę grafik poświęconych jazzowi („Graphicology”). Pokazane zostaną także filmy o tematyce muzycznej.

Festiwal rozpocznie i zakończy się silnym skandynawskim akcentem, czyli The Thing i Selvhenter. Oba zespoły są znane nie tylko fanom muzyki improwizowanej, ale i bywalcom OFF Festivalu. Poza tym: komiksowa Brukselska Orkiestra Jazzowa, zjawiskowa Yamin Levy oraz żywa legenda, czyli Jack DeJohnette. Gwiazdy na dużych scenach wspierać będą klubowo rodzimi, jedni z najciekawszych artystów młodego i średniego pokolenia. Czeką nas także katowicka premiera tria RGG. Silna reprezentacja żeńska, energia i interdyscyplinarny dialog to domena festiwalu, wypracowana podczas ostatnich edycji. Warsztaty dziennikarskie poprowadzone przez Andrzeja Henkina z The NYC Jazz Record będą zaś polem dla wypowiedzi specjalistów, głównie krytyków jazzowych.

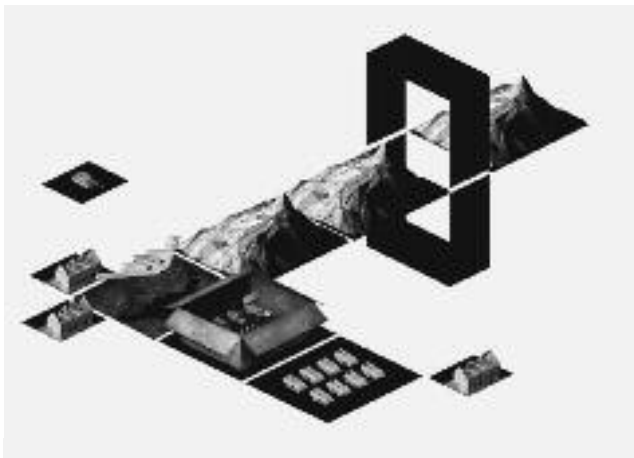
Szczegółowy program na stronie internetowej Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów [www.miasto-ogrodow.eu](http://www.miasto-ogrodow.eu)

## Odnowili sarkofag króla Stefana Batorego

**TYCHY.** Do 15 lutego w Katedrze na Wawelu, w Kaplicy Wazów można było podziwiać odnowiony sarkofag króla Stefana Batorego. Renowację przeprowadziła Pracownia Agnieszki i Tomasza Trzósów w Tychach. Agnieszka Trzós jest wykładowcą ASP w Katowicach. Podczas prac drewnianą skrzynię, na którą nałożone były cynowe ozdoby, zastąpiła specjalnie zaprojektowana konstrukcja ze stali nierdzewnej. Konserwatorzy przywrócili też polichromie, złocenia i zrekonstruowali detale elementów rzeźbiarskich, opierając się o dokumentację sporządzoną w 1877 r. przez prof. Józefa Łepkowskiego. Na wieko sarkofagu wrócił portret króla Stefana Batorego. To kopia wykonana przez dr Ewę Wilkojcę według zachowanej podobizny władcy. – *Patrząc na sarkofag z podziwem. Stan obecny nie ma się nijak do stanu wyjściowego. Konstrukcja, która znajduje się wewnątrz jest tak przemyślana, że cynowe blachy w ogóle nie pracują, co wcześniej było ogromnym problemem, bo były poprzekane śrubami, wypaczały się i krzywiły* – mówił dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu prof. Jan Ostrowski.

## Kamil Kocurek: Topografia wojny

**KATOWICE.** W Galerii Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum można było oglądać wystawę grafiki Kamila Kocurka *Topografia wojny*. Kamil Kocurek (ur. w 1960 r. w Tychach) jest absolwentem katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom z grafiki warsztato-



Kamil Kocurek z cyklu *Topografia wojny*



Marta Łuka na wystawie pokonkursowej, z tyłu od lewej prace: Marty Łuki, Roberta Kutya i Tomasza Wiktora

wej – wyróżniony i nagrodzony medalem – uzyskał w 2015 r. w pracowni prof. Jana Szmatlocha. Pracuje jako asystent w Pracowni Rysunku i Malarstwa dr. hab. Dariusza Syrkowskiego w ASP w Gdańsku. Stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (2013), laureat wielu nagród i wyróżnień, wśród nich nagrody głównej wystawy *Najlepsze dyplomy Akademii Sztuk Pięknych 2015* w Gdańsku, Grand Prix katowickiego Triennale Grafiki Polskiej (2015), nagród głównych w I Ex Libris International Granada Contest (Hiszpania, 2014) i Hong Kong Graphic Art Fiesta (Hong Kong, 2014), Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2013). Uczestniczył w ponad 50 wystawach w kraju i za granicą.

## Sukces Marty Łuki

**TYCHY.** W ubiegłym roku Muzeum Fryderyka Chopina rozpisало konkurs na portret Fryderyka Chopina. Do udziału w nim organizatorzy zaprosili młodych twórców (do 36 roku życia), oczekując *refleksji nad własnymi postawami wobec tego najwybitniejszego polskiego twórcy. Do refleksji nad aktualnością jego osobowości i muzyki.* Pierwszy etap zakończył się w listopadzie wyłonieniem 25 najlepszych prac. Wśród wielu profesjonalnych twórców znalazła się grafika wykonana techniką „suchej igły”, autorstwa 15-letniej tyszanki Marty Łuki. 7 grudnia jury w składzie: prof. dr hab. Maria Poprzeczka, prof. John Rink, Magdalena Heliasz, dr Agata Szydłowska, Piotr Janas, Maciej Janicki (kurator Muzeum Fryderyka Chopina), Marta Tabakiernik ogłosiło wyniki przyznając trzy drugie miejsca *ex aequo*: Marcie Łuce, Robertowi Kucie, Tomaszowi Wiktorowi. 1 marca w Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie odbył się wernisaż prezentujący najciekawsze prace nadesłane na konkurs. Mimo młodego wieku w artystycznym CV Marty Łuki znalazły się już: główna nagroda w konkursie na lalkę teatralną (Teatr Baniałuka), nagrody w częstochowskich konkursach „Inne spojrzenie” oraz tycznych „Z chlubnych kart i miejsc narodowej historii” i „Muzyka i obraz”. Zbieżność nazwisk laureatki i naszego redakcyjnego grafika nie jest przypadkowa. Marta odziedziczyła po ojcu nie tylko talent, ale i pasję. Życzymy kolejnych artystycznych trofeów.

## Miłosz Wojciecha Prażmowskiego

**KATOWICE.** „Miłosz. Tutejszy” to projekt Wojciecha Prażmowskiego, prezentujący miejsca związane z życiem i twórczością Czesława Miłosza. Jest to imaginacyjna wędrówka tropem Mistrza po ważnych dla poety miejscach w Polsce i na Litwie. Autor wystawy przejechał ponad 7000 kilometrów od Litwy po Suwalszczyznę, wykonał blisko 3000 fotografii, odwiedzając dziesiątki miasteczek. Ideę wystawy stanowi przenikanie się kultur, przekonanie o *tutejszości*. Gdy Miłosz jest w Berkeley – jest *tutejszy*, gdy jest w Krakowie – jest *tutejszy* i na Litwie – także. W tej wystawie, Miłosz jest bez paszportu. Ważna jest jego poezja, proza, które mają i będą miały wymiar ponadczasowy, uniwersalny, do smakowania – od Tomaszowa, po Kłajpedę i Sydney. Pracując nad wystawą Prażmowski, często celowo, dążył do unifikacji obrazów, prawie do symetrycznych zestawień, aby pokazać, że pejzaż spod polskich Szypliszek jest podobny do tego spod litewskich Kiejdan, barwa jeziora Holny identyczna z kolorem Wilejki, drzewa w Tauryskach i Podkormorzanka – takie same.

## Powstaje Tyski Słownik Biograficzny

**TYCHY.** Muzeum Miejskie w Tychach rozpoczęło prace nad tyskim słownikiem biograficznym. Do współpracy zaprasza wszystkich tyszczan interesujących się historią miasta. Propozycje biogramów mogą być nadsyłane do końca maja. Jest wiele postaci ważnych dla Tychów, które z upływem lat zostały zapomniane, a informacje na ich temat pozostały w pamięci nielicznych osób. Są to m.in. nauczyciele, artyści, lekarze, urzędnicy, działacze społeczni, harcerze i wiele innych postaci. Zamieszczenie w słowniku ich biogramów pozwoli na upowszechnienie wiedzy na ich temat wśród szerszego grona czytelników. Obok uzasadnienia, dlaczego dana postać powinna znaleźć się w słowniku, ważne będą również informacje biograficzne, takie jak: data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, wykształcenie, miejsce zatrudnienia, działalność społeczno-kulturalna, dorobek artystyczny, publikacje oraz inne osiągnięcia, przyznane ordery i odznaczenia, stypendia, nagrody itd., informacje o założonej rodzinie, data i miejsce śmierci. W słowniku zamieszczone zostaną biogramy niezujących już postaci ważnych dla historii Tychów (będą to zarówno osoby urodzone w Tychach oraz przybyłe do Tychów z innych miejscowości), z uwzględnieniem obecnych dzielnic miasta Tychy, które dawniej były samodzielnymi gminami (tj. Cielmice, Jaroszewice, Paprocany, Urbanowice, Wilkowyje). W słowniku znajdują się także biogramy osób, które urodziły się w Tychach, ale ich działalność i osiągnięcia nie są związane z rodzinnym miastem, a zasługują na upamiętnienie. Muzeum zastrzega sobie prawo wyboru biogramów do publikacji, a także prawo do ich zredagowania zgodnie z przyjętym wzorem not biograficznych. Propozycje można przysyłać na adres: a.ociepa@muzeum.tychy.pl lub dostarczyć osobiście do siedziby Muzeum w Starym Magistracie (pl. Wolności 1). Osobą koordynującą prace nad tyskim słownikiem biograficznym, udzielającą wszelkich niezbędnych informacji jest Agnieszka Ociepa-Weiss z Działu Historii Miasta – tel. 32 327 18 20-22, wew. 30.

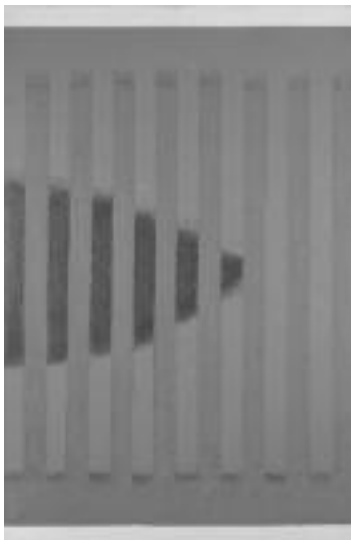
## NOTO ART 2 Zeszyty – Interakcja 2016

**KATOWICE.** W Galerii Intymnej Domu Oświatowego Biblioteki Śląskiej gościła wystawa prac pięciorga grafików związanych z Wydziałem Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, których łączy idea notacji artystycznych w formie zeszytów z odręcznymi szkicami i rysunkami. W ramach Międzynarodowego Triennale Grafiki artyści prezentowali swoje zeszyty jako zbiory matryce, odbitych w technikach graficznych (linorycie, litografii, wklęsłodruku, heliografii, sitodruku i druku cyfrowym), w których się specjalizują i z którymi eksperymentują od lat. Autorami wystawy byli: Jan Bujnowski (monotypia, linoryt), Halina Cader-Pawłowska (heliografia, druk cyfrowy), Przemek Liput (druk cyfrowy, Anna Sadowska (wklęsłodruk) i Paweł Weinreb (litografia, serigrafia).

*Pod patronatem „Śląska”*

„Ubu król” Krzysztofa Pendereckiego w Operze Śląskiej

**BYTOM.** 4 kwietnia w Operze Śląskiej w Bytomiu odbędzie się premiera opery „Ubu król” Krzysztofa Pendereckiego. Reżyserię i scenografię spektaklu powierzono Waldemarowi Zawodzińskiemu, cho-



Stefan Gierowski  
*Malowanie Dziesięciorga Przykazań*



Dom Pamięci Żydów Górn Śląskich,  
nowy oddział Muzeum w Gliwicach



Yab Yum  
praca Agnieszki Nowińskiej

Fot. Muzeum w Gliwicach

reografię – Janinnie Niesobskiej (to duet znany z inscenizacji „Don Carlosa”, która w 2011 r. nagrodzona została Złotymi Maskami w kategoriach *Przedstawienie Roku* oraz *Reżyseria*; otrzymała też Teatralną Nagrodę Muzyczną im. Jana Kiepury w kategorii *Najlepszy spektakl*). Kierownictwo muzyczne objął Jurek Dytał, a kostiumy zaprojektowała Maria Balcerek. Autorami libretta „Ubu Króla” są Krzysztof Penderecki i Jerzy Jarocki. Światowa prapremiera odbyła się 25 lat temu – 6 lipca 1991 roku w Bayerische Staatsoper w Monachium. Jej libretto oparte jest na sztuce francuskiego dramaturga Alfreda Jarry’ego pt. „Ubu Król, czyli Polacy” z 1888 r. Sztukę po raz pierwszy pokazano 10 grudnia 1896 r. w paryskim Théâtre de l’Œuvre i z uwagi na skandal, jaki wówczas wywołała, szybko zdjęto z afiszu repertuarowego. Piotr Kamiński w książce „Tysiąc i jedna opera” tak opisuje to dzieło: „Pisząc *Króla Ubu*, Penderecki wpiął się w figlarny prąd postmodernistyczny muzyki współczesnej, lubujący się w pastiszu i prowokacji. Oświadczył zresztą wprost, że pracując nad swym utworem od początku starał się iść w ślady samego Jarry’ego, drwiąc sobie z autorytetów, wielkich klasyków, lecz również i z siebie samego, z muzyki współczesnej i awangardy, zonglując najróżniejszymi konwencjami, czerpiąc pełnymi garściami z czterech wieków historii opery. Paradoksalnie, w tym doskonale sprzyjającym kontekście, kompozytor nie ucieka od żadnych cytatów, własnoręcznie wymierzając szturchańce – tym lub owym efektem melodycznym, harmonicznym, instrumentalnym czy rytmicznym – swym wielkim antenatom: Händlowi, Mozartowi, Rossiniemu, Verdiemu, Wagnerowi, Offenbachowi, Ryszardowi Straussowi, nie zapominając o Kurcie Weillu, Strawieńskim, czy niejakim... Pendereckim”.

## Dom Pamięci Żydów Górn Śląskich

**GLIWICE.** Dom Pamięci Żydów Górn Śląskich to nowy Oddział Muzeum w Gliwicach, który mieści się w odrestaurowanym Żydowskim Domu Przedpogrzebowym przy ul. Księcia Józefa Poniatowskiego 14. Misją placówki jest upowszechnianie wiedzy na temat historii Żydów na Górnym Śląsku oraz ich wkładu w rozwój naszego regionu. Tej tematyce poświęcona jest wystawa stała. Dom Pamięci Żydów Górn Śląskich będzie przestrzenią dialogu międzykulturowego, debat na temat tolerancji i koegzystencji różnych religii, kultur i narodów.

## Stefan Gierowski w Muzeum Archidiecejalnym

**KATOWICE.** W Galerii Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” w Katowicach gości wystawa malarstwa Stefana Gierowskiego za tytułowana „Malowanie Dziesięciorga Przykazań”. Stefan Gierowski urodził się w 1925 r. w Częstochowie. W latach 1945–1948 studiował malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie w pracowniach Zbigniewa Pronaszki, Karola Frycza, Władysława Jarockiego oraz równocześnie historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od 1949 r. mieszka w Warszawie. W latach 1962–1996 był związany z Akademią Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1983 r. został wybrany rektorem, ale władze państwowe odrzuciły jego kandydaturę. W 1986 r. otrzymał tytuł pro-

fesora zwyczajnego. Wystawa prezentuje cykl obrazów, które powstały w latach 1986–1987, tuż po stanie wojennym, kiedy ze względu na bojkot oficjalnych instytucji kultury, polscy artyści blisko współpracowali z Kościołem i często wystawiali w jego przestrzeniach. Dekalog Stefana Gierowskiego po raz pierwszy pokazany został w 1989 r. w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Od tego czasu gościł wielokrotnie, m.in. w Narodowej Galerii Sztuki Zachęta w Warszawie (1992) czy Muzeum Sztuki w Łodzi (2003). Obrazy z tego cyklu artysta opatrzył nie tylko kolejnymi liczbami rzymskimi, jak wszystkie swoje prace od końca lat 50., ale także tytułami – treścią *Dziesięciu Przykazań* według Biblii w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka wydanej w 1885 r. Inspiracją do powstania cyklu obrazów była *Tablica Dziesięciorga Przykazań*, namalowana pod koniec XV wieku przez anonimowego malarza gdańskiego dla Bazyliki Mariackiej.

## Zmarła asystentka Przybosia

**BIELSKO-BIAŁA.** 26 lutego zmarła najstarsza mieszkanka Bielska-Białej Marta Rożańska (ur. 15 czerwca 1910 r. we Frydku na Zaolziu). Jej ojciec pastor Andrzej Buzek wybudował we Frydku kościół ewangelicki, a po zajęciu Zaolzia przez armię czechosłowacką w 1919 r. wyemigrował z rodziną na ziemię administrowane przez władze polskie. Marta Rożańska w liceum cieszyńskim im. A. Osuchowskiego była uczennicą Juliana Przybosia, który ożenił się z jej szkolną przyjaciółką. Jeszcze przed wojną ukończyła anglistykę i germanistykę na UJ. Po śmierci męża Stanisława Rożańskiego w 1948 r. Julian Przybós zaproponował jej posadę sekretarki w ambasadzie polskiej w szwajcarskim Bernie, gdzie poeta był ambasadorem. Po przyjeździe do kraju w 1953 r. pracowała m.in. w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Po przejściu na emeryturę w latach 70. resztę życia spędziła w Bielsku-Białej.

## Wątroba ze Świerkiem

**BIELSKO-BIAŁA.** Rudzicki poeta, prezes Oddziału Śląskiego ZLP Juliusz Wątroba od lat jest zauroczony bielskim artystą-grafikiem Józefem Świerkiem (1935–2013). 23 lutego w Książnicy Beskidzkiej poeta zaprezentował plon swych fascynacji – książkę poetycko-plastyczną „W świerkowym gaju”. Zawarł w niej niemal 40 wierszy lirycznych inspirowanych grafikami swego bielskiego przyjaciela, które również można podziwiać na kartach książki wydanej przez Wydział Kultury UM w Bielsku-Białej. Juliusz Wątroba zawarł w publikacji także obszerny szkic biograficzny Józefa Świerka oraz fragmenty tekstów wspomnieniowych bielskiego grafika.

## Słońce w Kubiszówce

**BIELSKO-BIAŁA.** W marcu w Domu Kultury im. Wiktorii Kubisz w Bielsku-Białej, czyli popularnej Kubiszówce, swoje prace malarckie prezentuje absolwentka bielskiego „plastyka” Agnieszka Nowińska. Bielska artystka od lat mieszka zagranicą. Doktorat związany ze sztuką Tybetu obroniła z wyróżnieniem w ASP w Walencji





Marta Rożańska, pierwsza z prawej w pierwszym rzędzie

w 2006 r. Artystka powiada, że to właśnie pod wpływem hiszpańskiego słońca zmieniła punkt widzenia na malarstwo. Odąd zaczęła używać jasnych i mocnych kolorów. – Obecnie maluję wodą i oddechem, wydmuchuję cząstki farby i formuję na płótnie pożądany kształt – twierdzi Agnieszka Nowińska, która przez ostatnich kilka lat mieszka w Luizjanie. 3 marca w Kubiszówce odbył się wernisaż prac artystki połączony z wieczorem autorskim nowej książki poetyckiej Jana Pichety „złoty deszcz” ilustrowanej właśnie przez Agnieszkę Nowińską.

## Zawadzka rozświetla ciemność

**BIELSKO-BIAŁA.** Od 26 lutego do 28 marca potrwa w Galerii Bielskiej BWA wystawa obrazów i fotografii Ewy Zawadzkiej – absolwentki, a obecnie wykładowczyni katowickiej ASP, laureatki wielu międzynarodowych konkursów plastycznych. Ekspozycja prezentuje obrazy i fotografie z lat 2003–2015. Mottem wystawy jest łańciska sentencja „Sufficit unum lumen in tenebris” („Wystarczy jeden promień światła, aby rozświetlić ciemność”). W ten sposób artystka podkreśla niezwykłą rolę światła, a zarazem mroku, obecnych w jej dziełach.

## Wielkie sprzątanie

**BIELSKO-BIAŁA.** Aleka Polis to absolwentka Instytutu Sztuki UŚ w Cieszynie. Jest twórcą filmów dokumentalnych, wideo, animacji, performansów, sztuki cyfrowej i malarstwa. 22 lutego w Galerii Bielskiej BWA zaprezentowała performans pt. „Rosa Rotes Städtchen” – jedno z serii sprzątań w galeriach miejskich – pod artystyczną opieką Katarzyny i Zbigniewa Szumskich z Teatru Cinema w Michałowicach. To właśnie z K. i Z. Szumskimi opracowała specjalne gesty codzienności, które mają „odczarować” sprzątanie jako najmniej w hierarchii społecznej postrzeganą pracę. Tytuł działań nawiązuje do książki chińskiego pisarza Gu Hua o czasach rewolucji kulturalnej, niemieckich określeń lewicy oraz nazwiska komunistki Róży Luksemburg.

## Chłopiec z gwiazd

**BIELSKO-BIAŁA.** 28 lutego w Teatrze Lalek Białaluka odbyła się premiera spektaklu „Chłopiec z gwiazd” Oskara Wilde’a w adaptacji i reżyserii Olega Żugdy w przekładzie Marianny Lis i Lucynty Kozień – dyrektorki bielskiej sceny lalkowej. Scenografię stworzyła Larisa Mikina-Probodiyak, a muzykę napisał Bogdan Szczepański.

## O Jurze na Jurze...

**CZĘSTOCHOWA.** W Sali Śląskiej MGS do 28 lutego mogliśmy podziwiać efekty 41. Ogólnopolskiego Pleneru Malarstwa „Jurajska Jesień” Związku Polskich Artystów Plastyków. W tym roku wrześniowy plener odbywał się w Ojcowie, a jego komisarzem była Grażyna Tarkowska. Oprócz członków częstochowskiego okręgu w spotkaniu wzięli udział goście z okręgów: katowickiego, opolskiego, gliwicko-zabrzańskiego, oraz przedstawiciele Stowarzyszenia Marynistów Polskich – Dariusz Słota i Włodzimierz Kulej.



Łukasz Kolman w OPK Gaude Mater

Fot. Rafał Molenda

Artyści próbowali pokazać za pomocą rozmaitych technik i konwencji wciąż odkrywane piękno Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Były wielobarwne *Stalaktety* Grażyny Tarkowskiej, miniaturowe *Zdzisława Żmudzińskiego* czy charakterystyczne prace Anny Wawrykiewicz-Zakowicz. Rozpoznawalność warsztatu i dość stały skład artystów na kolejnych plenerach nie oznacza jednak monotonii wystaw. Bo w każdym roku pojawiają się nowe propozycje, świadczące o poszukiwaniach, odkryciach i olśnieniach. W tym roku oprócz rysunków i obrazów pojawiły się instalacje Janusza Pacudy czy Grażyny Tarkowskiej, tkaniny artystyczne Jadwigi Wosik oraz *Odlamki odlamu skały* Marka Mielczarka, czyli odnalezione fragmenty form kamiennych.

## Artystka wielotworzywowa

**CZĘSTOCHOWA.** 17 lutego w OPK Gaude Mater odbyła się promocja debiutu poetyckiego Aleksandry Anny Kowalskiej *W objęciach Boga, miniatury szpitalne*. Spotkanie prowadziła prof. Elżbieta Hurnik. Tomik powstał jako zapis doświadczenia choroby i przeżyć autorki-pacjentki (jedną z przedmiotów napisała znana w Częstochowie dr nauk medycznych Wanda Terlecka). Aleksandra Anna Kowalska jest absolwentką Wydziału Sztuki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie w zakresie malarstwa. Tu obroniła dyplom *Światło w dialogu z chwilą* (2013) w pracowni profesora Włodzimierza Karankiewicza i już wówczas obrazom towarzyszyły wiersze (wcześniej licencjat u prof. Krystyny Sz wajkowskiej z grafiki warsztatowej). Od półtora roku jest członkinią Związku Artystów Plastyków Polskich oddziału częstochowskiego. W czasie spotkania autorka ujawniała rozmaite talenty – czytała wiersze, prezentowała grafiki (zdobujące tomik), ale również śpiewała poezję wraz z zespołem Impast. To było naprawdę ciekawe spotkanie.

## Zainspirowany ikoną

**CZĘSTOCHOWA.** Jako podsumowanie półrocznego stażu w OPK Gaude Mater Łukasz Kolman zaprezentował 19 lutego swoje obrazy o tematyce religijnej, głównie pasyjnej, zachęcające również do kontemplacji w okresie Wielkiego Postu. To nie są typowe ikony, artysta nie jest kontynuatorem tradycji ikonopisania, bliżej mu raczej do Jerzego Nowosielskiego. Ważne jest dla niego światło, a sam obraz okazuje się pomostem między światem i tym, co niewidzialne. Była to kolejna sakralna opowieść malarza. W listopadzie 2014 prezentował swoje obrazy w Art-Foto Regionalnego Ośrodka Kultury wraz z fotografiami Krzysztofa Świertoka na wystawie *Dwie postawy*.

Łukasz Kolman jest częstochowianinem, absolwentem Zespołu Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego oraz Akademii im. Jana Długosza. Zajmuje się również rysunkiem, fotografią, kolażem i komiksem. Podczas wernisażu Tadeusz Piersiak, dyrektor OPK Gaude Mater, zapowiadał prezentację jego prac w Wejściówce.

## Literaccy blogerzy Częstochowy

**CZĘSTOCHOWA.** 9 lutego w barze Pestka dwoje częstochowskich blogerów – Sylwia Głuszko i Adrian Kyć (studenci III roku filologii polskiej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie) opowiedzieli o książkach, a przede wszystkim o swojej przygodzie recenzenc-



Spotkanie z Janem Cofalką z okazji ukazania się jego najnowszej książki „Ślązacy w świecie”



Fot. T. Purej

Zimowy Las Sztuki w Opolu

kiej. Różnią się od siebie stażem, a przede wszystkim doświadczeniem blogerskim. Adrian Kyc wszedł do krakowskiego projektu Tramwaj nr 4, Sylwia Głuszko sama tworzy oraz promuje Białe Mebelki. Polecają różnorodne książki – przede wszystkim nieco lżejszą literaturę do poczytania, choć Adrian Kyc sięga również po klasykę i literaturę dla dzieci i młodzieży (jako przyszły nauczyciel). Oczywiście, nie są to jedyni częstochowscy blogerzy. Z portalem lubimyczytac.pl współpracuje np. lapsus (Sławomir Domański).

Spotkanie zbiegło się w czasie z opublikowaniem w sieci raportu Instytutu Kultury Miejskiej na temat blogów o tematyce kulturalnej, w której wielokrotnie pojawia się Tramwaj nr 4, choć nie znajdziemy w nim nazwiska Adriana Kycia (to Secrus).

Rozmowę w Pestce moderował Bartosz Benduch, kolega z roku, ale także jeden z organizatorów Długosz. TV. Wtorkowym rozmowom o książkach towarzyszyły losowania książek, dyskusja o kanonie lektur szkolnych, która przekonywała, że jest to wciąż ważny temat dla młodych ludzi.

## Nagrodzona bajka

**CZĘSTOCHOWA.** 28 stycznia na Festiwalu Teatrów dla Dzieci w Nowohuckim Centrum Kultury bajkę *Niesamowite przygody Robaczka Klaczka* publiczność uznała za najciekawszy spektakl festiwalu. To propozycja barwna i smutno-wesoła, pełna piosenek i ruchu scenicznego. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie ma ją w repertuarze od 2012 roku. Autorem tekstu i reżyserem jest dyrektor teatru, Robert Dorosławski. Nie jest to pierwsza jego realizacja. Wcześniej przygotował adaptację *Trzech świnek* wg braci Grimm, a rok później napisał scenariusz na motywach opowiadań Włodzimierza Perzyńskiego *Galganiarza i Patyczka*, który również wyreżyserował.

Teatr im. Adama Mickiewicza w Nowej Hucie wystawił też *Jasia i Małgosię*, spektakl który powrócił w tym sezonie na scenę po kilku latach nieobecności. W festiwalu wzięły też udział teatry lalek z Kielc, Bielska-Białej, Rabki-Zdroju, Będzina i Rzeszowa.

## Zimowy Las Sztuki

**OPOLE.** Na scenie Teatru Eko Studio podczas dziewiątej edycji „Zimowego Lasu Sztuki”, którego kuratorem był Andrzej Lach, blisko 50 artystów opolskich oraz goście z Wrocławia, Torunia i Katowic, wystawili swoje najnowsze prace: rzeźby, grafiki, instalacje, obrazy i fotografie. Przewodnym motywem tegorocznej prezentacji była – aura. Andrzej Czernik, dyrektor Teatru Eko Studio otwierając wystawę powiedział – *to właśnie aura otacza nas i daje dużą wyobraźnię, dlatego dla artystów temat ten jest bardzo szeroki. Z roku na rok „Zimowy Las Sztuki” cieszy się coraz większym zainteresowaniem artystów i publiczności, która zwiedzając główną wystawę uczestniczyła w imprezach towarzyszących. Podczas spektaklu Teatru Jednego Aktu w siedmiu odsłonach Arkadiusz Branicki (fotografik) zaprezentował swoje najnowsze dzieło, natomiast Antoni Pikuta wystąpił w recitalu fortepianowym (utwory Chopina, Schumanna, Szymanowskiego). Organizatorzy imprezy przyznali nagrody honorowe *Eko Liście*, w kategorii liryka, epika i dramatu dla autorów prac które wywarły na nich największe wrażenie. Laureatami zostali: Beata Maciejewska (liryka) za rzeźbę „Błękitny Anioł”, Bartosz Posacki (dramat) za obraz „Lód” i Andrzej Ilski (epika) za instalację „Impresja”. Warto podkreślić, że prywatny Teatr Eko Stu-*

dio pomimo trudnej sytuacji finansowej sfery kultury, od wielu lat wzbogaca w znaczący sposób życie kulturalne Opolu, kreując wiele przedsięwzięć artystycznych na niwie teatru i sztuk plastycznych. W programie do „Zimowego Lasu Sztuki” organizatorzy napisali – *w tym lesie nie ma krętych dróg, ciemnych ścieżek i zewsząd czających niebezpieczeństw. Tu ukryła się Sztuka. Znani i cenieni twórcy, a także młodzi artyści, zamiast drzew zasadzą w Zimowym Lesie ziarenko swojej wyobraźni, które otacza artystyczna „aura” zmaterializowana w postaci różnych form artystycznego wyrazu.*

## Jan Cofalka o Ślązakach w świecie

**OPOLE.** Dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego Urszula Zajączkowska i prezes Opolskiego Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód Eugeniusz Brudkiewicz, zaprosili opolską publiczność na spotkanie z Janem Cofalką z okazji ukazania się jego najnowszej książki „Ślązacy w świecie”. Wcześniej w śląskiej serii autor opublikował „Księżkę Ślązaków” (2009) i „Ślązacy w Warszawie” (2008), za każdym razem wzbudzając tymi publikacjami duże zainteresowanie opolan, którzy po raz kolejny tłumnie przybyli na spotkanie z autorem, wypełniając salę odczytową Muzeum do ostatniego miejsca. Wiesław Myśliwski po lekturze książki „Ślązacy w świecie” napisał: *Pytanie, jakie zadałem sobie po przeczytaniu tej książki – czy jest region, który dalby Polsce tyle wspaniałych talentów i osobowości? Jakże często przy tym rozslawiający nas w świecie. I to w różnych dziedzinach, od sportu po muzykę. Byłbym skłonny sądzić, że nie ma. Przynajmniej jeśli chodzi o ostatnie stulecie. Słowa wybitnego pisarza potwierdziły znaczenie omawianej publikacji dla popularyzacji wiedzy o wybitnych osobowościach wywodzących się ze Śląska: artystach, naukowcach, kapłanach, sportowcach i społecznikach. Jan Cofalka opisał wiele barwnych postaci Ślązaków, którzy zdobyli uznanie i sławę zarówno w kraju jak i zagranicą. Autor wspominał podczas spotkania: *napisanie książki „Ślązacy w świecie” wymagało ode mnie żmudnej pracy, poszukiwania materiałów prasowych, sprawdzania wielu informacji u źródeł. Dzięki temu czytelnicy i uczestnicy spotkania autorskiego mogli poznać nowe wątki śląskich historii m.in.: Piotra Beczały, Ewy Demarczyk, Juliusza Grządzieli, o Leopolda Moczygemby, rodu Lipowczanów, Adama Makowicza, rodu Olszaków, o Edmunda Szeligi, prof. Floriana Śmieji, Ernesta Wilimowskiego i maestro Krystiana Zimmermana. Redaktor Cofalka odsłonił kulisy biografii bohaterów swojej nowej książki bez poszukiwania taniej sensacji, zachowując takt i władając lekkim piórem. Spotkanie autorskie prowadzili: prof. Michał Lis i prof. Stanisław Nicieja, a fragmenty książki „Ślązacy w Świecie” czytał Janusz Ireneusz Wójcik. Na zakończenie wieczoru długa kolejka czytelników ustawiła się do autorskiego stolika redaktora Jana Cofalki po autografy.**

## Sputnik nad Opolem

**OPOLE.** Festiwal Filmów Rosyjskich *Sputnik nad Polską – Sputnik nad Opolem* gościł w Narodowym Centrum Polskiej Piosenki oraz w kinie Meduza w Opolu. W programie Festiwalu zaprezentowano nowe propozycje kinematografii rosyjskiej z ostatnich dwóch lat: *Geograf przepił globus*, reż. Aleksander Wielebinskij, *Frankonia*, reż. Aleksander Sokurov, *Udar słoneczny*, reż. Nikita Michalkow, *Film o Aleksiejewie*, reż. Michaił Segal, *14+*, reż. Andriej Zajcew, *Malpki*, reż. L. Szwarcman, M. Miroszkina, *Muzykanci*



Aleksandra Urban

z *Bremy*, reż. I. Kowalewskaja, W. Liwanow. Na wszystkich pokazach publiczność wypełniła sale kinowe po brzegi, a po ich zakończeniu prowadzono dyskusje na temat prezentowanych filmów, połączone z konkursami nawiązującymi do ich fabuły. Oprócz filmów dla starszej widowni organizatorzy przygotowali w ramach *Malego Sputnika* projekcje filmów dla dzieci połączone z warsztatami plastycznymi. Festiwal *Sputnik nad Opolem* został zorganizowany przez: Stowarzyszenie Opolskie Lamy, Opolski Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, Instytut Sławytyki Uniwersytetu Opolskiego, Koło Naukowe Kultury Rosyjskiej Uniwersytetu Opolskiego, Akademickie Koło Artystyczne Uniwersytetu Opolskiego. Warto podkreślić duże zaangażowanie w realizację festiwalu ze strony młodego pokolenia animatorów kultury. Podsumowując pierwszą replikę Festiwalu Filmów Rosyjskich jego organizatorzy podkreślili, że filmy rosyjskie w polskim kinie oraz telewizji pojawiają się bardzo rzadko, zapewne dlatego, że starsze pokolenie z różnych powodów odnosi się krytycznie do filmów radzieckich, natomiast młodzi chcą poznać współczesną rosyjską kinematografię poszukując oryginalnych filmów, wartościowych pod względem artystycznym. Duże zainteresowanie ze strony młodych widzów zachęciło organizatorów *Sputnika nad Opolem*, aby w następnych latach kontynuować prezentację filmów rosyjskich w Opolu i wybranych miastach regionu.

## Będziński jubilat

**BĘDZIN.** W dziejach Muzeum w Będzinie rok 2016 będzie okresem szczególnym. Ta szacowana placówka świętuje bowiem 60. urodziny. 29 lipca 1956 roku w będzińskim zamku otwarta została pierwsza na terenie Zagłębia Dąbrowskiego muzealna placówka naukowo-badawcza. W 1957 r. decyzją ówczesnego ministerstwa kultury i sztuki instytucja została włączona do ogólnopolskiej sieci muzeów. Powierzchnie ekspozycyjne muzeum obejmowały wówczas wnętrza średniowiecznego zamku, o którym pierwsze wzmianki pojawiły się w 1349 roku. Wspominali o nim również Jan z Czarnkowa i Jan Długosz w spisie warownych budowli wzniesionych przez Kazimierza Wielkiego. Potężne zmiany organizacyjne w muzeum zapoczątkowało przyłączenie w 1983 r. do zasobów placówki będzińskiej perełki architektonicznej, czyli XVIII-wiecznego barokowo-klasykistycznego Pałacu Mieroszewskich wraz z okalającym go zabytkowym kompleksem parkowym, w którym zachowały się kamienne rzeźby Bachusa i Flory wykonane przez Jerzego Leonarda Webera w 1718 r. Obecnie muzeum oferuje także zwiedzania Domu Modlitwy „Mizrachi”, zrewitalizowane Wzgórze Zamkowe i Podziemia Będzińskie. Muzealnicy zapowiadają w roku jubileuszowym wiele atrakcji. Oprócz tradycyjnych imprez takich, jak Jarmark Rzemiosła i Rękodzieła czy Ogród Sztuki zaplanowano interesujące wystawy czasowe, warsztaty, wykłady, koncerty i wernisaże.

## Ars Ludens

**CZELADŹ.** W Galerii Sztuki Współczesnej Elektrownia w Czeldzi od 3 marca goszczą prace wykładowców i studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach oraz Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Ostrawskiego w Ostrawie. Wystawa „Ars Ludens” jest efektem współpracy obu uczelni. Składają się na nią grafiki, rysunki, malarstwo, instalacje, projekcje multimedialne, interaktywne gry



Wysokim odznaczeniem państwowym prezydent Andrzej Duda uhonorował m.in. prezesa Kongresu Polaków w RC, Józefa Szymeczka

multimedialne oraz planszowe gry manipulacyjne. W wernisażu uczestniczyli m.in. studenci, autorzy prezentowanych rysunków, grafik, projektów, gier oraz kierownik Katedry Intermediów i Scenografii ASP w Katowicach Dariusz Gajewski i Marek Sibinsky szef Katedry Grafiki i Rysunku z Uniwersytetu w Ostrawie. Autorami prezentowanych dzieł są: Jakub Cikała, Filip Gajewski, Jonasz Gajewski, Ola Kwiecińska, Patrycja Lisnikowska, Darek Łęczycycki, Milena Michałowska, Anna Pikuła, Kasia Pikuła, Julia Wójcik, Dorota Wróbel, Mateusz Ząbek, Simona Rrdáková, Nikos Eftimiadis, Darek Gajewski Zbynek Janáček, Radek Juřena, Iva Krupicová, Olga Moravcova, Li bór Novotný, Paulina Poczęta, Marek Sibinsky, Tomasz Tobolewski.

## Sztuczny Miód

**SOSNOWIEC.** Galerię Extravagance zawiązała Aleksandra Urban i jej dzieła zgrupowane na wystawie pt. „Sztuczny miód”. Artystka jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Zajmuje się malarstwem, grafiką oraz fotografią. Sztuka Aleksandry Urban stanowi artystyczną notatkę-komentarz wobec powszechnie panującego „stylu bycia” aktualnej nam społecznej rzeczywistości. Najczęściej ukazuje tematykę związaną z mroczną stroną społeczeństwa, które bezkrytycznie oddaje hołd światu wirtualnemu. Artystka inspirowana obrazami krążącymi w sieci globalnej, zwłaszcza tymi, które są świadectwem upadku wartości, porzucenia zmysłu krytycznego i zagubienia instynktu samozachowawczego. Przedstawienia epatują obrazami fantazji erotycznych, błazeńskich zachowań, tandety i okrucieństwa, stanowiąc doświadczenie krytycznej kondycji aktualnego społeczeństwa. Głównym atrybutem artystki jest niebanalna wyobraźnia wyrażona w sztuce poprzez bogactwo scen, ekspresję nasyconych barw oraz dynamikę układu przedstawień. Sztuka, którą uprawia Aleksandra Urban nie stanowi zapisu doświadczeń, doznań czy obsesji osobistych, lecz jest wyłącznie wynikiem połączenia umiejętności uważnej obserwacji otoczenia z jej talentem imaginacji.

## Prezydent Duda wśród rodaków

**ZAOLZIE.** 14 marca zawiątał do Pragi prezydent RP, Andrzej Duda, z małżonką. Dwudniową wizytę w stolicy Republiki Czeskiej para prezydencka rozpoczęła od spotkania z Polakami żyjącymi na Zaolziu i w innych regionach kraju.

Okolicznościowa uroczystość zorganizowana w Ambasadzie RP stała się m.in. okazją do wręczenia państwowych odznaczeń. Za wybitne zasługi w działalności na rzecz polskich środowisk w RC, za krzewienie polskiej kultury i tradycji narodowej uhonorowanych zostało dziesięć osób. Prezydent RP nadał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski prezesowi honorowemu Macierzy Szkolnej w RC, Janowi Brannemu, Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej odznaczeni zostali prezesi PZKO i Kongresu Polaków, Jan Rylió i Józef Szymeczka, natomiast Złoty Krzyż Zasługi otrzymali Wanda Fusek, ks. Bogusław Kokotek, Halina Niedoba, Adam Palowski, Andrzej Russ, Halina Twardzik i Henryka Zabińska. W drugiej części spotkania prezydent z małżonką czytali m.in. fragmenty „Pana Wołodyjowskiego” oraz „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Para prezydencka wysłuchała też mini-koncertu w wykonaniu uczniów Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie.

## Chcą odnowić ZLPC

**ZAOLZIE.** Trwają prace nad reaktywacją Zrzeszenia Literatów Polskich w Republice Czeskiej. Działalność tej istniejącej od około dziesięciu lat tylko na papierze organizacji zamierzają – przy współpracy z niektórymi zainteresowanymi dotychczasowymi członkami ZLPC – wznowić młodzi twórcy zrzeszeni w Grupie Poetyckiej „Poślizg”. Kolejne spotkanie grupy roboczej, która ma za zadanie przygotować wiosenne zebranie walne ZLPC odbyło się w sobotę w sali posiedzeń Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie. Wzięło w nim udział sześcioro „poślizgowców”, jak również reprezentujący średnie pokolenie zaolziańskich literatów Jacek Sikora, który będzie wspomagał młodych poetów m.in. w kontaktach z obecnymi członkami ZLPC. Podczas spotkania wyłoniono trzynosobową grupę (Ewa Furtek, Marta Różańska i Piotr Cielecki), której zadaniem będzie przygotowanie nowego statutu organizacji, regulaminu wewnętrznego oraz terminu walnego zebrania. – Liczymy tu na pomoc kierownictwa Kongresu Polaków, któremu zależy na reaktywacji organizacji literackiej, zwłaszcza zaś wiceprezesa Rady KP, prawnika Tomasza Pustówki – powiedziała nam po spotkaniu Ewa Furtek.

## Śladami zbójnika Ondraszka

**ZAOLZIE.** Kim byli beskidzcy zbójnicy, kogo napadali, na czym polegały ich magiczne praktyki i dlaczego pamięć o nich przetrwała stulecia? Tego wszystkiego dowiedzieli się uczestnicy seminarium pt. „Śladami zbójnika Ondraszka”, który w Hotelu „Pod akacjami” w Łomnej Dolnej zorganizowały Spółka Koliba i Ognisko Górali Śląskich w Koszarzyskach.

O słynnym harnasiu, od którego śmierci minęło w ubiegłym roku 300 lat, opowiadał Václav Michalička z Muzeum w Przyborze będącego oddziałem Muzeum Nowojičinska. W półtoragodzinnym wykładzie czeski etnograf nie tylko przybliżył postać Ondraszka, ale scharakteryzował też zjawisko, jakim było beskidzkie zbójnictwo. Ubolewał on jednak, że dziś wiedza o Ondraszku zanika. – Młodemu ludziom coraz częściej ta postać z niczym się nie kojarzy. To zupełnie inaczej niż na Słowacji, gdzie pamięć o Janosiku jest nadal żywa – przekonywał.

Jednym z gości seminarium był też gawędziarz i muzykant ludowy Otmar Kantor z Jabłonkowa, który urozmaicił spotkanie śpiewem góralskich i zbójnickich pieśni i grą na gajdach.

## W SKRÓCIE

■ „Dom duszy” to tytuł wystawy malarstwa Renaty Bonczar prezentowanej w Muzeum Zamkowym w Pszczynie.

■ Muzeum Historii Katowic zapraszało na cykl wykładów, a wśród nich m.in. na wykład Marcina Cyrana pt. „Pamiętniki Ludwika Anhalta” jako źródło do dziejów Górnego Śląska, wykłady dr. hab. Zygmunta Woźniczki poświęcone obrazowi Górnego Śląska w przemówieniach Wojciecha Korfańtego wygłoszonych w latach 1904–1918 w Reichstagu i Landtagu.

■ „Grupa Janowska 2016” prezentowała swój dorobek w Dziale Etnologii Miasta Muzeum Historii Katowic w Nikiszowcu.

■ Katowicka Strefa Kultury (obiekty Muzeum Śląskiego, Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Międzynarodowego Centrum Kongresowego), zostały nominowane w kategorii *Architektura* do nagrody „O” 2015 przyznawanej przez portal O.pl poświęcony kulturze.

■ Górnicza szczyta 355 metrów pod ziemią to najnowsza atrakcja zabrzańskiej Kopalni Guido.

■ Muzeum Śląskie zapraszało na kolejną odsłonę projektu „Kształt Rzeczy. O węgłu i porcelanie” autorstwa Rafała Urbackiego i Anu Czerwińskiego – przedsięwzięcia z pogranicza filmu, tańca współczesnego, scenografii, pracy naukowej i działań społecznych. To opowieść o pracy kobiet na Śląsku.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na promocję 16. Tomu „Zeszytów Chorzowskich” pod redakcją Jacka Kurka.

■ 1 marca rozpoczęła się osiemnasta Bielska Zadymka Jazzowa – Lotos Jazz Festiwal. Jej koncerty odbędą się w salach Bielska-Białej, schronisku na Szyndzielni i w NOSPR w Katowicach.

■ 11 lutego w salonie muzycznym Zamku Sułkowskich melodie ludowe Polski i Japonii oraz utwory klasyki sułkowskiej i współczesnej obu krajów zaprezentowali pianistka Miho Kurihara oraz tenor Piotr Nikiel.

■ W cyklu „Muzyka na zamku” w Muzeum w Bielsku-Białej 15 lutego znane arie operowe i operetkowe wykonali: sopranistka Joanna Korpiela-Jatkowska, tenor Mieczysław Błaszczyk i pianistka Agata Adamczyk.

■ Flecista Jacek Ostaszewski, perkusista Radosław Nowakowski i gitarzysta Marek Piątek to obecny skład legendarnej grupy Osjan, która 25 lutego zagrała dla bielszczan w tamtejszej Galerii BWA.

■ Mariusz Kubielas zaprezentował w lutym w Galerii Fotografii B&B Mały Wiedeń w Bielsku-Białej cykl fotograficzny „U Schulza”. To rezultat eksperymentu artystycznego, inspirowanego literaturą i plastyczną twórczością wybitnego drohobyżyczanina Brunona Schulza.

■ Z okazji Bielskiej Zadymki Jazzowej grupa kilkunastu fotografików związanych w festiwalu wystawiała od 8 lutego do 8 marca w bielskiej Sferze własne prace fotograficzne.

■ W lutym w Galerii Akademickiej ATH w Bielsku-Białej swoje prace prezentowali – rzeźbiarka Lidia Sztwiertnia oraz grafik Rafał Ramatowski.

■ 24 lutego w Książnicy Beskidzkiej odbyła się promocja książki „Albatros i hiena”. Napisał ją wykładowca akademicki, historyk sztuki Krzysztof Marek Bąk. Jest to kryminał, którego akcja toczy się w Bielsku-Białej.

■ 28 lutego w Krakowskim Salonie Poezji w Galerii Bielskiej BWA wystąpiła Anita Jancia-Prokopowicz. Aktorka teatralna i filmowa, absolwentka łódzkiej „filmówki” promowała tym razem swój tom wierszy pt. „Pomiędzy”.

■ W Częstochowie zagraли: TFP – Ga-Ga oraz Zielone Żabki; Rura – The Dumplings, Goral, DonGuralesko, Łąki Łan; Filharmonia Częstochowska – Urodziny Mozarta, Strauss Festival Orchestra; Duet miłosny; MDK – Róże Europy, Częstochowska Kapela Biesiadna, „Grupa Romana”; Five O’Clock – Justyna Królak Quartet; Muzyczne Meta – Romek Puchowski, Breakmaszyna; OPK Gaude Mater – Tomasz Żółtko, Ed Cherry Trio (w cyklu JAZZtochowa); Stacherczak – Wojtek Mazolewski z kwintetem (w cyklu JAZZtochowa).

■ Częstochowskie wystawy: Wejściówka – Beata Mielczarek; Galeria ART-Foto ROK-u – wystawa fotografii Malta 2015; OPK Gaude Mater – fotografie Arka Sołtysika; Ratusz – *Podniebna pasja. Jerzy Ostrowski – modelarski mistrz z Częstochowy*;

■ Częstochowskie spotkania literackie: Biblioteka Publiczna – Rafał Cuprjak *Po drugiej stronie*; OPK Gaude Mater – Małgorzata Januszewska *Slajdy z kucykami*; spotkanie Towarzystwa Galeria Literacka dedykowane pamięci Waldemara Gaińskiego z okazji 5. rocznicy śmierci.

■ 31 stycznia zmarł Andrzej Nowicki, członek zespołu Five O’Clock Orchestra (grał na banjo i gitarze) oraz Siergiej Wowko-trub Trio.

■ 5 lutego w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki odbył się spektakl muzyczno-kabaretowy „Album rodzinny”. Bohaterami wieczoru byli: Kacper Kuszewski oraz zespół muzyczny w składzie: Tomasz Krezymon – fortepian, Konrad Kubicki – kontrabas, Jacek Namysłowski – puzon, flet.

■ 2 lutego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu czytelnicy uczestniczyli w spotkaniu z Włodzimierzem Kowalewskim i Januszem Majewskim, wieczór autorski nosił tytuł *Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy*.

■ W Galerii Łakomscy w Sosnowcu w lutym gościli: Kamil Myszkowski i Krzysztof Szłapa. Wspólnym tematem obu twórców stało się Słońce. Wszystkie prace zostały wykonane przy pomocy camera obscura, czyli w technice otworkowej, którą autorzy od wielu lat wykorzystują w swoich działaniach artystycznych.

■ We wszystkich miejscowościach Zaolzia, a także w Pradze i Brnie, odbywały się w lutym i marcu sejmiki gminne. Ich celem jest wyłonienie delegatów na Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC, które odbędzie się 23 kwietnia w Czeskim Cieszynie.

■ Od 20 lutego w zaolziańskich Śmiłowicach, wsi rodzinnej byłego premiera RP, Jerzego Buzka, przebywa grupa chrześcijańskich uchodźców z Iraku. Czternaścioro osób znalazło azyl w ośrodku Kar-mel należącym do Diakonii Śląskiej.

■ 23 lutego, w miejscowości Redruth w Kornwalii odbył się pogrzeb 96-letniego Raymunda Kanioka, pochodzącego z zaolziańskiego Piosku pilota Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie. Był on pilotem dywizjonów myśliwskich 303 i 308.

■ Jednodniową wizytę w Pradze złożył marszałek Sejmu RP, Marek Kuchciński. Marszałek przyjechał do Pragi na zaproszenie Jana Hamáčka, przewodniczącego czeskiej Izby Poselskiej. W programie wizyty znalazły się rozmowy dwustronne na temat aktualnej sytuacji w Europie, między innymi migrantów. Marek Kuchciński złożył wieńce na grobie Václava Havla, pod pomnikami Jana Palacha i Ryszarda Siwca i spotkał się z przedstawicielami organizacji polskich w RC.

■ W pierwszy czwartek marca w auli Polskiego Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czeskim Cieszynie po raz kolejny spotkali się słuchacze Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego PZKO. Tym razem wykładowcą był prof. Daniel Kadłubiec. Językoznawca i folklorysta, założyciel i pierwszy kierownik Katedry Polonistyki i Folklorystyki Uniwersytetu Ostrawskiego wygłosił wykład pt. „O cieszyńskiej wartości słowa”.

# ŚLĄSKI

## MIESIĄC

Zapis wydarzeń  
z miesiąca  
poprzedzającego  
zamknięcie  
numeru

**WICEMINISTER** ds. energii Grzegorz Tobiszowski spotkał się 1 lutego ze związkowcami i zarządem Kompanii Węglowej. Mimo długich rozmów nie rozstrzygnięto sprawy wypłaty górniczych czternastek za 2015 rok. Konsekwencją tego były masówki w 11 kopalniach spółki i pięciu zakładach, w wyniku czego Zarząd KW wycofał się z wypowiedzenia porozumienia z lipca 2015 roku. Powrócono też do rozmów na temat wypłat czternastek. W połowie lutego związkowcy alarmowali, że zarząd KW, by ratować spółkę chce zmniejszyć średnie miesięczne wynagrodzenie górników nawet o 1,5 tys. zł. Wzajemne rozbieżności skończyły się ogłoszeniem sporu zbiorowego w KW.

**TŁUSTY** czwartek przypadł w tym roku 4 lutego. To dzień krepla albo pączka – jak kto woli. Teraz trochę informacji kulinarnych. Pączki berlińskie rozpoznaje się po jasnym pasku na cieście. Nadziewane są głównie marmoladą, ale też toffi, bądź czekoladą, a pokrywane cukrem pudrem lub lukrem. Donaty to amerykańskie pączki z dziurką pośrodku – przypominają polskie oponki. Pączki wiedeńskie przypominają z kolei gniazda i są bardzo słodkie. Wykonywane są z ciasta parzonego. Oliebollen to holenderski przysmak podobny do naszych racuchów. Nadziewany jest rodzynkami, żurawiną i kawałkami jabłka. A pączki tureckie, inaczej lokma – to niewielkie kuleczki podawane z miodem lub cukrowym syropem.

**KATOWICE** mają sporo atutów, w tym niskie bezrobocie, ale przed miastem wciąż wiele wyzwań. Tak wyglądają Katowice na tle 11 innych polskich metropolii, jakie oceniono w „Raporcie o polskich metropoliach 2015” przygotowanym przez firmę PwC. Prof. Wiktor Orłowski, ekonomista, podsumował raport stwierdzeniem, iż zmiany w stolicy naszego województwa są widoczne, ale wciąż nie udało się osiągnąć masy krytycznej zmian, jak choćby w wypadku Wrocławia.

**WNIOSEK** Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej o wpisaniu tarnogórskich podziemi i naziemnych obiektów pogórnich trafił do paryskiej siedziby komitetu UNESCO. Formalnie złożyli go przedstawiciele polskiego rządu. Pomysł wpisania tarnogórskich podziemi na listę UNESCO pojawił się już w 2004 roku, ale konkretne prace rozpoczęto cztery lata później. Cała aplikacja ma tysiąc stron, a jej przygotowanie trwało osiem lat i kosztowało 300 tysięcy złotych. Jeśli wniosek przejdzie pozytywną weryfikację, uzyskanie wpisu będzie możliwe w połowie 2017 roku.

**GALERIE** Katowicką odwiedziło w całym 2015 roku 14 milionów klientów, któ-

rych było o 2,4 mln więcej niż w roku 2014. Dodajmy, że prócz wielu wspaniałych sklepów w GK działa od listopada 2015 roku Scena w Galerii, czwarta stała scena Teatru Śląskiego.

**ZABAWA** w karnawałowe ostatki w stylu brazylijskim miała miejsce w Zabrze. Mianowicie 320 metrów pod ziemią w kopalni Guido 6 lutego odbyła się karnawałowa impreza, której motywem przewodnim był najslawniejszy karnawał w Rio de Janeiro. Było hucznie i gorąco.

**KONGRES** architektury i wzornictwa 4 Design Days miał miejsce między 11 a 14 lutym w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach. Zaprezentowało się ponad 100 wystawców, zaproszono 250 prelegentów, odbyło się kilkadziesiąt sesji i paneli tematycznych.

**TRWA** dziwna passa rybnickiego psychiatryka, w którym – jak się okazuje – bezprawnie przetrzymywani są ludzie. Ostatnio trzecim szczęśliwcem, któremu udało się opuścić szpital po ośmiu latach przymusowego leczenia, był Stanisław Belski z Krakowa. Trafił tam za kradzież kawy z marketu w 2007 roku. Do jego wypuszczenia – tak jak do pozostałych dwóch „uwolnień” – przyczynił się mecenas Piotr Wojtaszak. Oczywiście, za „pomyłki” rybnickich felczerów z psychiatryka zapłaci Skarb Państwa (czytaj my, społeczeństwo). A może by tak – choćby na tydzień – odwrócić rolę i hospitalizować odpowiedzialny za te „wypadki przy pracy” personel?

**MIJA** dekada od tej katastrofy i nadal nie wiadomo, czy z prawnego punktu widzenia zawińł człowiek, czy może natura? Przypomnijmy – 21 listopada 2006 roku o godz. 16.30 w kopalni Halemba w Rudzie Śląskiej na głębokości 1030 m doszło do wybuchu metanu, który następnie zainicjował eksplozję pyłu węglowego. 23 górników było bez szans na przeżycie. Wyrobisko zamieniło się w kulę ognia. Fundamentalne pytanie brzmi: co zainicjowało wybuch lub kto za niego odpowiada? Trwający sześć lat proces przed Sądem Okręgowym w Gliwicach, zdaniem Sądu Apelacyjnego w Katowicach, nie dał na to odpowiedzi. Dlatego sprawa wraca do ponownego rozpatrzenia.

**NOWOCZESNE** centrum bajki i animacji z interaktywną częścią edukacyjną i pokazową, salą kinową i salami konferencyjnymi ma wreszcie szansę powstać w Bielsko-Białej przy Studium Filmów Rysunkowych. Tę możliwość dało przekształcenie bielskiego SFR w państwową instytucję kultury. Studio wcześniej było spółką prawa handlowego. Aktualnie w SFR trwają prace nad ostatnim odcinkiem filmu animowanego „Kuba i Śruba”.

**OSTATNIE** Ikarusy w regionie jeżdżą jeszcze w katowickim PKM-ie, co prawda tylko w dni robocze, ale za to na najbardziej zatłoczonych trasach. Ich ostatni kurs wypadnie w tegorocznego sylwestra – więc miłośnikom publicznej komunikacji zostało jeszcze trochę czasu na zwiedzanie.

**RUSZYŁ** nowy stadion w Zabrzu. 21 lutego po raz pierwszy na trybunach zasiadło 24,5 tys. widzów. Było to podczas meczu Górnika Zabrze z Ruchem Chorzów, niestety, przegranym 0:2. Komentatorzy sportowi podsumowali spotkanie dobitnie: „Górnik jest w ruinie” – w odróżnieniu od nowoczesnego stadionu. Jeszcze kilka

miesiący temu pracowało na tym obiekcie 400 robotników na dobę, tuż przed formalnymi odbiorami już 250 osób. Przed rozpoczęciem inauguracyjnego meczu Prokuratura Apelacyjna w Katowicach wszczęła śledztwo w sprawie nieprawidłowości przy budowie stadionu.

**MARSZAŁEK** śląski Wojciech Saługa w liście do premier Beaty Szydło sprzeciwił się niegospodarności Centrum Onkologii, która powoduje, że „gliwicki oddział CO (...) jest zmuszony przekazywać wypracowane nadwyżki finansowe do ośrodków w Warszawie czy Krakowie”. I zaprosił panią premier do rozmów o utworzeniu Śląskiego Centrum Onkologii w Gliwicach, który to pomysł ma spore wsparcie społeczne i medialne w całym naszym regionie.

**PRACOWNICY** Muzeum Górnego Śląskiego dostali pismo z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Minister oświadczył w nim, że nie przewiduje połączenia Muzeum Górnego Śląskiego w Bytomiu z Muzeum Śląskim w Katowicach. Za takim rozwiązaniem optował swego czasu zarząd województwa śląskiego, a sejmik podjął nawet uchwałę intencyjną w tej sprawie.

**ZMARŁ** tragicznie 48-letni pułkownik Sławomir Berdychowski, „Czarny”, były GROM-owiec, twórca i pierwszy dowódca jednostki specjalnej Agat z Gliwic. Według nieoficjalnych informacji miał popełnić samobójstwo. Nie chcą w to jednak uwierzyć jego bliscy i przyjaciele. Berdychowski był nadzieją polskiej armii. Niedawno ukończył kurs generalski, który traktowany jest jako przepustka do dalszych awansów m.in. w strukturach dowódczych NATO.

**BOHATERSKIEGO**, jednego z ostatnich pilotów legendarnego Dywizjonu 303, sierżanta Rajmunda Kanioka ze Śląska Cieszyńskiego pożegnano uroczystie 23 lutego br. w miejscowości Redruth w Kornwalii. Miał 96 lat, urodził się 29 kwietnia 1920 roku we wsi Piosek na Śląsku Cieszyńskim, a zmarł 8 lutego br. Służył w utworzonych w Anglii w czasie wojny polskich dywizjonach lotniczych 301, 302, wspomnianym 303 i 308.

**CZĘSTOCHOWA** bez szans na powrót województwa. O rządowych zamiarach dowiadujemy się z odpowiedzi ministerialnej na interpelację ślupskiego posła Zbigniewa Konwińskiego, który zwrócił się do MSWiA z pytaniem o plany wobec woj. środkowo-pomorskiego. Odpowiedź padła konkretna: „Nie zamierzamy tworzyć nowych województw”.

**MINISTERSTWO** Energii rozważa sprzedaż dwóch kopalń należących do Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Chodzi o kopalnie Jas-Mos i Krupiński. Pieniądze z ich sprzedaży miałyby zapewnić – przynajmniej tymczasowo – płynność finansową tej spółki. Górników – a pracuje ich w tych kopalniach niemal 5,4 tys. osób – niepokoją te informacje.

**PAPIEŻ** Franciszek przed lipcowymi Świątami Dniami Młodzieży w Krakowie odwiedzi sanktuarium na Jasnej Górze w Częstochowie. To już niemal pewne, bo pod koniec lutego gościła na Jasnej Górze Komisja Watykańska, która sprawdzała możliwość zorganizowania takiego przyjazdu.

# Wielki Brat czuwa

JAROSŁAW STARZYK

Jestem, jak Dostojewski, uzależniony od hazardu. Ujawniam się niniejszym, podaję ten mój sekret do publicznej wiadomości. (Być może rzuci okiem na ten tekst pan profesor Jan Miodek i ucieszy się, że swą tajemnicę ogłaszam wszem i wobec, nie dokonując jakiegoś tam „kamingautu”, brr!) Wracając do tematu: Dostojewski wielkim pisarzem był, więc i jego uzależnienie było gigantyczne. „Ja tam pisać nie umiem i nie dbam o sławę”, w moim przypadku chodzi raczej o uprawianie hazardziku, nie zaś o to, by stawić wszystko na jedną kartę. W praktyce polega to na odwiedzaniu raz na tydzień kolektury i wysyłaniu jednego kuponu totka, który już od dawna nazywa się inaczej. Robię to regularnie, znam więc panie (przemiłe) pracujące w tym punkcie, czasem pożartujemy, często (raczej bez powodzenia) próbują mnie skłonić do kupna jakiejś wyjątkowo rokującej zdrapki.

Tego dnia także zawarłem zakład i już wychodziłem, kiedy niemal przy drzwiach zwróciła się do mnie panią z pytaniem, czy mógłbym jej poświęcić chwilę i odpowiedzieć na kilka pytań, przeprowadza bowiem ankietę dla firmy X (pokazała zawieszony na szyi identyfikator). Zgodziłem się bez entuzjazmu, ponieważ właśnie nadjeżdżał tramwaj, którym zamierzałem odjechać. Trudno było mi jednak odmówić, gdyż panią była miła, kulturalna i ubrana jak dziewczynka, która przysłała здаwać maturę. Był i drugi powód – mam przyjaciółkę, która pracuje jako ankieterka. Opowiadała mi, jak jej przykro, kiedy tak zwani respondenci odmawiają jej odpowiedzi i to czasami w sposób grubiański, nie biorąc pod uwagę faktu, że ona po prostu wykonuje pracę, z której jest rozliczana.

Panią więc pytała, ja odpowiadałem, ona notowała... Było między innymi pytanie o wykształcenie. „Posiadam” wyższe, ale zastanowiło mnie, jakie mogą być wyniki całego badania. Czy magistrowie, doktorowie, profesorowie są równie podatni na płacenie „podatku od głupoty”, co nieuki albo absolwenci podstawówki?

– Jak pan ocenia prawdopodobieństwo wygranej? – zapytała panią (cytuję z pamięci, więc niedokładnie).

– Ja nie oceniam, ja wiem – odpowiadałem. – Szansa trafienia „szóstki” jest jedna na 14 milionów. Ale jako niepoprawny optymistą uważam, że moja wynosi 50 procent – albo wygram, albo nie.

Rozmowa była całkiem sympatyczna, pożegnaliśmy się miło i udałem się do swoich zajęć.

Po jakimś tygodniu z hakiem zadzwonił telefon.

– Mówi Krystyna Iksińska. Czy rozmawiam z panem Jarosławem?

Potwierdziłem. Wtedy mojej rozmówczyni zmienił się głos. Stał się wręcz inkwizytorski. Zostałem przepytany na temat, czy brałem udział w ankiecie o totku, gdzie brałem, kto ją przeprowadzał, czym się legitymował itd. itp. Nie pamiętałem tylko jednego: czy paniąka zapisywała odpowiedzi na tablecie? Na tablecie, czy na papierze? Nie potrafiłem na to odpowiedzieć, ale uwzględniając całość przesłuchania myślę, że zdałem i miła paniąka nie będzie miała przykrości.

Rozumiem, że firmy chcą mieć wiarygodne wyniki badań, dlatego kontrola. Dlatego „tajniacy” z biznesu chodzą ulicami i sprawdzają, czy człowiek rozdający ulotki stoi rzeczywiście tam, gdzie go postavili i tyle godzin, ile mu wyznaczono i czy przypadkiem nie wyrzuci tych cennych druków do kosza.

A jednak żal, że już nie wierzy się nikomu na słowo, że Wielki Brat czuwa nad wszystkim.

Przy okazji – ciekawe, czy kontrolerki mają też instancję kontrolującą ich robotę, i w którym momencie się ta struktura braku zaufania kończy?

# ŚLASK

Kolekcja „Śląska”

Przez cały jubileuszowy Rok „Śląska”, z okazji 20-lecia istnienia pisma, prezentowaliśmy co miesiąc dzieła artystów związanych ze Śląskiem. Okazało się, że ten malarsko-graficzny cykl bardzo przypadł do gustu naszym Czytelnikom. Dlatego redakcja postanowiła nie rezygnować z tego cyklu, z dwóch powodów: po pierwsze, skoro podoba się Czytelnikom, to będziemy go kontynuować, ale pod nazwą Kolekcja „Śląska”, po drugie – jest jeszcze tylu wspaniałych artystów do pokazania, że zapewne braknie kolejnych dwunastu miesięcy.



Foto. A. Lavyriwianiec

## Wiktor Ostrzołek

Urodził się w 1934 roku w Radlinie-Biertułtowach. Ukończył z wyróżnieniem Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, a następnie (1957) – również w Krakowie – otrzymał dyplom Akademii Sztuk Pięknych (wówczas Krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych). Studiował grafikę, malarstwo monumentalne i plakat. Sztuki witrażu uczył się od wybitnego polskiego witrażysty Adama Stalony-Dobrzańskiego. Mieszka w Katowicach. Pierwsze witraże zaprojektował dla Sanktuarium Narodzenia NMP w Pszowie. W 1960 r. zaprojektował swoje przełomowe dzieło – witraż dla kościoła Serca Pana Jezusa w Katowicach-Murckach. W tym samym roku podjął również zajęcia dydaktyczne w Niższym Seminarium Duchownym w Katowicach. Współpracował jako grafik z tygodnikiem „Gość Niedzielny”. W latach 1962-1976 odbywał liczne podróże artystyczne do Paryża. Tworzy zespoły witrażowe oraz pojedyncze witraże, także polichromie i sgrafitta, mozaiki (kościół o.o. Oblatów w Katowicach-Koszutce) dla kościołów w kraju i za granicą. Od 1958 r. jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Jest laureatem Złotego Medalu Zasłużony dla Kultury Polskiej „Gloria Artis”.

(wk)